

Don i Susie Van Ryn, Newell,  
Colleen i Whitney Cerak oraz  
Mark Tabb

Pomyłona tożsamość

*Dwie rodziny  
Jedna ofiara  
Nadzieja, która nie gaśnie*

## **Prolog**

Długo wahaliśmy się, czy pisać tę książkę. Jak sami się wkrótce przekonacie, nasza historia nie jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać. To coś więcej niż splot losów dwóch rodzin w wyniku niebywalej pomyłki przy ustalaniu tożsamości ofiar wypadku. Wydarzenia, o których wam opowiemy, dotknęły pośrednio wielu osób, a siedem rodzin oprócz naszych dwóch doznało w ich następstwie bezpośredniej i tragicznej straty. Cztery z tych rodzin cierpiały i nadal cierpią z powodu śmierci swoich ukochanych najbliższych: Laurel Erb, Brada Larsona, Betsy Smith oraz Moniki Felver. Trzy osoby - Connie Magers, Vicky Rhodes oraz Michelle Miller - ocalały w dramatycznych wydarzeniach z 26 kwietnia 2006 roku, ale ich życie już nigdy nie będzie takie jak dawniej.

Z szacunku dla wyżej wspomnianych osób oraz dla wielu innych zdecydowaliśmy się nie zdawać szczegółowej relacji „minuta po minucie” z nocy wypadku. Nie chcemy również przedstawiać naszej historii jako nadrzędnej wobec historii

innych uczestników wydarzeń. Mamy bowiem pełną świadomość, że jedynym powodem, dla którego nasza historia wysuwa się na pierwszy plan, są jej przedziwne okoliczności i rozgłos, jaki zyskała w całym kraju. Żadna z rodzin dotkniętych tragedią nie zabiegała o uwagę ani też nie czerpała z niej satysfakcji. Obie nasze rodziny są raczej skryte, więc fakt, że nasze życie stało się tematem publicznym, wprowadził nas w zakłopotanie.

Niezdecydowanie związane z publikacją książki wynikało z troski o samą Whitney. W początkowej fazie rehabilitacji wielokrotnie podkreślała, że nie chce być nazywana „tą dziewczyną”. Miała nadzieję, że wszystko ucichnie i jej życie wróci do normy. Nie chciała więcej rozgłosu.

Jednakże, wraz z upływem dni i miesięcy od zaskakującego zwrotu wydarzeń z 31 maja 2006 roku, z obiema naszymi rodzinami kontaktowało się wiele osób z całego świata i opisywało, w jaki sposób Bóg przemówił do nich poprzez nasze doświadczenia. W miarę jak modlitwy, które wznosiliśmy do Boga, pozwalały nam odpowiedzieć sobie na coraz więcej pytań i zrozumieć sens zaistniałych wydarzeń, nasze serca otwierały się na ludzi. Byliśmy gotowi dzielić się swoją historią i inspirować innych. W pierwszą rocznicę wypadku obie rodziny zasiadły do wspólnego śniadania i zapanowało między nami poczucie jedności. Wtedy to Whitney wyznała, że zaczyna zauważać, w jaki sposób Bóg może nadać jej życiu szerszy wymiar. Wywiązała się rozmowa i stało się jasne, że nadszedł czas, by podzielić się ze światem historią, którą wkrótce poznacie.

Kolejne dyskusje minęły pod znakiem ustaleń, jak powinniśmy podejść do przedstawienia wydarzeń. W dramacie tym swoje role odegrało wiele osób, a każda z nich przeżyła go inaczej. Znalezienie wspólnego mianownika dla tak wielu głosów okazało się nie lada wyzwaniem. Ostatecznie zdecydowaliśmy, że napiszemy całą opowieść z punktu widzenia obu rodzin, przedstawiając wszystko, co działo się wokół nas. Żeby umożliwić wam doświadczenie tego, co my sami przeżyliśmy, odtworzyliśmy wydarzenia oraz dialogi. W trosce o prywatność bohaterów używamy czasem tylko ich imion, a czasami imiona zostały przez nas zmienione. Jednak żadne z zawartych w książce wydarzeń nie zostało sztucznie spotęgowane czy przedramatyzowane. Wszystko, o czym za chwilę przeczytacie, jest zapisem naszych rzeczywistych przeżyć.

Utrata dziecka to okropna rzecz. Jednak nawet w obliczu najgorszych tragedii objawia się Bóg. I nie są to tylko słowa, którymi próbujemy podtrzymać się na duchu przez te trudne dni. Doznaliśmy objawień osobiście i idea ich głoszenia przyświeca nam ponad wszystko. To opowieść o łasce i miłości Boga - to one przewyższają całe zło, którym świat może nas potraktować.

Nikt z nas nie jest tak naprawdę wyjątkowy. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy przyjęli Bożą miłość ujawnioną poprzez śmierć i zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Bóg okazał każdemu z nas wierność, dał nam siłę i pocieszenie, gdy w swoim człowieczeństwie byliśmy w wielkiej potrzebie. To właśnie Jego wierność pogłębiła naszą wiarę i zaufanie.

Historia błędnej identyfikacji dwóch dziewczyn, Laury Van Ryn oraz Whitney Cerak, może uchodzić za fantastyczną i niewiarygodną, lecz to nie ta historia jest tu na pierwszym planie. Nasza książka jest w istocie zapisem tego, w jaki sposób Bóg, przez swoją łaskę, podtrzymał na duchu dwie rodziny.

Mamy nadzieję, że po lekturze zrozumiecie, że tak naprawdę chodzi tylko o Niego.

## **Zamiana**

Dzwonek telefonu wyrwał ze snu Colleen Cerak. Nie była w stanie jeszcze całkiem otworzyć oczu, więc po omacku szukała na szafce nocnej budzika. Dochodziła druga nad ranem, była środa, 31 maja 2006 roku. Gdy w końcu udało się jej odebrać telefon, głos w słuchawce wydał się jej znajomy. Przedstawił się jako koroner hrabstwa Grant. To był ten sam mężczyzna, który dzwonił pięć tygodni wcześniej i poinformował Colleen, że jej osiemnastoletnia córka Whitney zginęła w wypadku wraz z trzema innymi studentami Uniwersytetu Taylora oraz jednym pracownikiem uczelni. Tamta rozmowa również odbyła się w nocy. „Czemu koroner miałby znowu dzwonić w środku nocy?” - pomyślała.

- Rozmowy słucha też kapelan okręgowy - poinformował ją koroner. Następnie zadał pytanie, które Colleen wydało się bardzo dziwne: - Jest pani sama?

- Słucham? Tak. To znaczy nie - odpowiedziała. - Jest jeszcze Carly, moja córka.

- Czy mogłaby pani poprosić ją, by posłuchała naszej rozmowy?

Gdyby Colleen nie była tak zaspana, pewnie spytałaby, jakie znaczenie ma fakt, czy jest sama, a także czemu koroner dzwonił o tak nieludzkiej porze. Nie zrobiła tego. Jej ciało już się obudziło, ale umysł nie mógł jeszcze za nim nadążyć. Zwłokła się z łóżka, przeszła przez hol do pokoju córki i obudziła ją.

- Chcę, abyś posłuchała tej rozmowy. Ja idę na dół odebrać drugi telefon. Nie rozłączaj się - poinstruowała ją.

Carly spała głębokim snem, kiedy matka rzuciła jej na łóżko słuchawkę bezprzewodowego telefonu. - Co takiego? Co mam zrobić? Po co? - spytała, ale Colleen schodziła już po schodach. Na wpół przytomną dziewczynę ogarnęła panika, gdy przykładła słuchawkę do ucha. Zaczęła słuchać. Jej matka poprosiła mężczyznę, żeby jeszcze raz się przedstawił. Gdy tylko Carly usłyszała nazwisko koronera, zrobiło jej się niedobrze.

- Wiemy już - zaczął koroner - że osoba, która przeżyła wypadek i trafiła do szpitala zidentyfikowana jako Laura Van Ryn, nie jest w istocie Laurą. Fakt ten potwierdziły dane dentystyczne.

Carly słuchała na górze, a Colleen na dole, na linii głównej. Żadna nie odezwała się ani słowem. Ich umysły nie potrafiły zrozumieć słów, które usłyszały. Wtedy koroner przeszedł do sedna: - Mamy powody przypuszczać, że wasza córka żyje.

- Nie. Nie. To niemożliwe. Pochowaliśmy ją - tłumaczyła Colleen. Nadal była w fazie półsnu i myślała, że koroner sugeruje, że Whitney żyła, kiedy składano ją do trumny,



czyli - rodzina pochowała ją żywcem. Ta myśl przeraziła ją. Koroner wyjaśnił jednak, co ma na myśli.

- Mamy powody przypuszczać, że dziewczyna zidentyfikowana jako Laura Van Ryn to w istocie wasza córka, Whitney Cerak.

Gdy tylko Carly usłyszała słowa koronera, że Laura to Whitney, rzuciła słuchawką i popędziła na dół. - Nie, nie, nie! - krzyczała. - Mamo, odłóż telefon! Odłóż telefon! Jak można być tak okrutnym i robić komuś takie żarty? To najgorsza rzecz, jaką w życiu usłyszałam!

- Co pan powiedział? - Colleen zwróciła się do koronera, ale ledwo słyszała jego słowa.

- Mamo, posłuchaj mnie! - wrzeszczała Carly. - Nie ma możliwości, że to nie Laura. Jej rodzina i chłopak byli tuż przy niej przez pięć tygodni. Pięć tygodni! Nie sądzisz, że zauważyliby, gdyby to nie była Laura? Wielu moich znajomych też ją widziało. Kelly też! Mamo, czy nie uważasz, że moja koleżanka z akademika nie zauważyłaby czegoś tak oczywistego?! Whitney nie jest podobna do Laury. Czemu ktoś robi takie rzeczy? - zaczęła płakać. - Mamo, odłóż telefon. Odłóż go, odłóż!

W końcu Colleen odezwała się do koronera.

- Mogę do pana oddzwonić? Naprawdę potrzebuję trochę czasu, żeby pomyśleć.

Koroner sprawiał wrażenie zaskoczonego jej pytaniem.

- Pani Cerak, to bardzo poważna sprawa. Potrzebujemy od pani danych dentystycznych córki. Proszę je przywieźć do

szpitala w Grand Rapids najszybciej, jak to możliwe, żebyśmy mogli potwierdzić identyfikację.

- Rozumiem. Proszę o pański numer.

- Pani Cerak!

- Czy mogę prosić o pański numer telefonu? - umysł Colleen nie był w stanie przetworzyć słów koronera. Była w szoku. „Może Carly ma rację. Może to tylko okropny, strasznie okropny żart”. Gdy otrzymała numer telefonu, odłożyła słuchawkę i usiadła na fotelu. Carly siedziała na sofie naprzeciwko z wściekłą miną.

- Kto mógłby być tak okrutny? - oburzyła się Carly. Colleen nie zareagowała. Sprawdziła numer telefonu i okazało się, że rozmówca rzeczywiście dzwonił z Marion General Hospital w Indianie, czyli z miejsca, dokąd trafiło ciało Whitney w noc, kiedy zginęła.

- To jeszcze nie oznacza, że to prawda - protestowała Carly, po czym spojrzała na matkę badawczym wzrokiem:

- Ty chyba nie wierzysz w te bzdury, co? - zniecierpliwiona wzruszyła ramionami.

Coś w środku mówiło jej, że to ona musi być głosem rozsądku w tej rodzinie. Jej ojciec, pastor pracujący z młodzieżą, był wtedy w Nowym Jorku na corocznej wycieczce z uczniami szkół średnich z okazji zakończenia roku szkolnego. Jego nieobecność najwidoczniej obudziła w Carly „starszą siostrę”.

- Mamo, uwierz mi. Wiem, że dziewczyna leżąca w szpitalu to Laura, a nie Whitney. Wiem, co mówię. Komu zamierzasz zaufać? Własnej córce czy jakiemuś nieznanemu, który w środku nocy robi ludziom żarty?!

Colleen nie wiedziała, co dalej robić. Miała wątpliwości, czy powinna budzić telefonem swojego męża Newella, skoro nie miała jeszcze żadnych potwierdzonych informacji. Sama decyzja o wyjeździe na wycieczkę była dla niego trudna. To miał być jego pierwszy krok do powrotu do normalnej pracy po tym, jak pięć tygodni wcześniej stracili Whitney. Jeśli to rzeczywiście był żart, Colleen nie widziała sensu, żeby mąż musiał z jego powodu dodatkowo cierpieć. Nie wiedząc, do kogo innego się zwrócić, zadzwoniła do najlepszego przyjaciela i współpracownika Newella, pastora Jima Mathisa, który razem z całą rodziną przeżywał tragedię śmierci Whitney.

- Jim, mamy tu pewien problem - zaczęła. - Nie wiem, do kogo innego się z tym zwrócić. Właśnie miałam telefon...

- Fałszywy telefon! - w de przekrzykiwała ją Carly.

- Właśnie miałam telefon od kogoś, kto podał się za koronera hrabstwa Grant. Powiedział... - Colleen nie mogła uwierzyć, że rzeczywiście wypowiada te słowa. - Powiedział, że możliwe, że Whitney żyje.

-Co? Jak to?

- Sama nie wiem. Nie wiem nawet, czy to był prawdziwy telefon. Mógłbyś to dla mnie sprawdzić? Ja chyba nie dam rady.

- Oczywiście. Podaj mi numer.

Jim oddzwonił po pięciu minutach i poinformował: - Wygląda na to, że znów musimy udać się w podróż.

Colleen odłożyła słuchawkę i natychmiast znów ją podniosła, żeby zadzwonić do rodzinnego dentysty i poprosić o dane dentystyczne Whitney. Obiecał, że niezwłocznie je przywiezie. Dopiero wtedy zadzwoniła do męża. W chwili,

kiedy wypowiedziała jego imię, Newell już wiedział, że stało się coś złego.

- Tylko nie Carly. Proszę, powiedz mi, że nie chodzi o Carly  
- po stracie Whitney nie potrafił znieść myśli, że coś mogłoby się przydarzyć ich jedynemu teraz dziecku.

- Nie, nie, z Carly wszystko w porządku. Chodzi o... chodzi o Whitney.

-Co?

- Właśnie dzwonili z biura koronera hrabstwa Grant, bo myślą, że... myślą, że Whitney żyje.

- Niemożliwe - skwitował. - Pochowaliśmy ją. Nie ma takiej możliwości.

- Daj mi go! - krzyknęła Carly i wyrwała matce słuchawkę.

- Nie wierz w to, tato. Powiedzieli, że Laura to Whitney, ale to niemożliwe. Widzieli ją moi znajomi, a oni znają Whitney. Tato, proszę, uwierz mi. To niemożliwe!

- Wiem, Carly. Wiem o tym - Newell nie potrafił wydusić z siebie więcej.

Colleen przejęła słuchawkę.

- Pojedziemy z Jimem do Grand Rapids i zawieziemy do szpitala dane dentystyczne Whitney. Jestem pewna, że to pogoń za cieniem, ale musimy jechać.

- Pamiętaj, żeby do mnie zadzwonić, jak tylko dotrzecie na miejsce.

Newell odłożył słuchawkę i spróbował zasnąć. Na próżno. Leżał w ciemności i nie mógł opanować myśli, które kazały mu przeżyć jeszcze raz wszystko to, co zaszło od 26 kwietnia 2006 roku, kiedy Colleen zadzwoniła do niego i powiedziała,

że Whitney miała wypadek. Wtedy też był na wyjeździe związanym z pracą duszpasterską. Od tego czasu miał w duszy pustkę, której nie potrafił zapełnić. Mimo to żal nie odbierał mu nadziei. Ponad wszelką wątpliwość wiedział, że Whitney znajduje się już u samego Stwórcy w niebie. I nagle rodzina dowiaduje się, że nie ma jej w niebie, ale żyje i dochodzi do zdrowia w szpitalu w Grand Rapids w stanie Michigan.

- Nie do wiary - powtarzał sobie nieustannie.

Gdy tak się przewracał z boku na bok, przeszła mu przez głowę pewna myśl: „Jak to w ogóle możliwe?“. Gdyby rzeczywiście zaszła pomyłka, ktoś z pewnością wykryłby ją najpóźniej po pierwszych kilku dniach. Ale pięć tygodni? „Pięć tygodni?!“. Niemożliwe. Jakim cudem Van Rynowie nie rozpoznaliby, że to nie ich córka? Musiałaby być potwornie oszpecona. Przecież to oznaczałoby, że nie tylko najbliższa rodzina była w błędzie. Odwiedzał ją też jej chłopak i wszyscy najbliżsi znajomi Laury i żadne z nich nie zwróciło uwagi personelowi szpitala, że coś było nie w porządku? Jak to możliwe, że nikt nie zauważył, że osoba leżąca w łóżku była kimś innym?

Ani on, ani Colleen nie widzieli po wypadku ciała Whitney. Wtedy było to zrozumiałe, ale teraz oblała go fala wątpliwości. „Nie chcieliśmy, żeby obraz Whitney zapisał się w naszej pamięci jako ciało w trumnie - przypomniał sobie. - Doszliśmy z Colleen do wniosku, że nie to chcieliśmy widzieć za każdym razem, gdy o niej pomyślimy“. Tej decyzji nigdy nie kwestionowali. Dopiero teraz Newell po raz pierwszy zastanowił się, w jaki sposób zidentyfikowano ciała na miejscu wypadku.

To z kolei dało podstawy do zadania najistotniejszego pytania: czy dziewczyną w szpitalu naprawdę mogła być Whitney?

Kiedy Newell na próżno próbował zasnąć na łóżku polowym na kempingu w New Jersey, reszta rodziny szykowała się do podróży nazwanej później przez Carly najgorszą podróżą w jej życiu. Colleen poradziła jej:

- Powinnaś zabrać jakieś ubrania. Jeśli to naprawdę Whitney, pewnie zostaniemy tam na dłużej.

Carly spojrzała na matkę.

- Mamo, mogłabyś być realistką? Już ci mówiłam. Moi znajomi tam byli, widzieli ją. Wszyscy wiedzą, że to Laura. Nie sądzisz, że gdyby to była Whitney, to jej najlepsi przyjaciele coś by zauważyli?

- Proszę cię, Carly. Po prostu musimy się upewnić, okej? - nalegała Colleen.

- Już się upewniliśmy - rzuciła Carly i wybiegła. Nie potrafiła dopuścić ani cienia nadziei, że jej siostra mogła żyć. Gdyby uwierzyła, a później jej nadzieja ległaby w gruzach, poczułaby się dokładnie tak jak w dniu, kiedy zmarła Whitney. Colleen zeszła na dół obudzić Sandrę, którą rodzina nazywała pieszczotliwie „dziewczyną z parteru”. Sandra Sepulveda zamieszkała w domu Ceraków w drugiej klasie szkoły średniej, po tym jak jej rodzina wyprowadziła się z Gaylord. Z czasem stała się dla Carly i Whitney drugą siostrą. Colleen potrząsnęła nią i powiedziała:

- Sandra, musimy jechać do Grand Rapids. Dziś w nocy. W tej chwili.

- Co? Czemu? - Sandra jeszcze się nie obudziła.

- Dzwonił koroner i powiedział, że możliwe, że Whitney żyje - wyjaśniła Colleen. Słowa, które wypowiedziała, jej samej wydały się absurdem.

- Co? Jak to? - wykrzyknęła Sandra, zrywając się z łóżka, po czym popędziła po schodach za Colleen.

- Nic nie wiemy. Dlatego musimy jechać do szpitala -zakończyła Colleen. Sandra zasypała ją gradem pytań, ale Colleen potrafiła wydusić z siebie tylko: - Powiedziałam ci już wszystko, co wiem.

Colleen, Carly i Sandra wsiadły do samochodu Jima i wszyscy wyruszyli w czterogodzinną podróż do Grand Rapids. Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Carly siedziała z tyłu obok Sandry i wciąż kipiała z wściekłości. W końcu się odezwała.

- Ciekawe, co powiedzą Van Rynowie, jak im tak wparujemy do pokoju Laury?

- Nie ma ich tam - odpowiedziała Colleen. - Powiedziano mi, że opuścili szpital we wtorek, zaraz po tym, jak lekarze potwierdzili, że pacjentka to nie Laura.

- Ze co? - Carly zakręciło się w głowie. - Przecież to nie ma sensu. Nie wierzę, że mogli tyle czasu myśleć, że to ich córka, jeśli to nieprawda. To niemożliwe.

Nikt nie zaprzeczył.

Kolejna godzina upłynęła w ciszy. Carly zdążyła już ochłonać. Mimo że nie chciała mówić o tym głośno, całą godzinę spędziła, myśląc o Van Rynach i ich nagłym wyjeździe po długim czuwaniu przy szpitalnym łóżku. „Nie opuścili Laury ani na moment przez pięć tygodni. Czemu teraz ją zostawili? A jeśli...?”.

- Powiedzieli ci, czemu Van Rynowie wyjechali? - spytała, jak gdyby rozmowa nigdy się nie urwała.

- Powiedzieli mi tylko, że lekarze wiedzą już, że ta dziewczyna to nie Laura - tłumaczyła Colleen. - Van Rynowie opuścili szpital, gdy potwierdziły to dane dentystyczne. Gdyby to była Laura, na pewno by zostali.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że to Whitney - zauważyła Carly. - Nie mogę uwierzyć, że to nie Laura, ale jeśli nie, to przecież może być jakaś przypadkowa dziewczyna, która trafiła tam przez pomyłkę - już wypowiadając te słowa, czuła, jak nedorzecznie brzmiały. Carly nie chciała tego przyznać, ale sama zaczynała powoli wierzyć, że Whitney może żyć.

Colleen zwróciła się do dziewczyn:

- Wiecie co, jeśli Whitney żyje, to w Hollywood będą musieli nakręcić o tym film - wszyscy zaczęli się śmiać, nawet Carly. - A jeśli tak, to Sandrę będzie musiała zagrać Jennifer Lopez - żartowała dalej Colleen. - W sumie obie są z Portoryko. Newellem chyba musiałby być Robert Redford.

- Uważaj, mamó. Wiemy, co myślisz o Robercie Redfordzie - powiedziała Carly.

- Daj spokój - zaśmiała się Colleen. - Do roli Whitney musieliby wziąć Kate Hudson. Zawsze widziałam w nich podobieństwo. A ty, Jim... tylko Mel Gibson - po tych słowach wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Około siódmej rano Colleen, Carly, Sandra i Jim zajechali na parking przy szpitalnym budynku\*. Przywitały ich dwie pracownice szpitala, które starały się wytłumaczyć Cerakom

\* Spectrum Health Continuing Care Center.



sytuację i dowiedzieć się, czy mają jakieś pytania. Owszem, jedno: gdzie ona jest? Podążając za kobietami wzdłuż korytarza, Carly zaczęła odczuwać niekontrolowane drgawki. Z trudem łapała oddech. Colleen szła przodem, a za nią Carly i Sandra. Jim z szacunku trzymał się kilka kroków z tyłu.

Gdy dotarli do sali z tabliczką „Laura Van Ryn”, Colleen wzięła głęboki oddech i delikatnie pchnęła drzwi. I chociaż światła były przygaszone, nie ulegało wątpliwości, kim była dziewczyna leżąca na szpitalnym łóżku. Colleen odetchnęła z ulgą i szepnęła:

- To Whitney!

Carly skoczyła przed matkę i rzuciła się w kierunku siostry, a zaraz za nią Sandra i Colleen. Wszystkie trzy zaczęły obejmować Whitney i wybuchnęły płaczem. To naprawdę ona! Jej blond włosy, jej niebieskie oczy, jej nos i kształt jej ust - nie było wątpliwości, to Whitney!

Whitney powoli otworzyła oczy, szeroko i bez okazywania emocji. Choć kołnierz na szyi ograniczał jej ruchy, przytakiwała głową raz za razem, gdy siostra i matka powtarzały jej imię. Carly, łkając, opadła na podłogę. Jej ciało nie potrafiło opanować wszechogarniającej radości. Do sali weszły pielęgniarki, które przyprowadziły Ceraków do sali Whitney, i próbowały uciszyć całą trójkę.

- To dla niej za dużo bodźców jak na jeden raz - ostrzegały.

- Ale moja siostra żyje. Moja siostra żyje! - wykrzyczała Carly i radość trwała dalej.

Colleen wyciągnęła telefon komórkowy. Przez łzy w oczach z trudem rozpoznawała cyfry.

- Newell - zaczęła. - Stoję tu przy niej i to jest Whitney. To naprawdę Whitney.

Newell nie potrafił uwierzyć w to, co usłyszał. Uznał, że to musi być sen.

- Rozłącz się i zadzwoń jeszcze raz - chciał się upewnić, że wszystko działa się naprawdę. Po chwili jego komórka zadzwoniła ponownie.

- Jestem tu przy niej i jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie - powtórzyła Colleen. Newell padł na kolana, zanosząc się płaczem jak dziecko.

-Jak wygląda? - zapytał. - Czy coś z nią nie tak?

- Nie — odparła Colleen. — Na twarzy nie ma nawet draśnięcia. To naprawdę ona.

Wtedy Newell usłyszał coś, o czym już dawno przestał marzyć. W słuchawce telefonu zabrzmiały słowa jego córki, którą pięć tygodni wcześniej pożegnał na wieki wieków. Ledwie słyszalnym głosem wyszeptała:

- Kocham cię, tato...

**26 kwietnia 2006 roku**

Carly, tu siostra. Zapisałam cię na GCN\* i chyba kilka moich przyjaciółek też będzie: Amy, Ann, może Emily. Ale chciałabym, żebyś Ty też przyjechała, naprawdę. A co z bankietem w Fort Wayne? Będiesz go obsługiwać? Mam nadzieję, że tak. Wielką, wielką, wielką nadzieję! Okej. Kocham cię. Pa.

*Wiadomość głosowa od Whitney,  
nagrana na pocztą głosową telefonu Carly,  
środa, 26 kwietnia 2006 roku*

Lisa Van Ryn siedziała na piętrze w domu rodziców w Caledonii, oglądając telewizję i rozmawiając przez telefon ze swoją przyjaciółką Julie. Zaprzyjaźniły się, gdy jako nastolatki wspólnie spędzały wakacje na obozie biblijnym na Półwyspie Górnym w Michigan. Później pracowały

\* Global Commute Night - ogólnoświatowa akcja zorganizowana 29 kwietnia 2006 roku, w ramach której młodzi ludzie zebrali się w centrach miast i spędzili noc w parkach na znak jedności z dziećmi w Ugandzie prześladowanymi przez Armię Bożego Oporu.

tam jako personel, wspólnie z Laurą (siostrą Lisy) i jeszcze jednym kolegą - Bradem Larsonem.

Rozmawiając z Lisą przez telefon stacjonarny, Julie esemesowała jednocześnie z Laurą i Bradem. Ci siedzieli obok siebie w vanie należącym do Uniwersytetu Taylora, wracali z uniwersyteckiego kampusu w Fort Wayne do Upland. Tego wieczoru Laura i Brad obsługiwali bankiet z okazji zaprzysiężenia nowego rektora uniwersytetu.

- Czekaj, czekaj, to jest niezłe - krzyknęła Julie do Lisy.

- Czemu? Co napisali?

- Słuchaj. Oboje wysłali mi taką samą wiadomość w tym samym momencie; esemes o treści: „Do kogo odpiszesz najpierw? Wybór należy do ciebie”.

Lisa parsknęła śmiechem.

- A to dobre. Czyli: komu pierwszemu odpiszesz, tego bardziej lubisz? Bardzo zabawne. To kogo wybierasz?

- Nie wiem. A ty kogo byś wybrała? - spytała Julie. - Nie, co ja gadam? Głupie pytanie. Oczywiście, że siostrę... Dobra, poczekaj sekundę, odpiszę im - Julie wysłała esemesy do obojga, ale nie powiedziała Lisie, do kogo najpierw. Ani Laura, ani Brad nie odpowiedzieli na wiadomość.

W tym samym czasie piętro niżej siedział Don Van Ryn i właśnie zaświtała mu w głowie myśl, żeby zadzwonić do Laury. Dopiero co wrócił do domu po wyjątkowo długim dniu pracy na targach w Detroit. To był dobry dzień, między innymi dlatego, że na targach Don spotkał chłopaka Laury, Aryna Linengera, i zjadł z nim lunch. Aryn był nie tylko chłopakiem ich córki. Don i Susie wiedzieli, że zamierzał

poprosić Laurę o rękę, gdy tylko, za trzy tygodnie, ukończy szkołę. Młodzi poznali się, kiedy Laura była świeżo upieczoną licealistką, a Aryn zaczynał ostatnią klasę. Od tego czasu byli zawsze razem. Don i Susie zaczęli już traktować Aryna jak zięcia, dlatego przyszły teść bardzo lubił spędzać z nim czas.

Kiedy obaj przechadzali się po terenie targów, zadzwoniła komórka Aryna. Dzwoniła Laura. Rozmawiali chwilę, po czym Aryn zwrócił się do Dona:

- Chce pan coś powiedzieć Laurze?

Don wziął telefon i spodziewając się, że usłyszy głos córki, powiedział:

- Hej, Laurie.

Nie było odpowiedzi. Powtórzył raz jeszcze, ale połączenie zostało zerwane.

- Nieważne - powiedział do Aryna, wręczając mu telefon. - Później z nią pogadam.

Teraz już było później, ale Don czuł się zbyt zmęczony, mógł jedynie zrzucić buty i położyć się na ulubionym fotelu.

Susie wróciła do domu niewiele wcześniej niż Don. W środy w salonie fryzjerskim, w którym pracowała, był młyn, do tego jeszcze w drodze do domu musiała załatwić parę spraw. Próbowwała dodzwonić się do Laury między ósmą a wpół do dziewiątej, ale za każdym razem odzywała się poczta głosowa. Susie za bardzo się tym nie przejęła. Postanowiła spróbować jeszcze raz po powrocie do domu, ale zanim się spostrzegła, był już późny wieczór.

Około dwudziestej drugiej zadzwonił telefon domowy. Susie odebrała i usłyszała męski głos.

- Czy to dom państwa Van Rynów? - Susie pomyślała, że to jakiś telemarketer, chociaż oni raczej nie dzwonili o tej porze. Mężczyzna przedstawił się jako kapelan szpitala Parkview w Fort Wayne.

- Państwa córka trafiła do nas jako pacjentka - poinformował. - Uległa bardzo poważnemu wypadkowi, który miał miejsce dziś wieczorem. Jej stan jest ciężki, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

„Fort Wayne? Co robi Laura w Fort Wayne?” - Susie usiłowała znaleźć sens w tym, co usłyszała.

Donowi wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Susie i już wiedział, że coś się stało któremuś z ich dzieci. Chwycił za drugi aparat telefoniczny i zdążył usłyszeć, że Laura leży nieprzytomna na oddziale intensywnej terapii. Ma kilka złamań i bardzo poważny uraz czaszki. Don poczuł, jak jego ciało drętwieje.

Susie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, a jej twarz pobraźniała. Laura była najmłodszą z czwórki ich bardzo niezależnych dzieci. Po każdym z nich można się było spodziewać czegoś takiego: że wsiądą w samochód i pojedą dokądkolwiek bez najmniejszego zastanowienia. Każdego dnia Susie modliła się o ich bezpieczeństwo, ale nie była przygotowana na taki telefon. Podskoczyło jej tętno i z trudem oddychała.

- Może pan powtórzyć?

- Państwa córka, Laura, doznała poważnych obrażeń w wyniku wypadku samochodowego. Jest nieprzytomna i jej stan jest ciężki. Leży na oddziale intensywnej terapii, ale jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo - odpowiedział kapelan.

Odruchowo Don rzucił wszystko i zaczął zbierać się do wyjazdu do Fort Wayne.

- Gdzie dokładnie jest ten szpital? - zapytał.-Już jedziemy. Susie poszła na górę do pokoju Lisy.

- Laura miała wypadek - oznajmiła córce. - Jedziemy z tatą do Fort Wayne. Jeśli chcesz się z nami zabrać, to wyjeżdżamy za dziesięć minut.

Jeśli chcę się zabrać? Oczywiście, że chcę!" - pomyślała Lisa. Wrzuciła do plecaka szczoteczkę do zębów i Biblię, wychodząc, złapała jeszcze sweter i komórkę. Nic więcej. Przed wyjściem zdążyła zadzwonić do koleżanki z prośbą o zastępstwo nazajutrz na jej zmianie w Olive Garden. Myślała, że za parę dni wróci do pracy. Ani ona, ani jej rodzice nie mieli pojęcia, co ich wkrótce czeka.

Don, Susie i Lisa wsiedli do samochodu i udali się na południe, w kierunku Fort Wayne. Jak się później okazało, Lisa spakowała się znacznie lepiej niż rodzice. Żadne z nich nie przygotowało się na dłuższy pobyt poza domem. Wiedzieli tylko, że Laura miała wypadek i że muszą do niej dotrzeć możliwie jak najszybciej.

Jeszcze przed zjazdem na autostradę międzystanową 1-96 Don próbował dodzwonić się do Aryna. „Cześć, tu Aryn. Nie mogę w tym momencie odebrać telefonu. Zostaw wiadomość, a ja oddzwonię”.

- Aryn, tu Don. Proszę cię, jak tylko będziesz mógł, zadzwoń na moją komórkę - nagrał się na pocztę głosową, po czym wybrał numer domowy Aryna. Też bez odpowiedzi.

- Może spróbujesz do Jima i Trbcie? - zaproponowała Susie. - Mogą wiedzieć, gdzie on jest.

- Dobry pomysł - zgodził się Don i wybrał numer domowy rodziców Aryna.

-Jim? Z tej strony Don Van Ryn. Próbuję się skontaktować z Arynem. Nie ma go z wami?... A wiecie, gdzie może być?... Słuchaj, właśnie dostaliśmy wiadomość, że Laura miała wypadek samochodowy w Indianie. Jedziemy teraz z Susie i Lisą do szpitala Parkview w Fort Wayne. Za dużo jeszcze nie wiemy, tylko tyle, że leży na OIOM-ie w ciężkim stanie... Mhm... Powiedzieli nam, że jechała vanem, w który uderzyła ciężarówka, ale nic więcej.

W czasie kiedy Don próbował namierzyć Aryna, Lisa siedziała na tylnym siedzeniu samochodu i starała się skontaktować z braćmi, Kennym i Markiem. Kenny spędzał ten tydzień u kolegi w Chicago, a Mark miał zajęcia na Uniwersytecie Northern Michigan w Marquette. Między telefonami do braci zadzwoniła jej komórka.

- Cześć, Dawn... Nie, też nic więcej nie wiemy. Co słyszałaś? Podali jeszcze jakieś inne nazwiska? Jeśli się czegoś dowiemy, dam znać - tak skończyła się rozmowa, a Lisa zwróciła się do rodziców: - Rozmawiałam z Dawn, siostrą Brada. Jest strasznie roztrzęsiona.

- Do którego szpitala zabrali Brada? - spytała Susie.

- Nie wiem. Im też nic nie powiedzieli. Susie zrobiło się niedobrze.

- O nie - szepnęła. - Nie podoba mi się to wszystko.



Mniej więcej w tym samym czasie zadzwonił telefon Dona. Nieznany numer.

- Don Van Ryn - przedstawił się, a następnie słuchał przez chwilę, zanim się odezwał: - Suz, to szpital. Chcą umieścić w czaszce Laury jakieś urządzenie do pomiaru ciśnienia w mózgu, ale potrzebują do tego naszego pozwolenia.

- Oczywiście. Niech robią, co tylko mogą - głos Susie łamał się, gdy wypowiadała te słowa. „Boże - modliła się - co zobaczymy na miejscu?”.

Choć Carly czuła już znany każdemu licealiście stres ostatnich tygodni przed końcem semestru, środowy wieczór zdecydowała się spędzić nie na nauce, lecz grając w tenisa ze swoją przyjaciółką Terrą. Wypracowania i projekty mogły poczekać jeden dzień. Carly nie była amatorką tenisa. Chodziło jej o Terrę, która przechodziła trudne chwile po rodzinnej tragedii i potrzebowała przyjaciela. Odbijanie piłki na kortach położonych przy uniwersyteckiej kaplicy Rediger wydało się Carly doskonałym sposobem na oderwanie myśli koleżanki od bolesnych przeżyć, choćby na godzinę czy dwie. Mecz nie był zbyt zacięty. Dziewczyny, grając, rozmawiały o szkole, znajomych, planach na przyszłość. Nie pojawił się tylko jeden temat - Terry i jej rodzinnych problemów, czyli stało się tak, jak to zaplanowała Carly. Nie żeby unikała tego tematu. Po prostu taki cudowny wiosenny wieczór w stanie Indiana nie był ani dobrym czasem, ani miejscem. A smutek i tak powróciłby po zakończeniu gry.

Mniej więcej w połowie meczu na korty od strony parkingu przybiegł chłopak Carly, Ben. Z początku pomyślała, że chce zmierzyć się ze zwyciężczynią, ale potem zobaczyła jego minę.

- Musisz natychmiast zadzwonić do Whitney - w jego głosie słysząc było panikę. - Jeden z vanów Uniwersytetu Taylora miał wypadek. Możliwe, że nim jechała.

- Poważny wypadek? - spytała Carly. Ben nie odpowiedział. Spuścił wzrok i przestępował z nogi na nogę.

Carly poczuła, jak jeżą jej się włosy na głowie. Pognęła do samochodu, chwyciła telefon komórkowy i wybrała numer Whitney. Po kilku sygnałach usłyszała nagranie z poczty głosowej. Carly rozłączyła się i spróbowała ponownie. Znowu poczta głosowa. Spróbowała raz jeszcze. I jeszcze raz. I jeszcze. Nic.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - spytała Bena.

- Mówili w wiadomościach. Wszyscy na kampusie już wiedzą - wyjaśnił.

Na te słowa Carly wskoczyła do samochodu, poprosiła, by Ben i Terra zrobili to samo, i pojechali przez kampus do Olson Hall, akademika Whitney. Jeśli ktoś miałby znać szczegóły, to tylko kierowniczką Olson, Shelley. Tyle że nikt nie wiedział, gdzie ona może być. W miarę jak roznosiła się wieść o wypadku, do Olson przychodziło coraz więcej studentów. Większość z nich płakała, co zdenerwowało Carly. Nie chciała, żeby ktokolwiek płakał z powodu Whitney, gdyż sama nie przyjmowała jeszcze do wiadomości, że jej siostra miała wypadek. Z tego, co wiedziała, Whitney nie jechała vanem, który miał wypadek, ale drugim, którym wracali inni

studenci obsługujący tego wieczoru bankiet w Fort Wayne. A nawet jeśli Whitney rzeczywiście uległa wypadkowi, nikt nie mógł wiedzieć, jak bardzo ucierpiała.

Carly wyszła na zewnątrz, na trawnik przed akademikiem, i zadzwoniła do domu. Nikt nie odebrał, nie odezwała się automatyczna sekretarka. Spróbowała zadzwonić na komórkę ojca. Bez powodzenia. „Pewnie rozmawiają ze sobą” - pomyślała.

- Aaj! Przełącz się! - powiedziała, gdy znów odezwała się poczta głosowa taty. Cały czas naciskała przycisk „redial” w nadziei, że w końcu uda jej się połączyć z którymś z rodziców.

- Dużo dzisiaj zrobiliście? - spytała Newella Colleen. Rozmawiali już od jakichś dziesięciu minut. Newell pojechał do Missisipi z grupą kobiet i mężczyzn z lokalnej wspólnoty, aby pomagać przy odbudowie domów zniszczonych przez huragan Katrina. Z całego kraju na osiedle przybyło około 350 wolontariuszy w ramach programu Habitat for Humanity\*.

- Dość sporo, biorąc pod uwagę ten upał. Nie mogę uwierzyć, że w kwietniu może być tak gorąco. Nie chciałbym tu trafić w środku lata - telefon Newella zasygnalizował nową rozmowę przychodzącą. Zignorował ją.

- A jak wam dzisiaj poszło czytanie Biblii?

- Naprawdę nieźle - ucieszyła się Colleen. - Miałyśmy piękną modlitwę. Dziewczyny otworzyły się bardziej niż zazwyczaj - teraz odezwał się jej telefon.

- O, teraz mój dzwoni.

\* Habitat for Humanity - działająca w ponad 100 krajach pozarządowa organizacja chrześcijańska, której celem jest pomoc w budowie lub odbudowie domów najbiedniejszych rodzin.

- To pewnie Carly albo Whitney. Kto inny by się tak dobijał? - zażartował Newell. - Chcesz się przełączyć?

- Zaraz oddzwonię. Cały dzień z tobą nie rozmawiałam. Stęskniłam się. Nie mogę się doczekać, aż wrócisz do domu.

- Ja też. Oho, znów dzwoni. Może powinienem odebrać? - zasugerował Newell.

- Przełącz się i sprawdź, o co chodzi, ja poczekam - powiedziała Colleen.

Spróbował, ale nie zdążył odebrać.

- Znowu dzwoni mój. Oddzwonię do ciebie - zdecydowała Colleen. Nacisnęła zieloną słuchawkę. - Halo.

- Mamo - w głosie Carly dało się słyszeć desperację. Colleen już wiedziała, że coś się stało. - Jeden z uniwersyteckich vanów miał wypadek. Nikt nie potrafi potwierdzić, czy Whitney w nim była, czy nie. Musisz się za nią pomodlić. Proszę, pomódl się za nią.

Colleen zapytała o szczegóły, ale niczego więcej się nie dowiedziała.

- Za dziesięć minut w kaplicy odbędzie się msza. Może wtedy coś więcej powiedzą. Zadzwonię, gdy tylko się czegoś dowiem - zakończyła Carly i zadzwoniła do ojca, któremu zdała podobny raport. Jak tylko się rozłączyła, jeden po drugim zaczęli do niej dzwonić znajomi. Nie odbierała.

Gdy Carly, Ben i Terra weszli do kaplicy Rediger na modlitwę i czuwanie, budynek był już wypełniony studentami. Większość z nich szlochała. Carly nie chciała z nikim rozmawiać, więc weszła po schodach na balkon. Czuła się jak w innym świecie. Otoczyli ją płaczący przyjaciele. Ona sama

nie pozwoliła sobie na łzy, choć jej ciało trzęsło się ze strachu. Nadal wierzyła, że jej siostrze nic się nie stało.

Po czasie, który wydał jej się wiecznością, na ambonę wszedł urzędnik Uniwersytetu Taylora i poinformował, że wcześniej tego wieczoru zmierzająca na północ ciężarówka z naczepą zjechała na przeciwny pas autostrady 1-69 i uderzyła w kierujący się na południe uniwersytecki van w pobliżu zjazdu na Marion. W vanie było pięciu studentów oraz czterech pracowników cateringu. Pięć z dziewięciu osób zginęło na miejscu. Nazwiska nie zostaną ogłoszone do czasu poinformowania rodziców. Kaplica rozbrzmiała płaczem i zawodzeniem. Serce Carly jakby się zatrzymało. Urzędnik wyjaśnił, że dwoje rannych zostało przewiezionych helikopterem do szpitala Parkview w Fort Wayne. Jedna z osób była w stanie ciężkim. Reszta ofiar trafiła do Marion General Hospital, który znajdował się około 25 kilometrów od kampusu.

Carly drgnęła i wybiegła z budynku. Musiała jak najszybciej dostać się do Marion. Nikt nie był w stanie podać jej żadnych informacji o Whitney. Skoro pięć ciał i dwoje rannych zabrano do Marion General Hospital, właśnie to miejsce wydało jej się najlepsze (a do tego najbliższe) do poszukiwania odpowiedzi.

W drodze do szpitala Carly i jej przyjaciele błagali Boga o życie Whitney. Carly nie była w stanie wypowiedzieć innych słów niż: „Proszę, Boże, oddaj mi moją siostrę”. Powtarzała to jedno zdanie bez końca. Jej towarzysze szlochali, ale ona nie uroniła łzy. „Nie mogę płakać - przekonywała samą siebie.

-Jeśli będę słaba, ulegnę najgorszym lękom. Nie zrobię tego. Whitney jest jedną z rannych. Musi tak być".

Zajechali na szpitalny parking i pobiegli do wejścia. W głównym holu zebrał się już spory tłum. Carly podeszła do recepcji.

- Dowiedziałam się, że przywieziono tu moją siostrę, Whitney Cerak. Może mi pani powiedzieć, w której jest sali i jak się czuje? Recepcjonistka przewinęła kilka list w komputerze.

- Przepraszam, ale nie mam żadnych danych o pani siostrze.

- Ale ona była w uniwersyteckim vanie, który miał wypadek. Słyszałam, że do was trafili ranni.

- To się zgadza. Ale nie mogę podać żadnych konkretnych informacji o tym, kogo tu przywieźli ani w jakim stanie są te osoby.

- Więc kto może mi powiedzieć? - powiedziała Carly, już wyraźnie sfrustrowana. Wtedy podeszła pielęgniarka.

- Czy dobrze słyszałam? Jest pani członkiem rodziny jednej z ofiar dzisiejszego wypadku?

- Zgadza się.

- Jeśli pani chce, może pani poczekać w kaplicy. Gdy tylko otrzymamy jakieś informacje, ktoś podejdzie i je przekaże -pielęgniarka poprowadziła Carly i jej przyjaciół korytarzem do kaplicy. Teraz musieli czekać. I czekać. I czekać.

Tymczasem w Gaylord, w stanie Michigan, Colleen wychodziła z siebie, czekając na informacje. Chcąc się upewnić, że linia telefoniczna jest dostępna, wykonała tylko jeden telefon.

Zadzwoiła do Boba Scotta, swego przyjaciela, na którego pomoc i modlitwę zawsze mogła liczyć.

- Whitney miała wypadek, ale nie wiemy, czy coś się jej stało. Mógłbyś się za nas pomodlić? - poprosiła. Bob zapewnił, że to zrobi.

Następnie usiadła i sama zaczęła modlitwę do Boga. W tym czasie do jej salonu weszli rodzice Terry, którzy mieszkali nieopodal, i przyłączyli się. Niedługo dołączył do nich Jim Mathis. Czas włókł się nieubłaganie, a telefon nie dzwonił, więc Colleen postanowiła sama zadzwonić do starych znajomych w Upland. Pomyślała, że miejscowe media mogły przekazać już nieco więcej szczegółów. Nikt jednak nie potrafił jej pomóc. Urzędnicy jeszcze nie podawali żadnych nazwisk.

W końcu Colleen spróbowała połączyć się z ostatnią znaną sobie osobą w stanie Indiana, ale nikt nie odebrał. Zdażyła tylko odłożyć komórkę, gdy rozległ się dzwonek telefonu domowego. Głośno przełknęła ślinę, zanim podniosła słuchawkę.

-Halo.

- Czy mogę rozmawiać z Newellem lub Colleen Cerak? -Tu Colleen.

Mężczyzna przedstawił się jako kapelan hrabstwa Grant.

- Przykro mi - zaczął - ale państwa córka Whitney uległa dziś wieczór wypadkowi. Jak ustalono, zginęła na miejscu.

Colleen zeszywniała. Po jej twarzy popłynęły łzy.

- Co... czy... czy mnie do czegoś potrzebujecie? - widząc jej reakcję, przyjaciele zbliżyli się do niej i objęli ją.

- Potrzebujemy pani lub pani męża. Trzeba ustalić, w jaki sposób ciało ma być do państwa przewiezione. Bardzo mi przykro, że musiałem to pani powiedzieć. Boleję również nad waszą stratą - zakończył kapelan.

Zaraz po odłożeniu słuchawki Colleen zadzwoniła do Newella. Głos jej się łamał.

- Tak mi przykro. Tak mi przykro - z trudem wyrzucała z siebie słowa. - Whitney odeszła.

-Nie... Nie, Colleen - drżącym głosem zaprotestował Newell.

- Odeszła, Newell - powtórzyła Colleen. - Stwierdzili zgon na miejscu - oboje wybuchnęli płaczem.

Gdy Newell zakończył rozmowę, *otoczyli* go jego współpracownicy z Missisipi. Objęli go ramionami i zaczęli się modlić.

- Nie. Nie. Nie Whitney! - Newell potrafił powiedzieć tylko tyle.

Carly siedziała dalej z przyjaciółmi w kaplicy Marion General Hospital. Na teren szpitala przyjeżdżało coraz więcej studentów. Nikt nie wiedział nic więcej ponad to, co zostało ogłoszone w krótkiej informacji przekazanej w kaplicy Rediger. W końcu zadzwoniła komórka Carly. Dziewczyna wyszła na korytarz, żeby odebrać, a za nią podążył Ben. Dzwonił Jim Mathis. Colleen z najwyższym trudem zdobyła się na telefon do Newella. Wiedziała, że nie powinna czekać z poinformowaniem Carly do czasu, aż weźmie się w garść, dlatego poprosiła o to Jima. Jak tylko usłyszała jego głos, Carly wiedziała, że wieści są złe. Słyszała w tle dźwięki płaczących ludzi. Kiedy Jim powiedział, że Whitney nie przeżyła, upadła na ziemię,



zaczęła wrzeszczeć i płakać. Ben z wściekłości kopnął krzesło i wydał z siebie okrzyk rozpacz. Towarzysze Carly wybiegli na korytarz i zaczęli ją przytulać. Pomogli jej wstać i zaprowadzili ją z powrotem do kaplicy.

Szpitalny personel zorganizował dla nich specjalny pokój, w którym mogli schronić się przed tłumem studentów i mediami. Pojawili się urzędnicy z pytaniami dotyczącymi Whitney. Pytali o wiek, datę urodzenia, dane, jakie normalnie znajdują się w nekrologach. Później ktoś przyniósł Carly torebkę Whitney i kilka innych rzeczy osobistych. Wszystko cuchnęło benzyną. Carly odepchnęła je od siebie i pograżyła się w jeszcze większej rozpacz. Gdy tak siedziała, łkając, olśniła ją pewna myśl. „Okej, Carly. Przed tobą wielka próba. Czy nadal kochasz Boga, mimo że twoja siostra nie żyje?”. Spojrzała na przyjaciół, a po jej policzkach płynęły strumienie łez.

- Bóg i tak jest dobry - powiedziała. - Ten wypadek niczego nie zmienia.

Zadzwoił jej telefon. Spojrzała na ekran, na którym wyświetliło się „Tata”. Otworzyła klapkę telefonu i wyszła na korytarz, gdzie mogła być sama. Nikt za nią nie poszedł. Pobiegnęła na koniec korytarza i przycisnęła telefon do ucha. Na dźwięk głosu ojca oparła się o ścianę i osunęła na podłogę. Płakała tak, jak nigdy wcześniej w swoim życiu. Jej ciało przeszywał ból, a z ust wyrywały jej się niekontrolowane jęki.

- Tato, nieeeeee... - wyła do słuchawki. - Nie, tato. Whitney nie mogła odejść. To moja najlepsza przyjaciółka.

## OIOM

*Środa, 26 kwietnia 2006 roku*

Moja Laurie! Takiej rozmowy telefonicznej nigdy bym nikomu nie życzyła. Nie potrafię opisać własnych uczuć - lęk, niepewność, nieustanne błaganie Boga, aby Cię oszczędził, wdzięczność, że żyjesz, niedowierzenie - jakby to wszystko było snem. Droga do Fort Wayne była dłuuga. Ciągłe telefony. Od samego początku, od zmartwionych, zawsze Cię kochających i modlących się za Ciebie ludzi. Dojechaliśmy tu (Lisa, Tata i ja) o około 1.15 nad ranem. Przywitała nas grupa Twoich przyjaciół z TU\*. Kiedy nas do Ciebie zaprowadzili, kochanie, moje serce było przepełnione matczyną miłością. Gdy zobaczyłam moje Słoneczko przypięte do tych wszystkich rurek, myślałam, że tego nie zniosę. Nie mogę uwierzyć w to, jak silny jest Bóg przy moich słabościach. Tylko On był w stanie podtrzymać mnie na duchu. Kilka godzin po nas dojechali Aryn, Jim i Trixie. Aryn strasznie to przeżył. Tak bardzo Cię kocha. I ja też, słodka Laurie.

*Z modlitewnika Susie*

\* Skrót od: Taylor University.

Musicie się przygotować na to, co tam zobaczycie - lekarz ostrzegł Dona, Susie i Lisę, stojących przed drzwiami wejściowymi na oddział intensywnej terapii. - Laura przeleciała po uderzeniu jakieś 15 metrów. Twarz ma posiniaczoną i pokaleczoną. Oddycha przez respirator. Gdy ją tu przywieźli, oddychała samodzielnie, ale uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli funkcję oddychania przejmie respirator, a ciało skupi się na rekonwalescencji.

- Ale przeżyje to, prawda? - spytał Don. Susie przysunęła się do niego i ścisnęła jego ramię.

- Państwa córka jest w stanie ciężkim. Jeszcze nie poznaliśmy pełnego rozmiaru obrażeń ciała. W tym momencie powiedziałbym, że rokowania są obiecujące. Ale nie spodziewajcie się, że w krótkim czasie wyjdzie stąd o własnych siłach. Ma kilka pękniętych kości, roztrzaskany łokieć, poważnie złamaną nogę i obojczyk. Najbardziej niepokoi nas uraz mózgu. Nie możemy po prostu wykonać prześwietlenia, aby się przekonać, jak rozległe są obrażenia. Dlatego kiedy do niej wejdziecie, nie przestraszcacie się rurki wychodzącej z jej czaszki. To jest właśnie miernik ciśnienia, w sprawie którego dzwoniliśmy wcześniej - lekarz przerwał na moment i dodał: - Macie jakieś pytania?

Don, Susie i Lisa popatrzyli na siebie, próbując zrozumieć to, co przed chwilą usłyszeli. Choć wiedzieli, że Laura odniosła poważne obrażenia, nie mieli pojęcia, czego się mogą spodziewać po przyjeździe do szpitala. Susie spojrzała na Dona, a z jej oczu popłynęły łzy. Mąż przytulił ją do siebie. W końcu odezwała się Lisa:

- Możemy już wejść?

-Jeszcze nie, ale już niedługo - odparł lekarz. - Wciąż ją układamy na łóżku i podłączamy aparaturę. Gdy tylko będzie gotowa, zawoła was pielęgniarka. I jeszcze raz: proszę się przygotować. Nie będzie wyglądać jak dziewczyna, którą znacie.

Don zerknął na zegarek. Dochodziła druga nad ranem, do wypadku doszło około pięciu godzin wcześniej. „Co jeszcze mogą z nią robić? - pomyślał. - Czyżby było aż tak źle?”.

Zgodnie z wytycznymi lekarza Don, Susie i Lisa przeszli do poczekalni OIOM-u wypełnionej już przyjaciółmi Laury z uczelni. Gdy pojawili się Van Rynowie, wszystkie oczy zwróciły się na nich. Współlokatorki Laury uściskały Susie i Lisę. Znalazło się również dwóch pracowników administracyjnych Uniwersytetu Taylora - Wynn Lembright i Skip Trudeau.

- Co z nią? - zapytał Wynn.

- Walczy - odpowiedział Don.

- To dobrze. Modli się za nią wielu ludzi - zapewnił Wynn.

- Wiem, wiem - powiedział Don, podczas gdy jego umysł na najwyższych obrotach w dalszym ciągu przetwarzał słowa lekarza. - Gdy weszliśmy, hol był pełen studentów. Powiedzieli nam o nocnej mszy na uniwersytecie.

-Jakieś wieści o innych rannych? - wtrąciła się Lisa. Wynn i Skip spojrzeli na siebie.

- Laura jest jedną z czterech osób, które przeżyły - powiedział Skip. - Ale spośród nich to ona ucierpiała najbardziej.

- Co z Bradem Larsonem? - dopytywał się Don. Wynn i Skip ponownie spojrzeli na siebie.

- Możemy im chyba powiedzieć, skoro wkrótce mają to ogłosić oficjalnie na uczelni - zdecydował Wynn. Tu zrobił krótką przerwę. - Brad nie przeżył. Zginął w wypadku wraz z pracownicą Moniką Felver i studentkami: Laurel Erb, Betsy Smith oraz Whitney Cerak.

- Nie, nie, nie! - wydusiła Lisa, łkając.

- O rany... - Don westchnął głęboko i objął ramionami Susie. Van Rynowie byli mocno zżyci z Bradem i jego siostrą Dawn, tą samą, która dzwoniła do Lisy podczas ich podróży z Caledonii. Zarówno Brad, jak i Dawn pracowali z Van Rynami w charakterze opiekunów na obozie biblijnym na Półwyspie Górnym.

Wiadomość Wynna o śmierci Brada, Laurel, Betsy, Whitney i Moniki usłyszeli zgromadzeni w poczekalni studenci. Wkrótce poczekalnię wypełniły dźwięki ich płaczu i zawodzeń.

Kiedy do sali Laury na OIOM-ie weszli Don, Susie i Lisa, w środku panował półmrok. Leczeniu pacjentów z urazami mózgu sprzyja niewielka ilość światła i bodźców. Po obu stronach łóżka Laury znajdowały się monitory, na których migotały liczby i zmieniające się wykresy. Każdy z aparatów wydawał z siebie miarowe dźwięki, które w ciszy pomieszczenia zdawały się głośniejsze niż w rzeczywistości. Pomimo przyciemnionych świateł potrafili rozpoznać nieruchomą twarz Laury wystającą spod białych bandaży opasujących jej głowę.

- Wygląda, jakby miała okłady na ból zębów - wyrwało się Donowi.

Żadne z nich do końca nie wiedziało, co powiedzieć. Chociaż dziewczyna była cała spuchnięta od skaleczeń i sińców,

spod bandażu wystawały jej blond włosy, a jej nos, usta i reszta twarzy wyglądały normalnie, jak u dawnej Laury. Do ust miała wprowadzoną rurkę od respiratora. Ponad czołem, z czubka głowy, nieco po prawej stronie, wystawała niczym cień rurka miernika ciśnienia. Do tego po obu stronach ciała pacjentki odchodziły rurki kroplówek oraz kable aparatury monitorującej.

Susie zbliżyła się do Laury. Dźwięki przyrządów i szum respiratora sprawiły, że jej serce prawie stanęło.

- Oh, Laurie - wyszeptała, pochylając się i chwytając dłonie córki. Rozpłakała się. - Jesteśmy przy tobie... Jesteśmy.

- Laurie, to ja, tata - powiedział delikatnie Don. - Nie wiem, czy nas słyszysz, czy nie, ale to nieistotne.

Rozejrzał się po sali i odetchnął. Zamiast paniki i strachu poczuł, jak ogarnia go uczucie spokoju.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił. - Trzymaj się mocno i walcz. Wiem, że wszystko będzie dobrze.

Lisa podeszła i objęła matkę. W tym czasie Susie żarliwie się modliła: „Tak mi ciężko, ale ufam Tobie, Panie. Laura jest w Twoich rękach... W Twoich rękach”.

Lisa położyła dłoń na plecach Susie, aby ta wiedziała, że córka jest przy niej.

„Boże, wiem, że masz swój plan co do życia Laury - Susie kontynuowała modlitwę. - Ale to nie może się tu skończyć. Wiem, że to nie może być koniec”.

Do sali weszła pielęgniarka i zaczęła regulować jedno z urządzeń kontrolnych.

- Suz - Don zwrócił się do żony. - Musimy dać jej odpocząć.

Susie spojrzała na niego wzrokiem, którym wyraźnie dała do zrozumienia, że nie zamierza puszczać dłoni Laury.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją. - Jest w dobrych rękach.

Pielęgniarka uśmiechnęła się, ale Don nie miał na myśli tylko szpitalnego personelu. Zawsze czuł, że brakowało mu w życiu optymizmu, ale teraz Bóg obdarzył go spokojem ducha. Był przekonany, że Laura wyjdzie z tego bez szwanku. W ciągu minionych dwóch miesięcy wzbudziły w nim zainteresowanie takie biblijne opowiadania, jak historia Hioba czy innych postaci, które przeszły niespotykane cierpienia i na końcu odnalazły Boga, aby być mu wiernymi. „Bóg się nie zmienił - pomyślał. - Nadal ma tu pracę do wykonania”. Następnie myśli Dona powędrowały w kierunku Moniki, Betsy, Laurel, Whitney i Brada; zwłaszcza Brada. Westchnął głęboko. „Dlaczego my, a nie oni, Panie? Czemu to właśnie nasza córka przeżyła, a nie jedno z nich?”.

Mniej więcej dwie godziny po tym, jak Van Rynowie przybyli do Fort Wayne, w szpitalu znalazł się Aryn z rodzicami. Jego myśli pędziły jak oszalałe, kiedy wyskakiwał z auta i zmierzał ku drzwiom wejściowym szpitala. Przez głowę przelatywały mu wspomnienia związane z Laurą i mieszały się ze strachem, że mógłby już nigdy nie przeżyć podobnych chwil. Kiedy przekroczył próg poczekalni OIOM-u, Don, Susie i Lisa zerwali się, podbiegli i objęli go. Popłynęły łzy.

- Chciałbyś ją zobaczyć? - zapytał Don.

Aryn wziął głęboki oddech, po czym przytaknął. Don i Susie wzięli go pod rękę i poprowadzili korytarzem w kierunku sali Laury.

Gdy znaleźli się w środku, Aryn oniemiał. Próbował coś powiedzieć, cokolwiek. Chciał powiedzieć Laurze, jak bardzo ją kocha, ale słowa nie mogły przejść mu przez gardło. Tylko stanął przy jej łóżku, patrzył, jak oddycha, i modlił się, by po każdym wydechu nastąpił kolejny wdech.

Niedługo po przybyciu Aryna do poczekalni wszedł pracownik szpitala.

- Tu są rzeczy Laury - oznajmił, wręczając Lisie torbę z butami i kilkoma innymi rzeczami osobistymi.

Lisa sięgnęła do torby i wyjęła z niej trampki Converse All-Star, które personel zdjął ze stóp dziewczyny.

- To nie jej buty - stwierdziła.

Aryn wziął od niej jeden but i potwierdził:

- Nigdy nie widziałem, żeby w takich chodziła.

- Cóż, miała to na sobie, gdy ją przywieźli - tłumaczył pracownik szpitala.

Gdy Lisa wyciągała z torby kolejne przedmioty, reagowała na nie tak samo jak Aryn. Żadna z rzeczy nie przypominała im niczego, co było własnością Laury. Jednak żadne z nich nie zastanawiało się nad tym dłużej.

- Laura zawsze pożyczała ode mnie ciuchy, kiedy mieszkaliśmy razem - zauważyła Lisa. - Wątpię, żeby to się miało zmienić w nowej szkole. To wszystko należy pewnie do jej koleżanki z pokoju. Ale to jest jej portmonetka.



Wcześniej, wieczorem, rodzina dostała informację, że ratownicy medyczni znaleźli ją przy ciele Laury. To jej zawartość pomogła im przy identyfikacji.

- Co do reszty, to chyba musieli zgadywać - stwierdził Aryn. - Z tego, jak wypadek opisywali Wynn i Skip, wynika, że wszystko było porozrzucane.

Przerwał, bo uderzyła go pewna myśl: v -Jak daleko od vana leżała Laura?

- Piętnaście metrów.

- O rany - powiedział cicho, niemal szepcząc. - To cud, że w ogóle żyje.

- Tak - przytaknęła Lisa. - Prawdziwy cud.

Zanim dojechali Kenny i Mark, studenci Uniwersytetu Taylora już dawno opuścili szpital, a w poczekalni OIOM-u zostali tylko Van Rynowie i Aryn z rodzicami. Podróż samochodem z Chicago zajęła Kenny emu kilka godzin, a Mark przyleciał do Fort Wayne z Marquette. I jeden, i drugi przekraczali próg poczekalni pełni determinacji, jakby spełniali jakąś misję. Pierwsze słowa, jakie każdy z nich wypowiedział, brzmiały: „Czy coś wiadomo?”. Żadnego „cześć, mamó” czy „cześć, tato”. Obaj od razu przeszli do sedna.

Don, Susie i Lisa zaprowadzili Kenny ego do sali, w której leżała Laura. Nie odezwał się ani słowem, tylko stał i patrzył na siostrę. Spędził tam tylko minutę lub dwie, po czym wrócił do poczekalni. Cztery godziny później przyjechał Mark. Jego również zaprowadzili do siostry. Wszedł do środka, zobaczył ją, odwrócił się i wyszedł zalany łzami. Dla Dona najgorszym przeżyciem tej nocy było jednak coś innego: musiał

poinformować obu synów o śmierci Brada. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak poradziłaby sobie cała jego rodzina, gdyby w wypadku zginęli i Brad, i Laura.

Gdy już cała piątka znalazła się w szpitalu Parkview, Don posadził przed sobą Susie, synów i Aryna i zrelacjonował im wszystko, czego do tej pory dowiedział się od lekarzy.

- Oto, co wiemy - zaczął. - Noga jest w kiepskim stanie i prawdopodobnie prędzej czy później będzie wymagała operacji. Możliwe, że łokieć też. Najbardziej niepokoi ich uraz mózgu. Myślę, że dopiero za parę dni będziemy wiedzieć, co tak naprawdę się dzieje.

Zdroworozsądkowe podejście do życia Don zawdzięczał holenderskim korzeniom. Nie zamierzał upiększać tego, co usłyszał od personelu, ani też nie próbował wybiegać zbyt daleko w przyszłość. Raport zakończył słowami:

- Więc tak wygląda sytuacja. Jakieś pytania?

Pytań nie było. Resztę nocy spędzili w poczekalni, tuż obok oddziału intensywnej terapii. Nikt nie usnął. Van Rynowie, a także Aryn i jego rodzice siedzieli zdenerwowani i robili tylko jedno, do czego byli zdolni: czekali. Miała to być jedyna noc, którą cała rodzina spędziła w szpitalu w komplecie. Ale to był dopiero początek ich drogi. Wkrótce mieli się przekonać, że właśnie wystartowali w maratonie, bo na pewno nie w sprincie. Żadne z nich nie mogło mieć pojęcia, gdzie była meta. Mogli tylko czekać i się modlić.

Ostatecznie miało to wystarczyć.

## **Pogodzić się z nową rzeczywistością**

Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę - powiedziała Colleen do Jima w drodze z Gaylord do Upland w Indianie. - To nie może być prawda.

Normalnie podczas podróży samochodem Colleen pewnie by spała, zwłaszcza w trakcie sześciogodzinnej jazdy w środku nocy. Ale nie tej nocy.

- Dopiero kilka tygodni temu była w domu na Wielkanoc. Razem z Carly uparły się, żeby poukrywać jajka wielkanocne - Colleen uśmiechnęła się i ciągnęła dalej: - Tak jakby znów były małymi dziewczynkami. Ganiały się po domu ze śmiechem - tu załamał jej się głos. - A teraz to wszystko... jak to możliwe?

- Nie wiem - Jim wiedział, że nie musi mówić nic więcej. Colleen potrzebowała kogoś, kto by ją wysłuchał, a nie banalnych odpowiedzi i utartych frazesów.

- Nie wiem, czy jeszcze pamiętasz, ale Whitney wcale nie chciała iść na studia na Uniwersytet Taylora. Planowała zerwać z rodzinną tradycją i wybrać inną uczelnię. Chyba przez to, że studiował tam Newell, Carly i ja, szkoła straciła w jej oczach na atrakcyjności. Choć wiedziała, że jeśli pójdzie do chrześcijańskiej szkoły, pokryjemy dwie trzecie kosztów nauki, a jeśli do innej - nie dostanie od nas ani grosza, i tak Uniwersytet Taylora nie był pierwszy na jej liście. Złożyła podanie do szkoły, do której teoretycznie może dostać się każdy. Uniwersytet Taylora był planem B, na wypadek gdyby z tamtą uczelnią nie wypaliło. Nie mogła uwierzyć, gdy się dowiedziała, że jej nie przyjęli, zwłaszcza że jej wyniki znacznie przekraczały wymagania rekrutacyjne. Tymczasem dostała się na Uniwersytet Taylora, gdzie poziom jest zdecydowanie wyższy. Dla nas wszystkich to był wyraźny znak od Boga, to On chciał ją tam widzieć - głos Colleen zadrżał na moment. Potem dodała: - A teraz to wszystko. Nie mogę przestać myśleć o tym, że gdyby nie poszła na Uniwersytet Taylora, to nigdzie byśmy teraz nie musieli jechać. Tylko że nauka w Upland niewątpliwie była częścią planu Boga co do jej życia. Naprawdę z trudem się w tym wszystkim odnajduję...

W trakcie rozmowy Colleen i Jim przestali zwracać uwagę na wszystko, co się działo dookoła, do czasu, aż mrok nocy rozświetliły migoczące za nimi czerwono-niebieskie światła. Przejechali właśnie z dużą prędkością obok dobrze znanego kierowcom policyjnego radaru. Jim zjechał na pobocze.

-Jak chcesz, to mogę się rozplakać - zasugerowała Colleen.

- To chyba nie będzie konieczne - odpowiedział Jim, po czym poprosił policjanta, by pozwolił mu opuścić pojazd. Spokojnie wyjaśnił mu sytuację i już za parę minut jechali dalej, bez mandatu.

Jakieś półtora kilometra przed zjazdem na Marion rozpoznali miejsce wypadku. Jim zwolnił, ale nie zatrzymał się zupełnie. Wraki uprzęgnięto już kilka godzin wcześniej, ale na samym środku drogi wyraźnie było widać ślady po oponach ciężarówki, która zjechała na przeciwny pas. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Po ich policzkach płynęły strumienie łez.

Mimo że Carly opuściła szpital około czwartej nad ranem właśnie na prośbę matki, Colleen nalegała, by Jim zawiózł ją bezpośrednio do Marion General Hospital. Musiała zobaczyć miejsce, do którego trafiła jej córka zaraz po wypadku. Gdy zajechali na szpitalny parking, był on tak samo pusty jak hol i poczekalnie w środku. Już kilka godzin wcześniej wyjechali stamtąd studenci i pozostała po nich tylko złowroga cisza. W końcu Colleen natrafiła na pracownika szpitala i przedstawiła się:

- Moja córka jest jedną z ofiar wypadku vana. Czy jest coś, co powinnam zrobić? Może potrzebujecie ode mnie jakichś dodatkowych informacji?

Pracownik podniósł słuchawkę telefonu i szybko wybrał numer koronera, po czym zwrócił się do Colleen:

- Nie, proszę pani. Zajęli się tu już wszystkim. Koroner powiedział, że identyfikacja już się odbyła i że jego biuro będzie asystować przy przewożeniu ciała pani córki do domu

pogrzebowego. Jeśli jednak chce ją pani zobaczyć, ktoś od nas może panią podwieźć.

Colleen zrobiło się niedobrze. Zamknęła oczy i zobaczyła w myślach Whitney stojącą z koszykiem wielkanocnym w ręce i szerokim uśmiechem na twarzy. Później przypomniała jej się rozmowa z koleżanką, której nastoletnia córka zmarła rok wcześniej. „Nie mogę wymazać z pamięci widoku córki leżącej w trumnie” - żaliła się jej wtedy przyjaciółka. Colleen nie chciała mieć podobnych wspomnień związanych z Whitney.

- Nie - ostatecznie odpowiedziała pracownikowi szpitala. - Ja... hmm... - głos jej się łamał, musiała przerwać i zebrać myśli. - Ale dziękuję.

Podawała mu tylko numer kontaktowy do siebie i wraz z Jimem opuściła szpital, aby udać się do Upland, gdzie Carly z grupą przyjaciół miała się zatrzymać w domu swojego chłopaka, by nieco odpocząć. Była też z nimi Sandra z siostrą, Laisą, i chłopakiem Whitney, Mattem.

Gdy Colleen weszła do domu, w środku panowały cisza i mrok. Carly, Sandra i Ben spali na sofie, siedząc i opierając się o siebie. Colleen podeszła do Carly, przykucnęła i dotknęła jej ramienia.

- Carly - powiedziała miękko.

Carly powoli otworzyła oczy. Gdy tylko zobaczyła matkę, zarzuciła jej ramiona na szyję i zaczęła płakać. Obudziła się też Sandra i wszystkie trzy przytuliły się do siebie. Płakały i płakały, nie odzywając się ani słowem. Nie było nic do powiedzenia.

W ciągu kolejnych kilku godzin Colleen próbowała zasnąć, ale nie była w stanie. Czowała, że jest zbyt odrętwiała, by spać. „To nie może być prawda - pomyślała. - Za chwilę na pewno się obudzę i to wszystko zniknie. Mój Boże”. Brakowało jej słów, ale wiedziała, że Bóg sam dopowie resztę. Po trzech godzinach przewracania się w łóżku postanowiła wstać, przebrała się i przemyła twarz, a potem zadzwoniła do przyjaciółki, Marty Songer.

- Muszę dziś rano pomodlić się w uniwersyteckiej kaplicy - powiedziała.

Marty próbowała ją przekonać, żeby jednak wypoczęła, ale nie było szans, by Colleen zmieniła zdanie.

- Muszę wyjść z tego domu i coś zrobić. Wizyta w miejscu, gdzie wokół mnie będą się modlić ludzie, to chyba dobry początek.

Gdy Colleen i Marty weszły do kaplicy Rediger na kampusie Uniwersytetu Taylora, nabożeństwo już trwało. W środku znajdowało się blisko tysiąc osób, ale nikt nie rozpoznał w Colleen matki jednej z ofiar wypadku. Znalazła wolne miejsce koło koleżanek Carly, które bez słowa ją przytuliły. Dwa rzędy bliżej ołtarza siedziały łkające współlokatorki Whitney.

W pierwszej godzinie nabożeństwa padło niewiele słów. Za to na ekranie obok ołtarza kaplicy projektor kolejno wyświetlał imiona poszczególnych ofiar wypadku. Pojawiły się także imiona rannych oraz nazwisko kierowcy ciężarówki, która zderzyła się z uniwersyteckim vanem.

Na ekranie pojawił się duży biały napis na czarnym tle: „WHITNEY CERAK”. Colleen wbiła wzrok w wyświetlone

imię córki. „To się dzieje naprawdę - powiedziała do siebie. - Whitney jest jedną z pięciu osób, które wczoraj zginęły”. Widziała, jak siedzące przed nią koleżanki Whitney zaczęły szlochać, ale ona nie uroniła łzy. Czekwała i spodziewała się, że lada chwila emocje same wezmą nad nią górę. Jednak tak się nie stało. Poczowała spokój, jakiego nie można wyrazić słowami. Rozejrzała się i zobaczyła setki modlących się ludzi. „Oni modlą się za nas. Za mnie. Za Newella. Za Carly”. W tej samej chwili wydawało jej się, że czuje, jak prośby docierają do samego nieba, a Bóg pochyla się nad nią i wyciąga pomocną dłoń. Zamknęła oczy i pozwoliła temu uczuciu trwać.

Zaraz po zakończeniu nabożeństwa Jim Mathis zawiózł Colleen z powrotem do domu Bena, gdzie dołączyły do nich Carly, Sandra i Laisa. Cała piątka pojechała na lotnisko w Indianapolis po Newella, który, czekając na lot o szóstej rano z Missisipi, spędził długą, bezsenną noc. Jego przyjaciel, Mark Vaporis, zaproponował, że posiedzi razem z nim, ale Newell uprzejmie podziękował:

- Nie, myślę, że powinieneś się wyspać. Mnie i tak chyba nie uda się zasnąć.

Newell spędził tę noc, siedząc na kanapie w holu akademika, w którym przebywali wolontariusze z Habitat for Humanity. Chciał być sam ze swymi myślami i z modlitwą. Ciszę dwukrotnie przerwały mu pełne smutku i żalu telefony od Carly. Usiłował pocieszać córkę, ale przychodziło mu to z wielkim trudem, gdy sam tak strasznie cierpiał.

Wczesnie rano Mark uruchomił busa, którym ekipa wolontariuszy co dzień jeździła do pracy, i odwiózł Newella na



lotnisko. Nawet będąc na pokładzie samolotu pełnego pasażerów, Newell czuł się, jakby był w zupełnie innym świecie. „Przecież to niemożliwe... to przecież niemożliwe” - powtarzał w myślach. Ukojenie znalazł dopiero, gdy oparty o okno przez łyzy zaczął się cicho modlić za rodzinę. Podczas postoju w Charlotte Newell zadzwonił do swej matki i poinformował ją oraz swoją dalszą rodzinę o tym, co się stało. Jego samolot wylądował w Indianapolis tuż po południu.

Jim, Colleen i dziewczyny oczekiwali Newella na dole przy ruchomych schodach prowadzących do strefy odbioru bagaży. Ludzie zjeżdżali falami, tak że nie dało się rozpoznać ich twarzy, póki nie znaleźli się w połowie wysokości schodów. Colleen rozpoznała Newella, gdy tylko mignął jej w oczach kawałek jego spodni. Popędziła w kierunku schodów i wpadła w jego objęcia, gdy tylko z nich zszedł. Dołączyły do niej Carla, Sandra i Laisa. Ludzie zjeżdżający na dół musieli się przeciskać między nimi i posyłali w ich kierunku zdziwione spojrzenia. W końcu Cerakowie wycofali się i udali się w kierunku samochodu Jima. Rzeczy Newella zostały u jego współpracowników w Missisipi.

Zatrzymali się na lunch w Cracker Barrel\* między Indianapolis a Upland. Dzielili się doświadczeniami z poprzedniej nocy, którą każdy spędził inaczej. Wiedzieli, że muszą coś zjeść, ale wymęczeni emocjami, z trudem mogli patrzeć na jakiegokolwiek pożywienie. Rozmowa przy stole wydawała się nierzeczywista.

\* Cracker Barrel - ogólnoamerykańska sieć restauracji połączonych ze sklepikami.

- Czy tylko ja mam problem ze zrozumieniem, co się stało? - w pewnym momencie zapytał Newell. - Po prostu nie wierzę, że odeszła.

- Nie tylko ty - zapewniła go Carly. - Dla mnie to jest jak zły sen, z którego mam nadzieję się obudzić.

- Ja mam tak samo - powiedziała Sandra.

- Czy w nocy ktoś was prosił o identyfikację ciała Whitney? - Newell zwrócił się do Carly.

- Nie, ktoś inny to zrobił. Chyba ktoś ze szkoły.

- Nie obwiniam was. Sam też bym chyba nie chciał jej oglądać. Nie chciałbym zapamiętać tego widoku - stwierdził Newell.

- Mnie też pytali, czy chcę ją zobaczyć, ale odmówiłam - przyznała się Colleen. - Wolę ją pamiętać raczej uśmiechniętą, z tymi jej wielkimi dołeczkami. Tak wygląda prawdziwa Whitney, ta, która jest teraz w niebie. Właśnie tak chcę ją zapamiętać.

Newell rozgrzebywał jedzenie widelcem. Wiedział, że musi jeść, ale zupełnie stracił apetyt.

- To nie może być prawda... - znów zaprotestował.

Po powrocie do Upland około trzeciej po południu Cera-kowie stanęli przed ogromnie trudnym zadaniem. Musieli zabrać rzeczy Whitney z pokoju w akademiku Olson Hall. Gdy otworzyli południowe drzwi akademika, ich oczom ukazał się hol pełen studentek, które zebrały się i wspólnie modliły w intencji ofiar wypadku. Cerakowie usłyszeli kierowniczkę, która informowała dziewczyny o szczegółach

katastrofy, słyszeli też ich płacz. Pośpiesznie zamknęli drzwi, w nadziei, że nikt ich nie dostrzegł.

- Nie wydaje mi się, żebym była teraz w stanie podejść do nich i odpowiadać na ich pytania - szepnęła Carly. Colleen i Newell przytaknęli. Wślizgnęli się drzwiami prowadzącymi przez pralnię i tą drogą dotarli do pokoju Whitney.

W środku siedziała Emily, współlokatorka Whitney, oraz jej dwie przyjaciółki z pokoju naprzeciwko - Amy i Anne. Gdy Cerakowie weszli do pokoju, dziewczyny się modliły. Już wcześniej spakowały wszystkie rzeczy osobiste tragicznie zmarłej, aby oszczędzić kłopotu rodzinie.

- Mam tu coś, co Whitney chciałaby wam chyba przekazać - przywitała ich Emily. - Kilka tygodni temu zaczęłyśmy się spotykać we czwórkę i czytać Biblię. Wczoraj po spotkaniu Whitney napisała to i powiesiła nad drzwiami. Powiedziała, że te słowa mają jej przypominać o konieczności służenia Bogu we wszystkim, co będzie robić. Myślę, że chcielibyście to zatrzymać.

- Dziękujemy - powiedział Newell, wyciągając rękę po niewielki obrazek. Odwrócił go i przeczytał na głos tekst na odwrocie: - „Dobrze, sługo dobry i wierny!” - głos mu się załamał, z trudem doczytał resztę: - „Mt 25,23. Zgodnie z Biblią, tymi słowami Jezus przywita w niebie tych, którzy Go miłują”.

Po policzkach Colleen, Carly i Sandry popłynęły strumienie łez.

- Dziękujemy - powiedziały. - Dziękujemy, że nam to dałyście.

Jim Mathis zaproponował, że odwiezie przyjaciółki Carly do Gaylord, dzięki czemu Cerakowie mogli spędzić trochę czasu w samotności w drodze powrotnej. Poszli najpierw do pokoju Carly w innym skrzydle Olson Hall, aby zabrała rzeczy potrzebne na drogę. I na pogrzeb Whitney. Kiedy wsiedli do samochodu, Carly rozejrzała się i westchnęła:

- Nie mogę uwierzyć, że teraz będzie nas już tylko troje. Znowu zaczęła płakać. Newell też poczuł wzbierający

w gardle płacz, mimo to z największym trudem odpalił samochód. Przekręcił kluczyk w stacyjce, a wtedy automatycznie uruchomiło się radio. W odtwarzaczu była płyta z religijnymi utworami. Nie wyłączyli jej, lecz pozwolili, żeby muzyka ich oczyściła. Po przejechaniu kilku kilometrów cała trójka przyłączyła się i wszyscy śpiewali pieśni ku chwale Boga. Czuli, że mogą zrobić tylko tyle. Przestali śpiewać, gdy mijali słupek milowy autostrady oznaczony liczbą 66\*, gdzie na jezdni widać było ślady ciężarówki, która zjechała na przeciwny pas ruchu. Wtedy śpiew zamienił się w płacz. Po godzinie Colleen ściszyła radio.

- Musimy zaplanować, co mamy do zrobienia po przyjeździe do domu. Jutro jest piątek, a chciałabym, żeby pogrzeb był w niedzielę. Wolałabym, żeby ludzie mogli przyjechać bez konieczności brania urlopu.

- Co oznacza, że czuwanie przy trumnie odbędzie się w jej urodziny - zauważył Newell.

- To dobrze - zgodziła się Colleen. - W sumie to się nawet dobrze składa. Whitney zawsze uwielbiała przyjęcia

\* Numer oznacza 66 milę autostrady międzystanowej.

urodzinowe. Wygląda na to, że będzie miała ostatnie wielkie przyjęcie na uczczenie całego życia... - Colleen skończyła uzupełniać listę rzeczy do zrobienia między czwartkiem a niedzielą i zabrała się za pisanie nekrologu do miejscowej gazety.

Gdy przejechali mniej więcej połowę drogi, słońce schowało się za horyzontem. Newell spojrział przez okno i stwierdził:

- To nasz pierwszy zachód słońca bez Whitney.

Dalsza część podróży przebiegła w ciszy, przerywanej tylko cichymi szlochami dobiegającymi z tyłu samochodu.

## Oczekiwanie

Ufaj Panu, bądź mężny,  
niech się tve serce umocni, ufaj Panu!  
(Ps27, 14)

Słoneczko moje, najgorsze jest czekanie. Wiemy, że Bóg jest potężny. On nas podtrzymuje. Ty też jesteś w Jego rękach. W nim Twoje schronienie. Bóg obdarzył nas prawdziwym skarbem, gdy przyszedł na świat. Dajesz nam radość, którą trzeba pielęgnować. Prosimy Pana, by przywrócił Ci pełnię zdrowia. Wiemy, że kocha Cię tak samo jak nas.

Jego ścieżki są doskonałe.

Musisz walczyć, maleństwo. Musisz być coraz silniejsza. Otwórz te piękne oczka. Na całym świecie modli się za Ciebie lud Boży.

\* W oryginale wszystkie cytaty z Biblii pochodzą, z New International Version (NIV), protestanckiego przekładu Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu na język angielski. To najpopularniejsze w krajach anglojęzycznych współczesne tłumaczenie Biblii. W polskim przekładzie korzystamy z Biblii Tysiąclecia, wyd. III poprawione, Poznań -Warszawa 1980 (przyp.red.).

Było tu tyle kochających Cię osób. Mam nadzieję, że słyszysz nasze głosy.

Kocham Cię, Mama

*Wiadomość od Susie dla Laury napisana w poczekalni  
OlOM-u, 27 kwietnia 2006 roku*

Neurolog Laury ze szpitala Parkview nie owijała w bawełnę, i kiedy usiadła z rodziną do rozmowy:

- Laura jest teraz w śpiączce i nie ma gwarancji, że z niej w ogóle wyjdzie. A jeśli nawet, może nie być tą samą osobą, co dawniej. Musicie zrozumieć, jak wygląda sytuacja. Wasza córka doznała poważnego urazu mózgu w następstwie gwałtownego uderzenia podczas wypadku. Nie wiemy jeszcze, jak rozległe mogą być jej obrażenia, nie mogę też powiedzieć, jak szybkiej poprawy zdrowia możemy się spodziewać. Są same znaki zapytania. Możemy tylko czekać.

Don pochylił się na krześle.

- Jak długo? - spytał.

- Trudno powiedzieć. Kilka dni, tygodni, może dłużej. Don zwrócił się do Susie, której twarz jakby straciła kolor:

- Czyli wygląda na to, że nie zabierzemy jej do domu za parę dni, jak z początku myśleliśmy - zażartował, śmiejąc się nerwowo.

- Niestety, państwa córka trochę u nas poleży. Po takim urazie śpiączka nigdy nie wygląda jak na hollywoodzkich filmach - wyjaśniła neurolog. - Nie spodziewajcie się, że Laura obudzi się pewnego dnia, jak po długiej drzemce. Wychodzenie ze

śpiączki można przyrównać do wynurzania się z głębokiej wody. Laura będzie stopniowo zbliżać się do powierzchni, ale dzisiaj nie jesteśmy w stanie powiedzieć, jak blisko niej wypłynie, ani nie możemy być pewni, czy kiedykolwiek wybudzi się do końca.

Don przytakiwał z niezmiennym wyrazem twarzy, próbując zrozumieć słowa lekarki. Doceniał jej szczere podejście. „Okej - powiedział sobie. - Przynajmniej wiemy, na czym stoimy”.

- Czyli co teraz robimy? - zapytał.

- Przede wszystkim skupimy się na obrzęku i krwawieniu mózgu. Musimy je kontrolować. Ciśnienie śródczaszkowe nie może wzrosnąć powyżej dwudziestu pięciu milimetrów słupa rtęci. Teraz jest na poziomie szesnastu, czyli świetnie. Czasami może podskakiwać powyżej dwudziestu, ale nie przejmujcie się tym. Już teraz musicie wiedzieć, że Laurę czeka wiele wzlotów i upadków. Nie cieszcie się zbyt z dobrych oznak, ale też nie dajcie się zdołować złymi. Zanim to wszystko się skończy, przeżyjecie sporo i złych, i dobrych chwil.

Susie nerwowo poprawiła się na krześle. Na zewnątrz, dla dobra dzieci, zachowywała spokój, ale w środku ogarniał ją lęk. Jeśli ta pani doktor chce nas pocieszyć, to średnio jej to wychodzi" - pomyślała. Zamiast rozwiać jej niepewność i obiecać, że wszystko będzie dobrze, lekarka sprawiła, że Susie bała się bardziej niż wcześniej. „Boże, życie Laury spoczywa tylko w Twoich rękach - modliła się. - Ty wiesz, czego bym chciała, ale to nie ja wybieram. Ufam Ci i powierzam swoją córkę Twojej opiece. Nie pierwszy raz”.

Don wyciągnął rękę i ujął dłoń żony.



- Wszystko będzie dobrze, Suz. Nie jesteśmy sami. Następnie zwrócił się do lekarki:

- Czy możemy w czymś pomóc?

- Pomagacie jej samą swoją obecnością. Mówcie do niej i dajcie jej poczuć, że jesteście blisko, a neurony w jej mózgu zaczną się budzić i łączyć ze sobą na nowo. Naszym zadaniem będzie niedopuszczenie do nadmiernego natężenia bodźców. No i oczywiście módlcie się za nią. Wiem, że cały czas to robicie.

- Nie tylko my - dodał Don.

Cześć, LaurieL. Kupiliśmy dla Ciebie ten dziennik, ponieważ wiemy, jak bardzo kochasz pisać. Zapisaliśmy trochę stron, ale mamy nadzieję, że nie zabraknie miejsca na Twoje wpisy. Kochamy Cię, Laurie, i tęsknimy za Twoją uśmiechniętą buźką. Codziennie jesteś obecna w naszych myślach i modlitwie. Natchnęłaś już - ityle osób, a jesteśmy przekonani, że będzie ich jeszcze dużo więcej. Życzymy Ci wszystkiego dobrego i nie możemy się doczekać wielkiego, wielkiego przytulasa! Buźka, malutka!

Z wyrazami miłości,

Tegan, Liza, Pawdge :

PS Jak wyzdrowiejesz, zaśpiewamy razem w kościele *The Night Before Christmas* Amy Grant\* - Pawdge.

*Napis na pierwszej stronie dziennika, który przyjaciele Laury umieścili w poczekalni na OlOM-ie. Na jego kartach rodzina i znajomi wpisywali słowa otuchy, które dziewczyna miała przeczytać po przebudzeniu się ze śpiączki.*

\* Amy Grant - amerykańska piosenkarka i autorka tekstów, okrzyknięta „królową chrześcijańskiego popu”; zdobywczyni sześciu nagród Grammy.

W holu poczekalni *zaczął* się już powoli zbierać tłum. Po jednej stronie rozmawiały szkolne koleżanki Laury, a po drugiej siedział z rodzicami Aryn, który starał się trzymać z dala od tłumów. Na kilku krzesłach pod oknem siedziała rodzina innego pacjenta oddziału intensywnej terapii. Wszystkie rozmowy ucichły, gdy do pomieszczenia weszli Van Rynowie. Aryn podniósł się błyskawicznie i podszedł do Dona.

- Co powiedzieli? - zapytał. Don wziął głęboki oddech:

- Mogłoby być lepiej, ale mogłoby być też znacznie gorzej - stwierdził i zrelacjonował pokrótce, co przekazała im pani neurolog.

Podczas rozmowy Aryna z Donem do poczekalni weszło dwoje bliskich przyjaciół rodziny z Grand Rapids - Paul i Sue Johnstonowie. Susie podeszła i przywitała ich w drzwiach. Wkrótce pojawili się kolejni członkowie rodziny i przyjaciele, ciągle przybywało też nowych studentów Uniwersytetu Taylora. Po niedługim czasie do szpitala dotarli również znajomi Lisy, Kenny ego i Marka. Do godziny jedenastej dum ludzi wypełniał niemal całą poczekalnię, a każdego z przybyłych witała rodzina Van Rynów. Don rozejrzał się wokół siebie i szepnął do Paula:

- Czuję się prawie tak, jakbym prowadził jakąś dużą imprezę.

Biorąc pod uwagę charakter urazów Laury, lekarze znacznie ograniczyli liczbę odwiedzających ją osób oraz czas, jaki mogli oni spędzić u pacjentki. Najbliższa rodzina miała prawo być przy niej, kiedy tylko chciała, o ile nie przeszkadzało to w pracy lekarzom i pielęgniarkom. Innym odwiedzającym

pozostało tylko kilka półgodzinnych „okienek” w ciągu całego dnia. A codziennie szpital odwiedzało znacznie więcej ludzi, niż liczyła najbliższa rodzina dziewczyny.

Zanim wyznaczono pierwsze „okienko”, do poczekalni OIOM-u wtłoczył się cały tłum tych, którzy chcieli zobaczyć Laurę.

- No i co, DV\*? - szepnęła do Dona Lisa (cała czwórka zwracała się do niego „DV” zamiast „tato”). - Jak sobie z tym poradzimy?

- Sam nie wiem. Chyba będziemy musieli robić za przewodników i wprowadzać po kilka osób naraz.

- Naprawdę opanowaliśmy tu teren - zaśmiała się Lisa. Obejrzała się na czekający za jej plecami tłum. - Ty zajmiesz się czarną robotą.

- Nie ma sprawy - zgodził się Don. Odwrócił się i ogłosił zebranym w poczekalni: - Uwaga! Lekarze nie wpuszczą do Laury więcej niż trzy, cztery osoby naraz. Jeśli chcecie ją zobaczyć, ustawcie się gęsiego, będziemy was wprowadzać. I pamiętajcie, że każdy ma tylko kilka minut. Zachowajcie ciszę, musimy ograniczyć hałas do minimum.

Ludzie w poczekalni podnieśli się z miejsc, zebrali na środku korytarza i stanęli w jednej linii. Don podszedł do osób stojących na początku i odliczył pierwszą trójkę. Były to bliskie przyjaciółki Laury. Poinstruował je:

- Lisa was wprowadzi. Naprawdę doceniamy, że jesteście tu dla Laury. Bardzo dużo to dla nas znaczy.

\* Skrót od imienia i pierwszego członu nazwiska Dona Van Ryna, wym. diwi.

Lisa zaprowadziła dziewczęta na oddział intensywnej terapii. Po paru minutach były już z powrotem. Żadna z odwiedzających nie była w stanie mówić, a po ich policzkach płynęły łzy. Objęły Lisę, a następnie podeszły do Susie i ją też przytuliły.

- Co z nią? - ktoś zapytał.

Żadna nie potrafiła odpowiedzieć. Słowa utknęły im w gardle.

Następną grupę wprowadził Mark. A później były kolejne. I kolejne. I kolejne. Procedura powtórzyła się po kilku godzinach, w czasie drugiego okienka, i jeszcze wiele razy przez parę kolejnych dni. Nikt z kilkudziesięciu odwiedzających nigdy nie zakwestionował tożsamości dziewczyny w szpitalnym łóżku, a jeśli nawet, to żadna z tych osób nie podzieliła się swymi wątpliwościami z personelem ani rodziną. Wszyscy uznali, że pobyt na OIOM-ie zmienił młodą pacjentkę: teraz to jej specyficzny stan zdrowia i beznamiętna twarz definiowały jej tożsamość. Niezależnie od tego, jak wyglądała, wszyscy widzieli w niej Laurę.

Mniej więcej pomiędzy dwoma pierwszymi okienkami dla odwiedzających do szpitala zajrzał Jay Curry. Nigdy wcześniej nie poznał Dona ani Susie, ale to on miał bezpośredni kontakt z ich córką po wypadku. Jay podszedł do Dona i przedstawił się:

- Jestem jednym z sanitariuszy, którzy przywieźli tu wczoraj Laurę helikopterem. Jak się czuje dzisiaj?

Don poczuł natychmiastową sympatię do człowieka będącego jednym z tych, którzy uratowali życie jego córki.

- Żyje, dzięki panu - powiedział, po czym wstał i uściskał Jaya, który za chwilę dosiadł się do Van Rynów. Ci nie dali mu spokoju, zasypując go pytaniami.

- Wiem, że nie ja pierwszy to mówię, ale to było chyba najstraszniejsze miejsce wypadku, jakie kiedykolwiek oglądałem - zwierzył się Jay. - Mam nadzieję, że już więcej czegoś podobnego nie zobaczę. Laura jest jedyną spośród wyrzuconych z pojazdu, która ocalała - ciągnął. - Gdy ją znaleźliśmy, oddychała samodzielnie.

- To chyba dobry znak, prawda? - Lisa popatrzyła na matkę i braci.

- Tak - potwierdził Jay, a następnie pokrótce zrelacjonował, w jaki sposób „zabezpieczyli” Laurę na miejscu wypadku, czyli jak ją unieruchomili i przygotowali do przetransportowania. - Byliśmy w szpitalu po dwudziestu, może dwudziestu pięciu minutach od zgłoszenia wypadku.

- To chyba szybciej niż standardowo? - dopytywała Susie.

- Pewnie, szczególnie jak na taki wypadek. Czas reakcji wszystkich ratowników był naprawdę niesamowity - stwierdził Jay. - Bóg nad nią czuwał - dodał z uśmiechem. - Dało się to wyczuć na miejscu wypadku. I muszę wam coś wyznać. Przeżyłem to bardzo osobiście. Sam ukończyłem Uniwersytet Taylora, dlatego pomagając Laurze, czułem się, jakbym ratował członka mojej rodziny.

Wkrótce po tym, jak wyszedł Jay, pojawiła się kolejna obca osoba. Kobieta pytała o rodzinę Van Rynów i za chwilę przedstawiła się Donowi i Susie:

- Nazywam się Julie. Nie znamy się, ale poczułam, że muszę tu przyjechać i zobaczyć się z wami. W wieczornych wiadomościach mówili o wypadku i powiedzieli, że Laura pochodzi z Caledonii. Mój teść prowadzi tam sklep z narzędziami, dlatego rozumiem, jak daleko jesteście od domu. Ja mieszkam teraz w Fort Wayne, więc jeśli będziecie czegoś potrzebować, nie wahajcie się odezwać.

- To naprawdę miłe z pani strony - podziękował Don i myślał, że na tym się zakończy. W ciągu ostatnich dwunastu godzin prawie każdy, kto ich odwiedzał, deklarował się w podobny sposób.

- A co jecie, gdy jesteście w szpitalu? - spytała Julie. Van Rynowie popatrzyli na siebie i roześmiali się:

- Jak na razie wystarcza nam szpitalna kawiarnia i automaty - podsumowała Susie.

- Razem z mężem prowadzimy pizzerię Little Ceasar. Co byście powiedzieli na parę pizz dziś wieczorem? - zaoferowała Julie.

- Powiedzielibyśmy: „Z miłą chęcią” - Lisa odpowiedziała za resztę.

Don parsknął śmiechem:

- Pizza brzmi naprawdę nieźle. Jest pani bardzo hojna. Nie miał wtedy pojęcia, jak hojna w rzeczywistości może

być Julie. Później, tego samego wieczoru, wróciła do szpitala z małymi córeczkami i wszystkie razem zaczęły wnosić do poczekalni pudełka z pizzami i układać je jedno na drugim na stole. Po paru minutach stos przypominał drapacz chmur z pudełek. Don oszacował, że musiało być tam około

dwudziestu pięciu pizz, z których każda zawierała inne składniki. Ale nic się nie zmarnowało, nie w poczekalni pełnej studentów. Don i Susie poczęstowali pizzą także rodziny innych pacjentów przebywających na oddziale.

- A może chcecie parę butelek wody? - zaproponowała Julie po tym, jak wszystkie pizze były już na stole. - Wiem, że kupowanie wody i napojów w automatach to drogi interes.

- Byłoby wspaniale. Jak możemy się pani odwdziaczyć? - zapytała Susie.

- Nie musicie. Aha, mam nadzieję, że nie będziecie mieć nic przeciwko, ale dzwoniłam do mojego kościoła i opowiedziałam im o was. Kościół nazywa się Pathway Community Church. W każdym razie wielu jego członków zaproponowało, że będzie wam przynosić posiłki. Jeśli chcecie, oczywiście.

- Nie wiem, co powiedzieć - zmieszał się Don.

- Może „dziękuję”? - poprawiła go Susie.

W ciągu całego dnia przez salę przewinęły się tłumy odwiedzających. Około trzeciej po południu Don poczuł, że musi odpocząć od ludzi.

- Pójdę się przewietrzyć - oznajmił rodzinie. Odkąd z samego rana przyjechali do szpitala, dopiero teraz po raz pierwszy opuścił budynek. Poczuł na twarzy przyjemne ciepło promieni słonecznych. Przystanął, aby się nimi nacieszyć, i zmierzył wzrokiem szpitalny parking. Jak grzyby po deszczu pojawiły się na nim samochody nadawcze z antenami telewizyjnymi stacji z Fort Wayne i Indianapolis. Z racji tego, że wypadek był tak poważny, a wśród ofiar znaleźli się studenci

i pracownicy uniwersytetu, sprawa urosła do rangi ogólnonarodowej. Jeden z reporterów podszedł do Dona i zapytał:

- Pan Don Van Ryn? Pozwoli pan, że zadam kilka pytań. „Skąd ten facet może wiedzieć, że to ja?” - zdziwił się Don.

- Jasne, słucham - odpowiedział.

- Z naszych informacji wynika, że przywieziono tu również kierowcę ciężarówki, który spowodował wypadek. Rozmawiał pan z nim?

„O! Naprawdę?”, i - Nie - odpowiedział Don — ale chciałbym. Don dostrzegł w oczach dziennikarza błysk.

- Tak? I co by mu pan powiedział? - zadał to pytanie z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „No dawaj, wyduś to!”.

- Powiedziałbym mu, że strasznie mu współczuję i że mu wybaczam - odparł Don.

Dziennikarz wyglądał na zawiedzionego. Nie usłyszał potoku złorzeczeń, na który liczył.

- Żywienie urazy i goryczy daleko człowieka nie zaprowadzi - ciągnął Don. - Bóg okazał mi łaskę i przebaczenie. Czemu i ja nie miałbym czynić podobnie?

Gdy odszedł, zaczął się zastanawiać nad pytaniem, które przed chwilą usłyszał, oraz nad Robertem Spencerem, kierowcą ciężarówki. Do tej pory nikt jeszcze nie wiedział, co spowodowało, że zjechał na przeciwny pas, prosto w uniwersyteckiego vana. Im więcej o nim myślał, tym bardziej był przekonany, że ten mężczyzna musiał teraz umierać ze zgryzoty. Nie zrobił tego umyślnie. Wyjeżdżając, nie miał zamiaru nikogo



skrzywdzić, a przecież z jego winy zginęło pięć osób. „Muszę mu powiedzieć, jak się czuję” - pomyślał Don.

Podszedł do recepcji szpitala i poprosił o numer sali Roberta Spencera. Recepcjonistka kliknęła kilkakrotnie na klawiaturze, po czym odpowiedziała:

- Niestety, nie mamy na liście pacjentów żadnego Roberta Spencera.

- Jest pani pewna? - dopytywał.

- Tak, proszę pana.

- Mhm, okej. Dziękuję ślicznie - to powiedziawszy, oddalił się.

„To ma sens, policja pewnie chroni takich pacjentów. Nie mają pewności, co taki szalony ojciec mógłby mu zrobić. Wielka szkoda. Naprawdę chętnie bym mu przekazał, jak się czujemy”.

Gdy tylko wrócił do poczekalni OIOM-u, zadzwonił telefon w holu. Ktoś odebrał i zawołał:

- Czy jest tu Don Van Ryn?

- Tak, tutaj - Don podszedł i chwycił za słuchawkę. - Kto by do mnie dzwonił na numer szpitala? - zapytał na głos nie wiadomo kogo. Wszyscy znajomi i członkowie rodziny, którzy jeszcze nie dojechali do Fort Wayne, dzwoniłoby na komórkę Susie, a nie tutaj. Odebrał w końcu: - Tu Don, w czym mogę pomóc?

- Dzień dobry, panie Van Ryn. Reprezentuję kancelarię prawną z Waszyngtonu specjalizującą się w wypadkach samochodowych z udziałem ciężarówek - rozmówca podał nazwę

firmy i opisał jej spektakularne pozwy firm przewozowych i wielomilionowe odszkodowania dla klientów.

Don był w szoku. Nie mógł uwierzyć, że ktoś w tak błyskawicznym tempie wyszedł go w szpitalu. Często słyszał dowcipy o prawnikach ścigających karetki, ale do tego momentu nie był świadomy, że tacy rzeczywiście istnieją.

- Nie jestem zainteresowany kontynuowaniem rozmowy. Mam nadzieję, że znajdzie pan sobie na dzisiaj lepsze zajęcie. Zegnam - Don bezceremonialnie zakończył rozmowę.

- Kto to był? - spytała Susie, gdy Don usiadł koło niej.

- Prawnik. Wyobrażasz sobie? Jakiś sęp próbował zapytać, czy chcemy, by jego kancelaria wytoczyła proces firmie przewozowej.

- Proces? Żartujesz sobie? Jakby nie było lepszej chwili na takie pytania...

- Przygotuj się. Mam przeczucie, że na tym jednym telefonie się nie skończy.

Później tego wieczoru jeden ze szpitalnych kapelanów podszedł do Dona i Susie.

- Pomyśleliście już może, gdzie chcielibyście się zatrzymać?

- Jakoś specjalnie się jeszcze nie zastanawialiśmy - przyznał się Don. - Szczerze mówiąc, nie chcielibyśmy się stąd zanadto oddalać.

- Ale w sumie dobrze by było móc wziąć prysznic - zauważyła Susie.

- Pewnie. Dlatego przyszedłem. Kilka lat temu pewien miejscowy pastor i jego żona znaleźli się w podobnej do waszej

sytuacji. Ich dziecko leżało na OIOM-ie w innym mieście, a oni nie mogli sobie pozwolić na hotel. W tej sytuacji pozostało im siedzieć w poczekalni. Kiedy już wrócili do Fort Wayne, zaczęli zbierać datki od lokalnych przedsiębiorstw i kościołów na zakup domu kilka przecznic stąd. Nazwali go Domem Samarytanina. Możecie z niego skorzystać, jeśli tylko będziecie potrzebować. Don był pod wrażeniem.

- Tak, na pewno skorzystamy. Ile kosztuje nocleg?

- Nic. Wszystko jest opłacone. Łóżka, środki czystości, nawet jedzenie. Pastor Tom Foster, ten, który wszystko zorganizował, życzył sobie, aby w czasie pobytu rodzinom niczego nie zabrakło. Założę się, że nie do końca przygotowaliście się na dłuższy pobyt, co?

- Mamy chyba jedną szczoteczkę do zębów na pięć osób - zaśmiała się Susie.

- Myślę, że uda nam się coś wykombinować - zakończył kapelan.

Chwilę później poszedł z Donem i Susie do domu, gdzie spotkali pastora Toma, który oprowadził ich i wręczył klucze. Zanim Van Rynowie wrócili do szpitala, pastor zdążył jeszcze zapytać Dona:

- Mogę się pomodlić za was i za całą rodzinę?

- Pewnie - ucieszył się Don.

Tej modlitwy, wygłoszonej przez Toma w salonie, Don miał nie zapomnieć do końca życia. Była prośbą o siłę dla niego, aby sprostał roli ojca rodziny w tej krytycznej sytuacji.

Jedna z sypialni była przez kilka pierwszych dni zajęta przez młodą parę amiszów, których dziecko leżało na OIOM-ie. Po ich wyjeździe Van Rynowie mieli cały dom dla siebie. Był z nimi również Aryn, który nieustannie wędrował między domem a szpitalem. Don, Susie i Lisa nadal nie mieli ubrań na zmianę ani innych rzeczy osobistych niezbędnych w czasie dłuższego wyjazdu, ale i to miało się zmienić. Znajomi jadący z Grand Rapids zahaczyli o ich dom i przywieźli wszystko, czego sobie zażyczyli.

Wydawało im się, że życie poza szpitalem Parkview zatrzymało się. Dla Dona, Susie oraz ich dzieci opieka nad Laurą była teraz jedyną liczącą się czynnością. Od początku wiedzieli, że będą potrzebować tak wielu wiernych modlących się za jej życie, jak to tylko możliwe. Nie przypuszczali jednak, że forma, w jakiej przekazywali prośby o modlitwę, wzbudzi zainteresowanie historią Laury znacznie wykraczające poza krąg znajomych. Wkrótce ludzie na całym świecie sprawdzali najnowsze informacje o stanie zdrowia Laury i wstawiali się za nią do Boga.

*Czwartek, 27 kwietnia 2006 roku* To był długi dzień. Tyle osób Cię kocha. Nawet nie potrafię wymienić wszystkich, którzy przyjechali lub zadzwonili. Wcześniej był Paul i ciocia Sue. Też nas mocno wspierają. Tyle tu wyrazów miłości, mamy za co dziękować! Byłam dzisiaj trochę roztrzęsiona. Laurie, tak bardzo chcę, abyś się obudziła. Ta cisza nie jest w Twoim stylu! Twoja twarz wygląda już lepiej, powoli goją się na niej siniaki i skaleczenia. Spotykamy tyle dzieci Boga,

Jego rodzina ma siłę. To jak błogosławieństwo. Obudź się, skarbie. Chcę z Tobą porozmawiać i spojrzeć na tę śliczną buźkę, w Twoje oczka.

Kocham Cię, . Mama *Z modlitownika Susie*

Boże, usłysz moją modlitwę! Chciałbym być wściekły na Twoje decyzje, Panie, ale nie potrafię. Wiesz, jak bardzo ją kocham. Proszę, dokonaj cudu. To Ty jesteś wielkim Uzdrowicielem. Rób, co w Twojej mocy... Wiem, że dokona się Twoja wola. Mam tylko nadzieję, że Twoją wolą jest, aby Laura wyzdrowiała. Wiesz, że zawsze, bez względu na sytuację, będę Ci wierny. Wiesz, że oddałbym dla Ciebie życie. Tak bardzo chciałbym leżeć tam zamiast niej, Ojcze. Ona na to nie zasłużyła. Tak trudno jest po prostu siedzieć i czekać. Proszę, daj mi poznać, że działasz. Życie jest takie krótkie, Panie, to zdarzenie nam o tym przypomina... Wspieraj nas, proszę. Kocham Cię, Panie - Twój oddany sługa

*Modlitwa Aryna za Laurę, 28 kwietnia 2006 roku*

## **Pocieszenie mimo bólu**

WHITNEY ERIN CERAK zginęła w wieku 18 lat w tragicznym wypadku samochodowym w środę, 26 kwietnia 2006 roku w Marion w stanie Indiana. Urodziła się w Muncie w stanie Indiana 29 kwietnia 1987 roku w rodzinie Newella i Colleen Ceraków. Jej życie było cudowne, choć krótkie. Uczęszczała do przedszkola i szkół publicznych w Gaylord, aż do dwunastej klasy, gdzie zawiązała mnóstwo przyjaźni i dzieliła się swoją życzliwością. Była czynną sportsmenką, członkinią samorządów szkolnych oraz E-FreeYouth Group\*. Była studentką pierwszego roku na Uniwersytecie Taylora, gdzie wzrastała w miłości i wiedzy o swoim Przyjacielu i Zbawcy, Jezusie Chrystusie. Teraz odpoczywa z nim w Niebie. Wspominają ją rodzice, Newell i Colleen Cerak, siostra Carly, przybrana siostra Sandra oraz wielu krewnych. Nabożeństwo pogrzebowe Whitney odbędzie się w niedzielę 30 kwietnia o godzinie 15.00 w kościele ewangelickim w Gaylord. Ciało

\* E-Free Youth Group - tworzona przy amerykańskich szkołach średnich ewangelicka organizacja zrzeszająca ich uczniów.

będzie wystawione w sobotę w Domu Pogrzebowym Nelsona w godzinach 15.00 - 20.00 oraz w niedzielę w kościele od 14.00

aż do nabożeństwa. Zachęcamy do wsparcia fundacji Invisible Children\* poprzez Dom Pogrzebowy Nelsona.

*Nekrolog Whitney z gazety „Gaylord Herald Times” z 2 maja 2006 roku. Newell, Colleen i Carly ułożyli go w drodze do domu z Upland w dzień po wypadku*

Gdy Colleen weszła tylnymi drzwiami do kuchni, nie mogła uwierzyć własnym oczom.

- To chyba nie jest nasz dom! - zawołała do Newella i Carly, którzy wchodzili drugimi drzwiami. Na ławce stojącej przy wejściu stały sześciopaki wody mineralnej i skrzynki pepsi. Newell otworzył lodówkę, którą ktoś przywiózł pod ich nieobecność.

- Spójrz na to, Colleen. Jest pełna jedzenia.

Ale największe wrażenie zrobiła na nich kuchnia. Wokół bufetu leżało sześć ogromnych bukietów, a całą przestrzeń wolną od kwiatów zajmowały tace z ciasteczkami. Jedzenie prawie wysypywało się z kuchni aż do jadalni, a kwiaty pokrywały cały parter. Colleen przyłożyła dłoń do ust i powstrzymywała łzy. Podeszli do niej Newell i Carly i cała trójka mocno się przytuliła.

Po kilku minutach Carly poszła odsłuchać automatyczną sekretarkę telefonu, który stał na niewielkiej półce między kuchnią a jadalnią.

\* Invisible Children - fundacja działająca na rzecz dzieci z Ugandy.

- Nie wiem, czy się nie zepsuła - powiedziała ze strachem. - Lampki migają, ale nie ma żadnych liczb, jak normalnie.

- To dziwne - zgodził się Newell. Nacisnął „play”. Komputerowy żeński głos wyrecytował:

- Masz trzydzieści jeden wiadomości. Wiadomość pierwsza...

Przez kolejny kwadrans siedzieli i słuchali trzydziestu jeden różnych wersji tej samej wiadomości: „Cześć, Colleen, cześć, Newell. Mówi... Właśnie dowiedziałem się o wypadku. Nie mogę w to uwierzyć. Tak bardzo mi przykro. Tak bardzo was kocham i modłę się za Was, za Carly i Sandrę. Dajcie, proszę, znać, jeśli będziecie czegokolwiek potrzebować”. Gdy wybrzmiewały kolejne wiadomości, cała trójka milczała. Po prostu siedzieli, chłonąc słowa troski i miłości. Gdy nagranie się skończyło, Colleen wyciągnęła z szuflady kartkę i długopis i puściła taśmę raz jeszcze, tym razem notując imiona wszystkich dzwoniących.

Newell, Colleen i Carly chodzili po domu i czytali kartki dołączone do wiązanek oraz inne wiadomości i kondolencje. Po jakimś czasie dołączyła do nich Sandra, którą przywiózł jej znajomy. Nie mogli uwierzyć, że tyle osób mogło w tak krótkim czasie przygotować tak dużo. Colleen wyjechała z domu do Upland niespełna 24 godziny wcześniej. Zarazem nie mogli też uwierzyć, że to wszystko przydarzyło się właśnie im. Czuli sprzeczne emocje. Z jednej strony byli wdzięczni za okazaną miłość, z drugiej opłakiwali śmierć Whitney.



- Wpłynęła na tyle istnień - głos Colleen się załamał. -Tyle istnień w tak krótkim czasie.

Oglądając kwiaty, czytając kartki i listy, przeszli z kuchni przez jadalnię do salonu, by w końcu dotrzeć do schodów. Newell spojrzał na Colleen i dziewczęta.

- Musimy wejść teraz na górę - oznajmił. Wiedzieli, co to oznacza. Wszyscy czworo powoli weszli

po schodach na piętro, po czym otworzyli drzwi do pokoju Whitney. Łóżko było pościelone i wszystko stało na swoim miejscu, co nie było częstym widokiem, gdy Whitney mieszkała w domu. Ale odkąd wyjechała na studia, w pokoju panował porządek, chyba że zawitała na weekend.

- Wygląda na to, że już nigdy nie będzie tu bałaganu - zauważył Newell. Powiedział to w formie żartu, więc wszyscy się zaśmiali. Szybko jednak śmiech przerodził się w łzy.

Cerakowie leżeli na łóżku Whitney, trzymając się za ręce. Przez bardzo długi czas nikt nic nie mówił. Wszyscy poczuli zatrważającą pustkę. W końcu Carly przerwała ciszę:

- Pamiętam, jak kiedyś razem z Whitney...

W ten sposób przełamała lody. Leżąc tak na łóżku Whitney i opłakując jej odejście, zaczęli dzielić się historiami, które przywróciły ją do życia w jej dawnym pokoju. Wspominali jej zaraźliwy śmiech i figlarne poczucie humoru. Oczywiście nikt nie mógł odebrać im tych wspomnień, ale myśl, że nie mieli nic ponadto, wywołała nową falę łez.

- Naprawdę nie wyobrażam sobie, jak można dalej żyć bez niej - odezwał się Newell. - Mógłbym przysiąc, że za chwilę wpadnie do pokoju i zapyta, dlaczego płaczemy.

- Aha, pewnie jeszcze by mnie oskarżyła, że przyszłam ukraść jej ciuchy - rzuciła Carly. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, lecz za chwilę pokój znów pograżył się w ciszy.

Mieli wrażenie, że minęło dużo czasu, zanim odezwała się Colleen:

- Nawet nie wiem, co w tym roku zrobimy w święta. Nie wyobrażam sobie bez niej pieczenia ciasteczek bożonarodzeniowych ani ubierania choinki. Albo wigilijnego poranka bez jej biegania po schodach.

- Albo oglądania *White Christmas* - wtrąciła Carly. Oglądały ten klasyk z Bingiem Crosbym i Dannym Kaye jeszcze jako małe dziewczynki. Znały na pamięć wszystkie piosenki. Przy swojej ulubionej, czyli *Sisters*, tańczyły we dwie w salonie. Carly musiała przestać o tym myśleć.

- Wiecie co? - dorzucił Newell. - Każdy Memoriał Day\* Whitney spędzała ze mną i razem oglądaliśmy *Szeregowca Ryana*. To taki straszny film, ona zazwyczaj takich nie oglądała, ale w tym dniu zawsze nalegała, żebyśmy go puścili. Kiedyś zapytałem, dlaczego. Powiedziała, że chce pamiętać, dlaczego obchodzimy takie święto. Nie chciała zapomnieć, czemu żołnierze za nas umierali - przerwał na moment, a po policzkach spływały mu łzy.

- To już za kilka tygodni... - odjęło mu mowę i nie potrafił dokończyć zdania.

- Obejrzę go z tobą, tato - zaproponowała Carly. Rozplakali się jeszcze głośniej. Powoli zaczynali pojmować, jak będzie wyglądało życie bez Whitney.

\* Memoriał Day - Dzień Pamięci Poległych na Polu Chwały, święto obchodzone w Stanach Zjednoczonych w ostatni poniedziałek maja.

Gdy Colleen i Newell obudzili się w piątek około 8.30 rano, czekała już na nich długa lista rzeczy do zrobienia. Kiedy wracali z Upland, wystawienie zwłok w sobotę i pogrzeb w niedzielę wydawały się im dobrym pomysłem, jednak, jak się teraz okazało, taki układ wymagał wielu starań. Jeszcze nie uzgodnili szczegółów z domem pogrzebowym, który miał być odpowiedzialny za organizację uroczystości zaplanowanych na niecałe trzydzieści godzin później. Cerakowie musieli wybrać trumnę, wykupić miejsce na cmentarzu i zająć się całą masą innych przygotowań. Jakby tego było mało, biuro koro-nera hrabstwa Grant do tej pory nie przekazało ciała Whitney. Oznaczało to dodatkowe rozmowy telefoniczne, które ich miały upewnić w przekonaniu, że ciało dotrze do Gaylord na czas.

Wszystko to zaprzętało głowę Colleen, gdy wstawała z łóżka i schodziła na dół, by rozpocząć ten dzień. Carly czekała na nią w salonie.

- Wiesz co, mamó? - przywitała ją. - Pomyślałam, że zanim z czymkolwiek ruszymy, powinniśmy ze dwie godziny się pomodlić.

Colleen spojrzała na nią z niedowierzaniem. „Dwie godziny! - pomyślała. - Nie wiesz, ile mamy dzisiaj rzeczy do załatwienia? Nie możemy stracić dwóch godzin”.

- Tak, Carly, to dobry pomysł - powiedziała - ale mam tyle na głowie. Nie wiem, jak to w ogóle ogarnąć.

- Mamó, to nie jest prośba - ucięła Carly. - Musimy to zrobić. Jeśli nie zaczniemy dnia od pozyskania siły od Boga, nic się nam nie uda.

Colleen próbowała oponować, ale Carly dała jej do zrozumienia, że nie ma dyskusji. Już zmierzała w kierunku frontowych drzwi, trzymając w ręce kartkę z napisem: „Nie przeszkadzać do jedenastej”.

Po lekkim śniadaniu Carly powyłączała telefony, po czym zebrała matkę, ojca i Sandrę w salonie. Każdy miał ze sobą Biblię. Colleen nie potrafiła oderwać myśli od listy rzeczy, które bezdyskusyjnie musiała zrobić na już. Prawdopodobnie Carly wyczuła, co trapiło matkę, dlatego powiedziała:

- Zanim cokolwiek zrobimy, chciałabym puścić kilka pieśni pochwalnych, żebyśmy oczyścili umysły i skupili się na Bogu. - To mówiąc, wcisnęła „play” w odtwarzaczu CD.

Miałem pewność, że pochyłisz się nad nami i otrzymasz łzy. Wkroczysz i uratujesz świat. Ale znów, gdy mówię „Amen”, pada deszcz. W ryku pioruna ledwie słyszę Twój szept przez deszcz: „jestem z Tobą”.

W odpowiedzi na łaskę wznoszę ręce do Boga, który daje i odbiera.

Będę chwalić Cię w ten burzliwy dzień i wzniosę ręce. Bo Ty jesteś, kim jesteś, niezależnie ode mnie. Każda łza, którą wypłakałem, jest w Twojej dłoni. Ty nigdy mnie nie opuściłeś. . .

I choć moje serce cierpi, będę chwalić Cię W ten burzliwy dzień\*.

\* Tekst pieśni *Praiseyou in the storm* autorstwa Marka Halla, tłum. Patryk Dobrowolski.

Słowa piosenki zabrzmiały tak, jak gdyby powstały specjalnie dla Ceraków na ten właśnie czas. Zapłakali. W ciągu kilku sekund poczuli obecność Boga i kompletnie zapomnieli o organizacji pogrzebu i telefonach.

Carly puściła jeszcze ze dwa lub trzy utwory, a potem poprosiła ojca, by poprowadził modlitwę. Po modlitwie wyjęła Biblię, którą Whitney otrzymała niecały rok wcześniej jako nagrodę za ukończenie szkoły średniej. Kilka tygodni przed wypadkiem Whitney i parę przyjaciółek z jej skrzydła w Olson Hall postanowiły spotykać się, by wspólnie studiować Księgę Psalmów. Whitney wcześniej nie kreśliła po Biblii, ale w czasie tych spotkań zaczęła podkreślać wersety, którymi Bóg przemawiał do niej najdobitniej: „Wydobył mnie z dołu zagłady i z kałuży błota, a stopy moje postawił na skale i umocnił moje kroki” (Ps 40,3), „Skoro łaska Twoja lepsza jest od życia, moje wargi będą Cię sławić” (Ps 63,4), „Spocznij jedynie w Bogu, duszo moja, bo od Niego pochodzi moja nadzieja” (Ps 62,6), „W każdym czasie Jemu ufaj, narodzie! Przed Nim serca wasze wylejcie: Bóg jest dla nas ucieczką!” (Ps 62,9).

Gdy Carly zaczęła czytać powyższe fragmenty, które tyle znaczyły dla Whitney, Cerakowie poczuli się, jakby ich córka była znów z nimi.

- Jak dla mnie - stwierdziła Carly - tym werselem dzieli się z nami tym, co teraz widzi i słyszy: „Jak miłe są przybytki Twoje, Panie Zastępów! Dusza moja pragnie i tęskni do przedsieni Pańskich. Moje serce i ciało radośnie wołają do Boga żywego” (Ps 84,2-3).

Zapadła kilkuminutowa cisza. W końcu odezwał się Newell:

- W Drugim Liście do Koryntian św. Paweł nazywa Pana „Ojcem miłosierdzia i Bogiem wszelkiej pociechy, Tym, który nas pociesza w każdym naszym utrapieniu” (2 Kor 1, 3-4). Chyba sam nie do końca rozumiałem to, o czym dotychczas mówiłem ludziom - głos mu się załamał i zaczął płakać. -Wiem, że wypadek, który zabrał nam Whitney, nie zaskoczył Boga. Nie wiem, co zrobimy bez niej, ale jestem pewien jednego: On na pewno nie zostawił w tym nas samych - urwał i spróbował wziąć się w garść. - Dziękuję ci, Carly, że kazałaś nam skupić się na Bogu zamiast na obowiązkach. Cieszę się, że byłaś taka nieugięta.

Czas przeznaczony na modlitwę minął w mgnieniu oka. O 10.30 Jim Mathis wetknął głowę w drzwi i szepnął:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałem tylko powiedzieć, że umówiłem was na 11.30 w Domu Pogrzebowym Nelsona.

Głowa zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. Już nikt więcej nie zapukał do drzwi ani w żaden inny sposób nie przerwał Cerakom. Gdy tylko zegar wybił jedenastą, ich dom ze spokojnego sanktuarium zamienił się w terminal lotniska. Cerakowie wyłączyli muzykę, podnieśli rolety, włączyli telefony i rzucili się w wir pracy. Pojawili się znajomi z kościoła, w którym Newell służył jako pastor przez osiemnaście lat, oraz pracownicy miejscowych kwiaciarni.

Newell, Colleen, Carly i Sandra wkrótce wybrali się do domu pogrzebowego, gdzie spotkali Carol Nelson - przyjaciółkę od czasów, gdy sprowadzili się do Gaylord.

- Wiecie może, jaką chcielibyście trumnę? - zapytała.

- Nie zrozum mnie źle — zaczęła Colleen - ale nie chcemy za dużo wydać. Whitney jest w niebie, nie tutaj.

- Rozumiem - zapewniła Carol. - Doskonale was rozumiem. -  
Dodała jeszcze: - Bardzo mi przykro, że musicie przez to przechodzić. - Powstrzymała łzy i zaprowadziła Newella, Colleen, Carly i Sandrę do znajdującego się na parterze pokoju z trumnami. - Zostawię was tutaj, żebyście sami wybrali. Jeśli macie jakieś pytania, zadawajcie je śmiało. Nie śpieszcie się.

Carol poszła na górę, a Newell szepnął do Colleen:

- Czuję się, jakby to się przydarzyło komuś innemu. Tak jakbym był poza swoim ciałem i oglądał nas z zewnątrz.

- Wiem - odrzekła Colleen.

- Bardzo przeżyłem śmierć ojca, ale to dzieci zwykle chowają rodziców. Rodzice nie powinni planować pogrzebu córki. Jeszcze przed chwilą szukaliśmy razem sukienki na studniówkę, a dzisiaj wybieramy dla niej trumnę.

- Ja też sobie z tym jeszcze nie radzę... To jak ci się wydaje? - Colleen zmieniła temat. - Którą wybieramy?

- Gdyby to Whit decydowała, powiedziałaaby: „Weźcie sosnową skrzynię, a zaoszczędzone pieniądze wpłaćcie na Invisible Children”.

- Skrzyni wprawdzie nie widzę, ale ta tutaj wygląda nie najgorzej i jest prawie najtańsza. Ona pewnie chciałaby tę.

- Mnie też się podoba - przytaknął Newell.

Gdy wrócili z domu pogrzebowego, ich dom nie należał do najspokojniejszych. Przez drzwi nieustannie przewijał się tłum znajomych i członków rodziny. Colleen i jej przyjaciółki opanowały kuchnię, podczas gdy reszta zajęła się pozostałymi

gośćmi. Zaczęły się schodzić również przyjaciółki Whitney i Carly.

W ten sposób upłynął dzień, ale uczucie nierealności tego, co się dzieje, nie opuściło Ceraków ani na moment. W ciągu dnia Carly i Sandra często wychodziły na chwilę z domu, a późnym popołudniem Colleen odszukała Newella i zaproponowała:

- Może i my wyrwiemy się stąd na moment?

- Co konkretnie masz na myśli?

- Wiem, że to zabrzmiało jak szaleństwo, ale dziewczyny ze szkoły średniej grają dziś mecz piłki nożnej. Myślę, że powinniśmy pójść - wyjaśniła.

Pomysł wcale nie wydał się Newellowi szalony. W poprzednim sezonie Whitney była kapitanem jednej z drużyn, więc wszystkie zawodniczki z wyjątkiem dziewczyn z pierwszego roku były jej koleżankami z drużyny. Podziw wzbudzał już sam fakt, że były w stanie zagrać mecz dwa dni po jej śmierci.

Mecz już trwał w najlepsze, kiedy Newell i Colleen dotarli na stadion. Nie chcieli wchodzić w tłum ludzi ani odciągać uwagi kibiców od grających dziewczyn - ci pewnie mieliby do nich setki pytań. Dlatego stanęli przy ogrodzeniu boiska, z dala od swoich stałych miejsc z zeszłego sezonu. Ale nawet stamtąd widzieli, że każda z dziewczyn z drużyny ma na szczycie podkolanówki owinięty kawałek taśmy z napisem „Whit #9”, na taśmach zamieściły też osobiste słowa dla Whitney. Zaraz po zakończeniu meczu cała drużyna otoczyła Newella i Colleen i wręczyła im liściki, które napisały dla Whitney. Dziewczyny



były poruszone faktem, że Cerakowie w takiej chwili opuścili dom i przyszli na ich mecz.

Piątkowy wieczór minął bardzo szybko. Colleen skupiła się na dogrywaniu szczegółów dotyczących sobotniego wystawienia zwłok. Poprosiła przyjaciela o zmontowanie filmu, który miał być odtworzony na pogrzebie Whitney. Kolejną godzinę Colleen i Newell spędzili, pracując gorączkowo nad wybieraniem fotografii i taśm wideo do filmu. Jednocześnie przez cały czas podejmowali nieustannie przychodzących gości.

Pod koniec dnia oboje padli zmęczeni na łóżko. Usnęli, słuchając muzyki dobiegającej z dołu. Carly i Sandra zebrały wszystkich swoich przyjaciół i szkolnych kolegów Whitney. Młodzież śpiewała pieśni na cześć Boga i dzieliła się wspomnieniami związanymi z Whitney. Takiego dnia nie dało się chyba zakończyć lepiej.

## **Od Fort Wayne do Sydney**

*Piątek, 28 kwietnia 2006 roku*

Piątkowa aktualizacja: oto najnowsze informacje o stanie zdrowia Laury w piątek rano...

*Pierwszy wpis na blogu*

Wszystko zaczęło się od jednego e-maila. W drugim

W dniu czekania w szpitalu Parkview do Lisy przysiadł się Todd Henderson i powiedział:

- Wiesz, że w szpitalu jest darmowy internet bezprzewodowy? Właśnie tu, w poczekalni.

Lisa nie za bardzo wiedziała, do czego Todd zmierza, tak zagajając.

- Okej, czyli możesz sobie sprawdzić wynik meczu Tigersów?

- Nie do końca o to mi chodziło. Jeśli chcesz, mógłbym e-mailem rozsyłać wiadomości o stanie Laury i nie musiałabyś codziennie wykonywać tylu telefonów.

- Byłoby świetnie. Powtarzanie w kółko tego samego przez telefon to tak naprawdę średnia przyjemność.

- Powiedz mi tylko, co chcesz przekazać. W sumie to możesz wziąć mój komputer i wysyłać ze swojej poczty.

- Tak by było chyba nawet lepiej - stwierdziła Lisa. - Ludzie nie pomyślą, że to spam od obcej osoby.

Napisała raport o stanie zdrowia siostry, a kolejną godzinę spędziła wspólnie z Toddem, sporządzając listę nazwisk i adresów e-mailowych członków rodziny, znajomych ze wspólnoty kościelnej, kolegów z Uniwersytetu Taylora i obozu biblijnego na Półwyspie Górnym, na którym co roku pracowali Van Rynowie.

Wiele osób, które otrzymały wiadomość, przekazało ją dalej do ludzi, którzy mieli żarliwie modlić się za Laurę. Ci z kolei rozesłali wiadomość jeszcze dalej. W miarę rozprzestrzeniania się raportu skrzynka odbiorcza Lisy szybko zapełniała się odpowiedziami od modlących się oraz tych, którzy prosili o więcej informacji na temat stanu zdrowia Laury.

Następnego dnia do szpitala przyszedł przyjaciel rodziny, Dave NifEn, i uważnie przyglądał się temu, jak Lisa próbuje uzupełniać listę mailingową.

- Nigdy bym nie pomyślała, że tylu ludzi będzie chciało codziennego raportu - skomentowała.

- A myślałaś kiedykolwiek o założeniu bloga? - podrzucił pomysł Dave.

- Nie wiedziałabym nawet, jak zacząć.

- To naprawdę łatwe i miałybyś o wiele mniej pracy. Ludzie mogą pisać odpowiedzi w formie komentarzy, co bardziej przypomina zwykłą rozmowę.

Lisa przedyskutowała sprawę z rodziną i wszyscy uznali, że to dobry pomysł. Blog był o wiele lepszy od wykonywania dziesiątków telefonów i trwania w niepewności, czy aby o kimś nie zapomnieli.

Dave założył dla Lisy konto na portalu [blogspot.com](http://blogspot.com) i pokazał jej, jak się logować i tworzyć wpisy. W piątek, 28 kwietnia, dwa dni po wypadku, na blogu Laury Van Ryn pojawił się pierwszy wpis:

Laura leży w szpitalu Parkview w Fort Wayne w stanie Indiana, dokąd została przewieziona helikopterem w środę wieczorem. Do wypadku doszło, gdy Laura wraz ze współpracownikami wracała na kampus po przygotowaniu bankietu uniwersyteckiego w Fort Wayne. Ciężarówka jadąca autostradą 1-69 zjechała na przeciwny pas i najechała na vana, którym podróżowała Laura. Van został uderzony w lewą tylną część, uderzenie rozdarło karoserię. Laura została odrzucona na odległość około 15 metrów od samochodu i wydaje się, że największego wstrząsu doznała lewa część jej ciała. Obecnie znajduje się w stanie śpiączki i od czasu wypadku nie *odzyskana* przytomności. Dziś rano wykonała kilka drobnych ruchów. Poruszyła trochę nogą, zmarszczyła brwi, lekko poruszyła palcami... Wygląda na to, że czuje ból, co jest w istocie dobrym znakiem. Prawdopodobnie wykonała też kilka samodzielnych ruchów.

Rodzina pragnie wyrazić ogromną wdzięczność za okazaną przez wszystkich miłość.

Następnego dnia Lisa napisała:

W piątek Laura zaczęła się poruszać znacznie intensywniej, tak samo jest i dzisiaj. Momentami zaciska ręce, porusza palcami u nóg, ściąga brwi (choć jeszcze nie otwiera oczu), porusza rękami i nogami. Nadal jest w śpiączce, ale ruchy dobrze rokują na przyszłość. Lekarze podkreślają, że to będzie „maraton, nie sprint”, więc progres może być powolny. Wasze modlitwy zostały wysłuchane i Bóg otoczył Laurę swoim ramieniem. Proszę, nie przestawajcie się modlić za nią, za rodziny, które straciły dzieci, i za wszystkich, którzy będą jechać na pogrzeb.

W niedzielę dodała wpis:

Wczoraj Laura miała gorączkę, około 39 stopni. Przyczyny nie znamy, ale temperatura już się ustabilizowała. Najlepszym znakiem jest to, że rano Laura zdawała się reagować na polecenia pielęgniarki. Wcześniej można było kwestionować, czy jej ruchy były świadome, czy odruchowe. Wygląda na to, że dziś były już na pewno świadome, co oczywiście jest bardzo obiecujące... Teraz lekarze najbardziej obawiają się zapalenia płuc. Dowiedziałam się, że po pięciu dniach pod respiratorem niemal naturalną konsekwencją jest właśnie zapalenie płuc. Pięć dni minie w poniedziałek w nocy. Proszę, trwajcie nadal w modlitwie za Laurę i jej rodzinę, zwłaszcza w intencji Boskiego uzdrowienia.

W poniedziałek po południu dopisała:

Ostatnia noc minęła spokojnie, wszystkie wskaźniki są stabilne, brak gorączki, brak obrzęku mózgu. Płuca pracują dobrze i nie zanosi się na zapalenie płuc. Pielęgniarka poprosiła ją, żeby -jeśli Laura ją rozumie - uniosła oba kciuki, a Laura to właśnie zrobiła! Nie zapominajcie, że nadal jest w śpiączce, ale już teraz sporadycznie reaguje na polecenia.

Wszystkie pierwsze wpisy miały podobną formę: „Oto nowe fakty... Nie przestawajcie się modlić". Do czasu, gdy tydzień po uruchomieniu błoga Lisa wpisała:

Laura radzi sobie dziś świetnie, a my nadal trzymamy się kurczowo obietnic Pana. Zgodnie z Psalmem 33: „Dusza nasza wyczekuje Pana, On jest naszą pomocą i tarczą. W nim przeto raduje się nasze serce, ufamy Jego świętemu imieniu. Niech nas ogarnie łaska Twoja, Panie, według ufności pokładanej w Tobie" (Ps 33, 20-22). A oto najnowsze informacje z dzisiejszego poranka...

Od tego dnia blog przestał być jedynie źródłem wiadomości o stanie zdrowia Laury. Rodzina postanowiła przekazywać ludziom więcej niż tylko informacje, że dziewczyna przeżyła. Pragnęła pokazać wszystkim odwiedzającym blog, że Bóg pozostaje wierny, nawet gdy ziszczą się najgorsze koszmary.

Blog się sprawdził, a co za tym idzie, szaleństwo e-maili i telefonów ustało, zgodnie zresztą z tym, czego spodziewali

się Van Rynowie. Blog zawierał też sekcję, gdzie można było zostawiać komentarze. Ku zaskoczeniu, ale i wielkiej radości rodziny, pojawiły się one niemal natychmiast. Z początku było ich najwyżej kilka dziennie, a w większości pochodziły od członków rodziny i znajomych.

Mam szczęście, że Wy wszyscy wywieracie tak silny i trwały wpływ na moje życie. Moja dusza raduje się z każdego wpisu z dobrymi nowinami. Nasze ograniczone i wątle umysły nie potrafią zrozumieć, co takiego Bóg trzyma dla nas w zanadrzu. Ja rozumiem tylko tyle, że ma co do nas takie plany, których nie pojmiemy tak długo, póki stąpamy po ziemi. Wszyscy nieustannie otaczamy Laurę i jej bliskich myślami i modlitwą. Kocham Was bardzo mocno z głębi całego serca.....

Bry.

Wkrótce blog zdobył popularność także poza Michigan i Indianą. Van Rynowie zdawali sobie sprawę, że społeczność Uniwersytetu Taylora należy do silnych, ale w miarę jak wieść o blogu niosła się od jednej rodziny związanej z uczelnią do drugiej, stawało się jasne, jak potężne były więzi, które ich łączyły. Pewnego poranka przeczytali:

Modlimy się za społeczność Uniwersytetu Taylora, rodziny tych, którzy „otrzymali promocję” do nieba, oraz za pełne wyzdrowienie Laury. Jesteśmy misjonarzami przebywającymi w Niemczech i dowiadujemy się wszystkiego za pośrednictwem naszego syna, studenta pierwszego roku Uniwersytetu Taylora, ze strony

internetowej TU oraz tego bloga. Poprosiliśmy o modlitwę również naszych przyjaciół. Wiemy, że ulgę przynosi Wam wiara, że Laura pozostaje w rękach Wielkiego Doktora. Modlimy się za troszczący się o nią personel szpitala oraz o siłę i wytrzymałość dla Was, czyli rodziny, w tym „maratonie” (miejmy nadzieję, że jednak minimaratonie). Ale najbardziej modlimy się oto, by ci wszyscy ludzie, którzy czytają Wasze wpisy i są świadkami Waszych zmagania, zbliżyli się do Chrystusa. Modlimy się, byście poczuli Jego obecność i łaskę tak, jak nigdy dotąd, i żeby Laura obudziła się szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa!

Wiść o blogu przedostała się nawet poza krąg ludzi choćby pośrednio związanych z rodziną Van Rynów. Dzięki wpisanemu do bloga komentarzowi kogoś z Arizony Van Rynowie dowiedzieli się, że miejscowa chrześcijańska rozgłośnia radiowa na bieżąco informowała o stanie zdrowia Laury i wzywała do modlitwy za nią. Pewnego dnia otrzymali taką krótką wiadomość:

Niech Bóg Was błogosławi, niech Jego oblicze świeci nad Wami... Modlimy się nawet tutaj, na Filipinach.

Dave Niffin, który zainicjował blog, poinformował rodzinę, że w ciągu pierwszych dwóch tygodni działania stronę odwiedzały osoby z każdej części Stanów Zjednoczonych i Kanady, ale też z Chin, Filipin, Kolumbii, Niemiec, Australii, Japonii i Afryki. Tylko 10 maja zalogowało się 1500 różnych odwiedzających, co pobiło rekord 1300 osób z poprzedniego dnia.



Ludzie na całym świecie nie tylko uważnie obserwowali postępy w leczeniu Laury, lecz także zaczęli składać świadectwa tego, jak silnie czuli się z nią związani.

Droga Rodzino Van Ryn!

Chciałam tylko powiedzieć, że modłę się za całą rodzinę i o obudzenie się Laury. Dziękuję za stworzenie tego błoga i dzielenie się szczegółami! To piękne, że mogę ją sobie wyobrazić -jej warkoczyki, siadanie na krześle itd.

Inni pisali o uczuciach, które wskazywały, że nie śledzą poczynąń Laury z czystej ciekawości. Myśleli o niej całymi dniami.

Dziś Pan obdarzył mnie tym wersetem i wierzę, że powstał on dla Was: „Postępują naprzód wśród płaczu, niosąc ziarno na zasiew: Z powrotem przychodzą wśród radości, niosąc swoje snopy” (Ps 126, 6). Upatruję w tym trudnym czasie wielkiego Bożego planu dla Was i Laury. Modłę się, by każdego dnia postępy w leczeniu umacniały Was, a zewsząd otaczała Was miłość rodziny i przyjaciół. Lauro, kocham Cię! Modłę się nieustannie.

Connie.

Śledzenie poczynąń Laury stało się dla wielu ludzi codziennym zajęciem. Jeden z odwiedzających napisał:

Tak jak większość komentujących dzisiaj, sprawdzam ten blog codziennie. Nigdy nikogo z Was nie spotkałem. Sam ukończyłem Uniwersytet Taylora dziewięć lat temu. Więż ze społecznością

uczelnia jest jednak bardzo silna. Dlatego wydaje mi się, jakbym nadal tam był, jako jeden z żałobników. Będę otaczał Was modlitwą każdego dnia. Dziękuję za nowe informacje.

Każdego dnia rodzina czytała komentarze i czerpała z nich otuchę. Jednak, jak się okazało, podobny mechanizm działał w drugą stronę. Ktoś napisał:

Czytanie o Laurze każdego dnia jest jedną z najbardziej pokrzepiających rzeczy w moim życiu. Wasza historia jest wspaniałym świadectwem Boskiego rzemiosła w naszym życiu. Budująca jest świadomość, że Bóg myśli o takich rzeczach jak pomadka do ust czy różowe baloniki. Tak często nie potrafię Mu podziękować za wszystkie drobne błogosławieństwa, jakie otrzymuję od Niego każdego dnia. Dziękuję za otwarcie mi oczu na Jego dobro... Czasami najmniejsze rzeczy są w istocie największymi.

Ale żaden spośród ludzi stale śledzących stan Laury na blogu nie znaczył dla Van Rynów tyle, co członkowie rodzin pozostałych ofiar wypadku. Pewnego razu Lisa z trudem mogła zapanować nad emocjami, kiedy przeczytała:

Cześć, jestem najstarszą córką Moniki Felver. Chciałabym zapewnić Ciebie i całą Twoją rodzinę, że każdego dnia jesteście w moich myślach i modlitwach. Wydaje mi się, że wydarzenia z 26.04.06 połączyły nas wszystkich szczególną więzią. Dzień w dzień sprawdzam postępy w leczeniu Laury i cieszę się z każdej dobrej nowiny. Sama ledwo sobie radzę, ale znajduję oparcie w Jezusie

Chrystusie, naszym Panu i Zbawicielu. Jest wspaniałym Bogiem i wierzę, że uśmiecha się do każdego z nas. Dziękuję za cudownie krzepiące nowe wpisy na blogu. Uściskajcie ode mnie mocno Laurę. Trzymajcie się mocno, niech Bóg Was błogosławi. On jest miłością.

Kelly

Niebawem otrzymali też wiadomość od siostry Brada Larsona. Napisała:

Hej, Van Rynowie! Jesteście oparciem dla tak wielu ludzi. Miałam zaszczyt spędzić z Wami czas w piątek, mam nadzieję, że wkrótce znów będę mogła Was wszystkich zobaczyć. W piątek podzieliłam się z Lisą fragmentem z Księgi Sofoniasza, który tak bardzo mi się podoba: „Pan, twój Bóg jest pośród ciebie, Mocarz - On zbawi, uniesie się weselem nad tobą, odnowi swą miłość, wzniesie okrzyk radości" (So 3,17). Pan z pewnością raduje się teraz na myśl o Waszej rodzinie za wierność, jaką Mu okazujecie. Kocham Was każdego dnia i nie przestaję się za Was modlić.  
Dawn

W końcu, 11 maja znaleźli na blogu i taki komentarz:

Dziękujemy za nowe wpisy... Pamiętajcie, proszę, że modlimy się za Laurę i za Was. Nasze serca są razem z Wami w te niepewne i bezsenne dni. Niech Bóg nadal Was umacnia.

Newell i Colleen Cerak

Do czasu, gdy pięć tygodni później Lisa przestała uzupełniać blog, dziennie pojawiały się setki nowych komentarzy, najczęściej autorstwa nieznajomych. Każdego dnia Van Rynowie czytali wszystkie wpisy. Każde pełne otuchy zapewnienie sprawiało, że czuli się, jakby Bóg osobiście wchodził do poczekalni OIOM-u i obejmował ich swoim ramieniem. Tego właśnie potrzebowali, zwłaszcza że ich podróż miała się dopiero rozpocząć.

## **Pierwszy kamień milowy**

*Poniedziałek, 1 maja 2006 roku*

Jutro rano o 8.30 Laura ma wyznaczoną operację. Dobrą wiadomością jest już sam fakt, że na tym etapie jest to w ogóle możliwe. Oznacza to, że według lekarzy jej stan jest na tyle stabilny, że powinna znieść kilka zabiegów. Najpierw nastawią jej złamany łokieć i kość udową, a jeśli to będzie konieczne, wkręcą jej śruby. Zaraz po wypadku zamocowali ich kilka, ale teraz będą je zakładać na stałe. Gdy Laura będzie pod znieczuleniem, przeprowadzą też tracheotomię. Z kilku powodów. Mają wyjąć respirator z jej ust i wprowadzić go bezpośrednio do tchawicy, przez punktowe nacięcie. Ma to obniżyć ryzyko wystąpienia infekcji. Zmniejszy to także prawdopodobieństwo zapalenia płuc lub ewentualnie złagodzi jego skutki. Tracheotomia przyspieszy również potencjalne odstawienie respiratora w przyszłości.

Kiedy będą ją jutro operować, pewnie usuną z jej czaszki rurkę, która monitoruje ciśnienie wewnątrzczaszkowe. To urządzenie do tej pory badało obrzęk mózgu, a ponieważ nie wykryło ani znacznego obrzęku, ani wzrostu ciśnienia, planują je usunąć

Proszę, nie przestawajcie się modlić i przekażcie tę informację swoim grupom modlitewnym.

*Wpis na blogu dodany przez Lisę Van Ryn*

Stan Laury ładnie nam się poprawił w ciągu kilku ostatnich dni. Postępy są budujące. Jakkolwiek... - w momencie, gdy lekarka Laury wypowiedziała słowo „jakkolwiek”, Susie poczuła się, jakby jej serce przestało bić. Musiała przypomnieć sobie, jak się oddycha. - Jakkolwiek musimy jeszcze przeprowadzić kilka czynności, zanim w pełni wyzdrowieje. Chcielibyśmy zacząć jutro rano.

- Co dokładnie ma pani na myśli? - zapytał Don. -Trzymanie jej pod respiratorem pomaga jej organizmowi

wyść z szoku pourazowego, jednak stwarza również pewne ryzyko. Chcielibyśmy przeprowadzić tracheotomię, dzięki czemu moglibyśmy wyjąć rurkę respiratora z jej ust i wprowadzić ją bezpośrednio do tchawicy. Obniży to ryzyko infekcji i zmniejszy prawdopodobieństwo wystąpienia zapalenia płuc. Musimy też nastawić złamany łokieć i usztywnić złamane nogi. Możliwe, że będziemy musieli zamocować w kościach kilka śrub lub płytek. Zrobiliśmy to tuż po wypadku, ale tylko tymczasowo, teraz będziemy musieli zainstalować je na stałe.

- Będzie po tym miała niezły ubaw, przechodząc przez wykrywacze metalu na lotniskach - zażartowała Lisa. Nikt nie miał nic przeciwko odrobinie humoru. Chyba właśnie tego teraz potrzebowali.

- Ile potrwa operacja? - zapytała Susie.

- Nie za długo - odparła lekarka. - Jeśli wam to nie przeszkadza, możemy zacząć o 8.30 rano i już teraz ją przygotować.

Don i Susie podpisali wymagane dokumenty, po czym opadli na krzesła i spojrzeli po sobie.

- To chyba dobrze, nie? - zaczął Don. - Jest wystarczająco silna, by przeżyć zabieg, czyli możliwe, że niedługo będzie na tyle silna, by opuścić OIOM i przenieść się do normalnej sali.

Susie obruszyła się na samą myśl. Choć trudno było jej przyjąć do wiadomości, że Laura miała wypadek, zdążyła się już przyzwyczaić do oddziału intensywnej terapii. Nadal przejmowały ją migoczące lampki i dźwięki aparatury, ale przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać po wejściu do pokoju córki. Nie podobała jej się myśl, że cokolwiek miałyby się zmienić w tej kwestii.

- Wszystko będzie dobrze, mamó. Zobaczysz - zapewniła ją Lisa, chwytając ją za rękę. - Bóg czuwa.

- Wiem o tym. Wiem... - westchnęła Susie. - Gdyby było inaczej, to chyba leżałabym tu razem z nią.

- Jutro będziesz miała operację - rzekła Susie, głaszcząc Laurę po włosach. - Lekarka powiedziała, że to bardzo pomoże twojej ręce i nodze.

Po drugiej stronie łóżka siedział Aryn i trzymał Laurę za rękę. Gdyby nie diody urządzeń kontrolnych, sala byłaby niemal kompletnie ciemna. Aparat monitorujący pracę serca wydał dziwny dźwięk, po czym wrócił do normalnego rytmu. Susie i Aryn ani drgnęli, zupełnie inaczej niż pierwszego dnia,

który spędził w szpitalu. Teraz byli już przyzwyczajeni do widoków i dźwięków z OI OM-u.

Susie nie miała pewności, czy Laura ją słyszy i rozumie, ale to nie miało znaczenia. Nadal głaskała jej włosy, mówiąc:

- Na całym świecie ludzie modlą się za ciebie, słoneczko. Nie uwierzyłabyś, jak bardzo jesteś kochana - pochyliła się i pocałowała Laurę w czoło. - Wyjdiesz z tej operacji bez szwanku.

- Chyba powinniśmy dać jej odpocząć - stwierdził Don, wchodząc do sali z pozostałymi członkami rodziny. Ledwie wypowiedział te słowa, a z ust Laury wydobył się cichy przeciągły dźwięk. Co prawda rurka respiratora utrudniała obserwację, ale wszyscy zebrani gotowi byli przysiąc, że było to ziewnięcie. Ziewnęła, po raz pierwszy od czasu wypadku. Zamrugła powiekami i otworzyła nieznacznie oczy.

- Widzieliście to?! - krzyknęła Susie. - Próbuje się obudzić! Van Rynowie zaczęli się ścisnąć i poklepywać. Nieznaczny ruch powiek i ziewnięcie nie wydaje się może niczym wielkim, ale po pięciu dniach sporadycznych reakcji to było naprawdę coś.

- Myślę, że to było doskonałe zakończenie dnia - podsumował Don.

- Możesz iść razem z Suz się przespać - zaproponowała Lisa. - Ja dziś zostanę dłużej z Markiem.

- Nie chcę jej zostawiać - zaprotestowała Susie.

- Nie martw się, mamó. Będziemy tu. Zresztą ty jutro będziesz miała jeszcze trudniejszy dzień niż Laura. Musisz wypocząć.



Po paru minutach przekonywania Susie w końcu się zgodziła. Wszyscy, oczywiście z wyjątkiem Lisy i Marka, opuścili pomieszczenie i udali się do Domu Samarytanina.

Jak zwykle gdy ta dwójka zostawała przy siostrze, oboje siedzieli blisko przy niej i po prostu na nią patrzyli. Po niedługim czasie Laura ziewnęła szeroko jeszcze raz.

- Oo? - zdziwiła się Lisa.

- Co tam? - Jej zęby

- Co z zębami?

- Coś z nimi nie tak.

Oboje pochylili się, by przyjrzeć się z bliska. Minęło kilka minut, zanim Laura znów ziewnęła. -Widziałeś to? - spytała Laura. Mark dotknął swoich siekaczy.

- Te dwa ma wygięte do góry. Strasznie dziwne - zauważył.

- Mówili, że przeleciała 15 metrów. Au! Wyobrażasz sobie, jaka to musiała być siła, żeby tak jej odkształciło zęby? To cud, że w ogóle przeżyła.

- Oprócz tego to wygląda całkiem normalnie, nie? - zapytał Mark. - Opuchlizna zeszła już z twarzy.

- Ale chyba nie spodoba jej się ten ogolony kawałek głowy z rurką - zażartowała Lisa.

Mimo że zabieg zaplanowano na 8.30 rano, Laura nie została przygotowana do operacji aż do wczesnego popołudnia. Jeden z chirurgów miał nagły wypadek i zabieg Laury został przesunięty. Kolejny raz Van Rynowie musieli czekać i czekać oraz doświadczyć osobiście pierwszej zasady

poczekalni: zabiegi zawsze zaczynają się później i trwają dłużej, niż zaplanowano.

Kiedy o 16.15 z sali operacyjnej wyszedł lekarz, przywitał rodzinę uspokajającym uśmiechem.

- Laura spisała się świetnie. Nie było żadnych komplikacji. Wszystko poszło zgodnie z planem.

Na te słowa Van Rynowie chóralnie westchnęli z ulgą. Mark i Kenny przybili piątkę, a Lisa uściskała matkę.

- Wkrótce będziecie mogli ją zobaczyć, ale nie będzie - reagować tak jak wczoraj. Nadal jest pod wpływem środków uspokajających - ostrzegł chirurg.

- Udało wam się zrobić wszystko, o czym była wcześniej mowa? - zapytał Don.

-Tak. Jak mówiłem, wszystko przebiegło bez najmniejszego zgrzytu. Potem spróbujemy jeszcze usunąć tę rurkę z głowy. Możemy to zrobić już w jej pokoju.

Niecałą godzinę później do poczekalni weszła pielęgniarka i powiedziała:

- Dwoje z was może wejść i ją zobaczyć.

Zaraz po wejściu do córki Don i Susie zauważyli różnicę.

- Od razu nabrała kolorów - ucieszyła się Susie.

Dzięki temu, że respirator był podłączony rurką do tchawicy, pielęgniarki mogły teraz bez trudu usuwać nadmiar płynu z płuc, poprawiając w ten sposób wydolność oddechową.

- No i wygląda o wiele lepiej bez tej okropnej rurki i taśmy wystającej z ust - Susie pochyliła się nad córką i delikatnie pocałowała ją w policzek.

Na lewej ręce i lewej nodze Laury lśnił białą nowiutki gips. Prawa ręka wisiała na temblaku i była przymocowana, tak by dziewczyna nie mogła zerwać nią rurek. Rany na twarzy goiły się ładnie, jednak buzia Laury nadal nie miała żadnego wyrazu. Monitor pokazujący bicie serca pikał znacznie wolniej niż jeszcze kilka dni wcześniej. Puls spadł ze 125 do 80. Laura spędziła wtorek i większą część środy niezwykle spokojnie.

Do poczekalni wszedł Don i zauważył Lisę siedzącą z otwartym laptopem. Pracowała nad codziennym wpisem na blog.

- Cześć, Lis - przywitał się. - Czy mogłabyś przypomnieć ludziom, żeby się pomodlili za jej szybkie wyjście ze śpiączki? Jak do tej pory wszystko się udało, pozostało jedynie to. Musimy się modlić do Boga, żeby jak najszybciej ją obudził. Aha, może jeszcze poprosz o modlitwę za jej samopoczucie, gdy się obudzi. Będzie musiała się oswoić z wieloma tragicznymi wieściami. Sam nie wiem, jak jej to przekazać. - Jasne, DV - przytaknęła Lisa i zabrała się do pisania: „Don prosi was dziś o modlitwę w intencji szybkiego wyjścia Laury ze śpiączki...”.

Ludzie mówią, że mamy siłę. Nie wiercie w to! Nawet nie wiecie, jakim jestem mięczakiem! To tylko modlitwa mnie tak umacnia. Boję się o Ciebie, małeńka, ale Bóg zwycięża moje lęki. Śpij dobrze, słodka Laurie. Tak bardzo Cię kocham.

Mama

*Wiadomość Susie dla Laury z wtorku, 2 maja*

**„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”**

Najdroższa Whit!

Wszystkiego najlepszego z okazji 19. urodzin! Jestem taka podekscytowana. To były Twoje najpiękniejsze urodziny! Mam nadzieję, że nie przejadłaś się zbytnio magicznymi babeczkami. Urodzinowa wróżka dziś Cię nie odwiedziła, ale za to Bóg ją zastąpił. Ale masz szczęście: Twoje przyjęcie nigdy się nie kończy.

Whit, minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz rozmawiałyśmy. STRASZNIE tęsknię za naszymi czwartkowymi nocnymi rozmowami. Nie wiem, czy Ci to kiedyś mówiłam, ale nigdy nie mogłam się ich doczekać. W sumie to dziwne, bo niby mijał tylko tydzień, a już mogłyśmy gadać o wszystkim bez końca. To właśnie cała Ty - idealny rozmówca. Sama nie wiem, jak teraz wypełnię swój czas, ale jestem ogromnie wdzięczna, że nasza przyjaźń nie legła w gruzach (sic!), mimo że poszłyśmy do różnych szkół.

Muszę Ci wyznać coś, czego Ci wcześniej nie mówiłam. Podziwiam Cię. Podziwiam za to, że jesteś jedyną dziewczyną, jaką

znam, która nie cierpi zakupów. Moja mama marzy, że w tej kwestii mnie też się trochę od Ciebie udzieli. Popracuję nad tym. Podziwiam Cię też za serce, jakie zawsze okazywałaś ludziom. Potrafiłaś dać odczuć ludziom, że są kochani. Zrozumiałam to po tym wszystkim, co się stało z Liz. Jestem taka szczęśliwa, że możesz być teraz przy niej. Przytul ją ode mnie. Whit, potrafisz tak wspaniale słuchać. Niewiele osób pracujących w domu opieki społecznej naprawdę się tam spełnia. Ty byłabyś niesamowita, ponieważ robiłaś to z prawdziwą pasją. Ale ponad wszystko, Whit, podziwiam Twoją wiarę. Pamiętam, jak w szkole średniej zawsze mówiłaś, że chcesz być taka silna jak ja, ale prawda jest taka, że... to Ty byłaś moim wzorem. To dzięki Tobie narodziła się moja wiara. Ty mnie poprowadziłaś, a ja przebyłam długą drogę. Serce mi rośnie, gdy pomyślę, jak bardzo wydorosłaś w tym roku. Tak się cieszę, że poszłaś studiować na Uniwersytet Taylora i udało Ci się obudzić w sobie pragnienie Boga, o które się modliłaś. On jest taki dobry.

Whit, Bóg dał mi tyle radości, obdarowując mnie Tobą. Wierzę, że byłaś moim aniołem stróżem, zesłanym, by podtrzymać mnie w najgorszym okresie mojego życia. Wiem, że nadal będziesz przy mnie, za co Ci dziękuję.

No dobra, Whit... Nie będę kłamać... Brakuje mi Ciebie, jak nie wiem co. Ale ciężko będzie dopiero, kiedy ludzie sobie pójdą, kiedy będziemy siedzieć przy stole, jechać na wakacje, kończyć studia, kiedy Car i ja się pobierzemy i będziemy mieć dzieci. Żebyś wiedziała - za jeden ostatni uścisk mogłabym na zawsze zrezygnować z sałatki z preclami. Czasem zastanawiam się, jak sobie poradzę bez Ciebie. Ale wtedy wszystko staje się jasne..

Bóg da mi spokój. Da mi siłę, a kiedy dopadnie mnie słabość, pomoże mi wstać i mnie poniesie. Dziękuję, Whit, że mnie tego nauczyłaś. Kocham Cię całym sercem i wiem, że zawsze jesteś przy mnie. Kocham Cię. Tymi słowami nie mówię „żegnaj”, ale „do zobaczenia”.

Kochająca na wieki,  
dziewczyna z parteru  
znana także jako Twoja siostra

*List do Whitney napisany przez Sandrę w sobotę,  
29 kwietnia 2006 roku Odczytała go kolejnego dnia na  
pogrzebie.*

Zaraz po przebudzeniu Colleen zaczęła płakać. - Wiedziałam już w dniu, gdy ją zawieźliśmy do Upland, że te urodziny będą inne, ale... nie tak. Newell przyciągnął ją do siebie.

- Wiem.

Nie powiedział nic więcej. Myślami powrócił do poprzednich, osiemnastych urodzin Whitney. Wyobraził ją sobie, jak wbiega do kuchni z szerokim uśmiechem, bo zrobił dla niej jej ulubione śniadanie, czyli jajecznicę z serem i kiełbasą.

- Czas, w jakim to się stało... - wydukała Colleen - jest taki...

- Zły - dokończył Newell.

- Tak - rozplakała się. - Jak my przeżyjemy ten dzisiejszy dzień?

- Nie wiem, Colleen. Sam nie wiem - głośno przełknął ślinę. - Whitney uwielbiała urodziny.

- Nawet bardziej przyjaciół niż swoje. Zawsze wybiegała z domu jak wystrzelona z procy, gdy ktoś miał urodziny.

Oboje wyobrazili sobie Whitney wybiegającą z domu w kierunku samochodu, z kluczykami w jednej ręce i torebką z prezentem w drugiej. Żadne z nich nie miało siły się podnieść.

- Nigdy bym nie pomyślał, że można tak cierpieć.

- Gotowi? - spytała Carly, kiedy Newell i Colleen byli już na dole.

- Bardziej niż myślisz - zapewniła Colleen.

I choć wydawało się, że miała do zrobienia jeszcze więcej niż poprzedniego dnia, nie mogła się doczekać oderwania od świata i powierzenia myśli Bogu.

- Dzisiaj naprawdę tego potrzebuję - powiedziała, siadając. Newell przycupnął na kanapie obok żony.

- Jedyne, co mi się nie podoba w tej porannej modlitwie, to to, że nie ja na nią wpadłem - powiedział. - Chyba nie macie mi tego za złe?

- Nie byłabym taka pewna, tato - zażartowała Carly.

Podobnie jak dzień wcześniej, Carly włożyła do odtwarzacza płytę CD i rozpoczęła rodzinną modlitwę przy muzyce. Śpiewali wszyscy i wkrótce poczuli, jak obecność Pana wypełnia pokój. Następnie czytali na głos fragmenty Biblii, głównie z Księgi Psalmów, i modlili się. Ta modlitwa powstawała jakby sama, spontanicznie. Przeskakiwali z jednego tematu na inny. Wszyscy czworo - Newell, Colleen, Carly i Sandra

- wiedzieli, że potrzebne im siła i pokój mogą przyjść wyłącznie od Boga. Inaczej nie przetrwaliby tego dnia. Ani następnych.

I znowu, z chwilą gdy tuż po modlitwie zdjęli z drzwi kartkę, dom ożył. Przyszła grupa przyjaciółek Whitney, aby zakończyć projekty rozpoczęte poprzedniego dnia. Kilka z nich zebrało fotografie przedstawiające Whitney samą oraz w ich towarzystwie i umieściło je na okazałych gazetkach, które miały zostać wystawione w domu pogrzebowym na czas uroczystości. Wszystko dopinała na ostatni guzik Sandra, która osobiście dopracowywała każdą gazetkę.

Do miasteczka z całego kraju zjechała też dalsza rodzina Colleen i Newella. Przyjaciele ze społeczności kościelnej zaproponowali, że przenocują ich wszystkich. W ten sposób krewni Ceraków opanowali całe Gaylord. Wielu z nich, zamiast udać się od razu do domu pogrzebowego, wstąpiło najpierw do domu Colleen i Newella.

O 12.30 Newell i Colleen byli już w drodze do domu pogrzebowego. Oboje zdawali sobie sprawę, że to będzie dla nich długi dzień, ale byli gotowi go rozpocząć. Po dłuższej chwili dołączyły do nich Carly i Sandra.

- Mamo! - zawołała Carly. - Czy kiedykolwiek w życiu widziałaś tyle kwiatów?

- Cały czas przychodzą nowe, no nie? - odparła Colleen. Dom pogrzebowy składał się z trzech pomieszczeń,

przeznaczonych zarówno na wystawienia ciał, jak i na same pogrzeby. Wszystkie były wypełnione po brzegi kwiatami dla Whitney. Wzdłuż jednej ze ścian stał rząd sztalug, na których wisiały gazetki wykonane przez przyjaciółki Whitney.



„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!”

Na środku głównego pomieszczenia, przy ścianie naprzeciw drzwi wejściowych, ustawiono trumnę. Na niej leżała duża wiązanka kwiatów, obok stała mównica ze zdjęciem Whitney. Cerakowie wspólnie podeszli do trumny. Newell położył na niej dłoń.

- Nie mogę uwierzyć, że ona jest w środku - wyznał.

- Ale tato, to tylko jej ciało - poprawiła go Carly. - Whitney jest teraz przed obliczem Boga i bawi się na najlepszym przyjęciu urodzinowym, jakie można sobie wyobrazić.

- Wiem, Carly. Wiem. Gdyby tak nie było, dzisiejszy dzień byłby nie do zniesienia.

Choć wystawienie trumny miało się rozpocząć dopiero o 14.00, grupa przyjaciół Whitney, a wśród nich jej chłopak, Mart, zebrała się wokół trumny znacznie wcześniej. Matt i inny przyjaciel Whitney, Kyle, czytali wiersze, które specjalnie dla niej napisali. Wszyscy płakali. Carly obserwowała tę scenę z drugiego końca pomieszczenia i pomyślała: „Aż do dziś nie wiedziałam, ile osób kocha moją małą siostrzyczkę”.

O drugiej Newell, Colleen i Carly stanęli przy trumnie, a reszta ustawiła się w kolejce, by składać kondolencje. Osoby kochające Whitney jedna po drugiej podchodziły do Ceraków, obejmowały ich i przekazywały najszczerze wyrazy współczucia. Od czasu do czasu, z rogu pokoju, w którym ludzie oglądali filmy z Whitney, dobiegał śmiech. Rodzina zdecydowała się nie tylko pokazać filmiki z poprzednich urodzin, ale też szaleństwa nagrywane przez Whitney i jej przyjaciółki podczas całonocnych imprez piżamowych. W pewnym momencie

śmiech był na tyle głośny, że Newell zwrócił się w kierunku, z którego dochodził dźwięk:

- Na tych filmach widzicie Whitney w roli Whitney. Cieszę się, że przynieśliśmy te taśmy. Nawet teraz wnosi nam tu dużo życia, tak jak to zwykle robiła.

Śmiech wprowadził do domu pogrzebowego właśnie taką atmosferę, jakiej życzyli sobie Cerakowie na to sobotnie popołudnie. Pewna kobieta, składając Colleen kondolencje, powiedziała:

- Nie wiem, jak może być pani tak silna w tak trudnych chwilach.

- To wszystko od Boga. Proszę mi uwierzyć, sama nigdy bym nie dała rady.

Kobieta przytuliła Colleen i rzekła:

- Niech Bóg was błogosławi.

Wiele osób, które podchodziły do Ceraków, opowiadało im różne historie, w których pojawiała się Whitney. Newell i Colleen bez przerwy powtarzali coś w rodzaju: „Dziękujemy, że nam to mówisz. Nigdy wcześniej o tym nie słyszeliśmy”. Opowieści z Whitney w roli głównej dodały Cerakom jeszcze większej pewności siebie. Z kondolencji czerpali siłę. Próbowali też odwdzięczać się w podobny sposób. Gdy ktoś się przedstawiał, nazwisko często wywoływało u nich wspomnienia, którymi nie omieszkali się podzielić.

Cerakowie woleli czerpać radość z opowieści świadczących o tym, jaki wpływ Whitney miała na ludzi przez to, jak żyła, niż zastanawiać się nad tym, co bezpowrotnie stracili wraz jej odejściem. Na to mieli jeszcze mieć mnóstwo czasu

po zakończeniu ceremonii i przy próbie powrotu do normalnego życia.

Mniej więcej o godzinie piątej do Newella i Colleen podszedł Jim Mathis i odciągnął ich na bok.

- Muszę z wami porozmawiać - zaczął.

- Czy to nie może poczekać? - zdziwiła się Colleen. - Kolejka ciągnie się na zewnątrz i zawija za rogiem. Wygląda jak ogonek do kolejki górskiej w Disneylandzie. Niektórzy czekają już ponad godzinę.

- No właśnie. Jest tu tylu ludzi, że wszystko potrwa jeszcze bardzo, bardzo długo. Musicie zrobić sobie przerwę. Pozwólcie Carly i Sandrze zająć się trochę gośćmi. Chodźcie ze mną do holu. Napijcie się, zjedzcie coś.

- Nic nam nie jest, Jim - zapewnił go Newell. - Jeśli się zmęczymy, zrobimy przerwę.

- Ja tam swoje wiem. Będziecie tu stać tak długo, jak długo będą przychodzić ludzie. Zwłaszcza ty, Colleen. No, ruszajcie! Bez dyskusji.

Newell i Colleen podążyli za nim do małego pokoiku, gdzie usiedli. Chociaż oboje otworzyli po butelce wody, żadne z nich nie zmoczyło nawet ust ani nie tknęło jedzenia leżącego na stole. Nie potrafili się też rozluźnić. Noga Colleen nie przestawała drgać, a Newell non stop spoglądał na zegarek. Nie minęło nawet pięć minut, gdy Newell spojrzał na żonę i zapytał:

- Możemy już wracać?

- Chodźmy - zgodziła się Colleen.

Wrócili i zajęli to samo miejsce przy trumnie Whitney. Ostatni goście wyszli po dziewiątej, mimo że wystawienie miało trwać tylko do ósmej. Dopiero wtedy Cerakowie coś zjedli. Co dziwne, nie czuli zmęczenia. Newell zauważył:

- To wszystko jest takie nierzeczywiste. Czuję się, jakbym był poza swoim ciałem i oglądał, jak ktoś inny przez to wszystko przechodzi.

Colleen czuła to samo. Po powrocie do domu zastali w nim mnóstwo przyjaciół Whitney i Carly ze szkoły średniej i studiów. Obie grupy się nie znały, ale dla Carly to była świetna okazja, by to zmienić. Tak jak to miało miejsce poprzedniej nocy, Newell i Colleen poszli spać, a do snu ukołysały ich dźwięki pieśni pochwalnych na cześć Pana dobiegające z parteru.

Śmierć to najstraszniejszy sposób, w jaki Szatan atakuje świat. To niewiarygodne, ale Bóg używa jego broni i obraca ją przeciwko niemu. W ten sposób my się jednoczymy, a Bóg się nam objawia. Przez największą z szatańskich mocy przebija się moc Boga i zwycięża.

Kelly i Carly

*Wpis w dzienniku Carly, 11 maja 2006 roku*

## **Za rogiem**

*Czwartek, 4 maja 2006 roku*

Oto najświeższe informacje o stanie zdrowia Laury. Lekarze stwierdzili, że jej ciało może zacząć powoli przejmować na siebie funkcję oddychania, więc planują pomału rezygnować z respiratora. Wcześniej aplikowali 12 oddechów na minutę, teraz zmniejszyli tę liczbę do sześciu. Przyjęła to tak dobrze, że postanowili zejść tylko do dwóch. Oznacza to, że pozostałe cykle wykonuje organizm i jej oddech stał się już regularny.

Wczoraj podłączyli jej do żołądka rurkę dostarczającą pokarm, co zniosła nadzwyczaj dobrze! Dzisiaj byli u niej fizjoterapeuci i zdiagnozowali jej stan. Przeprowadzili przede wszystkim test zdolności i ograniczeń. Posadzili ją w specjalnym fotelu w pozycji półleżącej. Plan zakładał, żeby w takiej pozycji przeleżała dziś około dwóch godzin. Mimo że Laura nadal jest w śpiączce, chcą zacząć rehabilitację jak najszybciej. Jednak dzisiaj Laura nie reagowała na polecenia, co przypomniało nam o słowach lekarzy: „To będzie maraton, a nie sprint” Cały czas mamy nadzieję, że jednak to minimaraton, może bieg na pięć kilometrów. Potrzebujemy

Waszej modlitwy o Boską interwencję i rychłe wyjście Laury ze śpiączki.

Wczoraj, po prześwietleniu mózgu i analizie wyników, neurologi byli dobrej myśli. Nie stwierdzili krwawienia z mózgu, a stan Laury był na tyle zadowalający, że usunęli z jej czaszki miernik ciśnienia. Rodzina bardzo sobie chwali dotychczasową opiekę lekarską, za którą osobiście odpowiada jedna z lekarek. Jest ona bardzo blisko Laury oraz całej rodziny Van Rynów.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn  
tydzień po wypadku*

Susie wpadła do pokoju Laury zdyszana. „Tak być nie może! Co oni jej zrobili?”. Laura nie leżała w łóżku, jak przez te wszystkie dni, odkąd przywieziono ją do szpitala. Pielęgniarka posadziła ją w specjalnym fotelu. Jej ciało nadal podłączone było wszystkimi przewodami do przeróżnych aparatów, z tchawicy sterczała rurka respiratora, do ręki dochodziła kroplówka, ale - Laura siedziała. Nadal była nieprzytomna, oczy miała zamknięte, ale siedziała. Susie wpadła w panikę. Chciała nakrzyczeć na pielęgniarkę: „Nie! Zrobi jej pani krzywdę. Musi spokojnie leżeć, jeśli ma wyzdrowieć. Co pani sobie wyobrażała, sadzając ją w tym fotelu? To jej nie pomaga. Jak może być pani tak okrutna?”.

Pielęgniarka wyczytała myśli Susie z jej spojrzenia, dlatego zaczęła ją uspokajać:

- Organizm zdrowieje szybciej, gdy pacjent się podnosi i zaczyna się poruszać. Nawet jeśli Laura jest nieprzytomna,

to w ten sposób pomożemy jej. Owszem, potrzebuje spokoju, ale do pełnego wyzdrowienia musi dostać o wiele więcej.

- Ale... - zająknęła się Susie - ona jest zbyt... - nie była pewna, czy dokończyła to zdanie tylko w myślach: „... jest zbyt delikatna”.

- Ciało ludzkie potrafi zadziwiać. I jest bardzo odporne - zapewniła pielęgniarka. - Wiem, że ciężko pani na to patrzeć. Myślę, że nie chciałaby pani widzieć, jak będziemy ją kłaść z powrotem do łóżka.

Miała rację. Susie chciała znać wszystkie szczegóły terapii swej córki, ale niekoniecznie oglądać wszystko z bliska.

Parę minut po jej wyjściu do poczekalni weszła Lisa i zapytała:

-Jak się dziś czuje Laura?

- Nie uwierzysz. Posadzili ją w fotelu - zrelacjonowała Susie.

- Co takiego? - zdziwiła się Lisa i ruszyła prosto do sali Laury, aby porozmawiać z pielęgniarką. Nie chciała oczywiście skarżyć się na złe traktowanie siostry, chciała tylko poznać szczegóły takiej decyzji personelu. Kilka dni później, gdy rozpoczęła się fizjoterapia i terapia ogólnorozwojowa Laury, Lisa nie odstępowała siostry ani na krok. Pragnęła wiedzieć i rozumieć wszystko, co się działo z Laurą.

Gdy Lisa i Susie weszły do Laury po tym, jak pielęgniarka położyła ją z powrotem w łóżku, obie zauważyły wyraźną różnicę. Działanie leków uspokajających podanych podczas operacji - tak silne przez cały wtorek i większą część środy

- wyraźnie zelżało. Mimo śpiączki Laura stawiała się coraz aktywniejsza.

- Nie może zapanować nad prawą nogą - stwierdziła z uśmiechem Lisa. - Cała Laura, zawsze ją nosiło. Nigdy nie potrafiła trzymać tej nogi spokojnie, nawet gdy siedziała czy leżała.

Dziewczyna nieustannym wierceniem się rozkopała szpitalny szlafrok i prawie się z niego rozebrała.

- Myślę, że ma już dosyć leżenia. Zachowuje się tak, jakby chciała wstać. Mam nadzieję, że nie będzie tego pamiętać, bo pewnie by się wstydziła - powiedziała Susie, poprawiając szlafrok. Ona i Lisa cieszyły się, że nie było wtedy z nimi żadnego mężczyzny. Gdy Laura po sekundzie znowu zrzuciła z siebie kołdrę, Lisa wyciągnęła rękę, chcąc ją poprawić. Wtedy zauważyła coś dziwnego.

- Co to jest? Tu, na brzuchu. Nigdy wcześniej tego nie widziałam.

Susie nie rozumiała, o co chodzi Lisie, aż do chwili, gdy ta wskazała jej palcem ślad tuż nad pępkiem.

- Tutaj. Wygląda, jakby miała przekłuty pępek.

- Nie sądzę.

- Ale popatrz. Mówię ci, że to nie ślad po wypadku. To jest piercing. Musiała kiedyś przekłuć sobie pępek. Ciekawa jestem kiedy.

-Jesteś pewna? - nie dowierzała Susie. Przyjrzała się pokazywanemu miejscu dokładniej, a Lisę przeszedł niemiły dreszcz. „Zrobić coś takiego i nie powiedzieć nikomu? To nie w jej stylu”.



- Może poszukamy jeszcze tatuaży? - zażartowała Lisa. - Dziewczyna kończy dwadzieścia jeden lat i myśli, że jej wszystko wolno.

Susie nie spodobał się ten komentarz. Nagle rozmowę przerwało charczenie Laury wydobywające się z rurki w tchawicy. Brzmiało to tak, jakby się dusiła.

- Siostro! Siostro! - zawołała Susie.

Przybiegła do nich Bri, jedna z pielęgniarek na OIOM-ie, i zapytała:

- Co się dzieje, pani Van Ryn?

- Słyszysz pani? Zakrztusi się na śmierć! -Już sprawdzam.

Wszyscy lekarze w Parkview, w razie potrzeby, byli gotowi rzucić wszystko i zająć się Laurą, ale dwudziestopięcioletnia Bri była wyjątkowa. Zajmowała się Laurą tak, jakby była jej rodzoną siostrą. Pewnego dnia sprawiła nawet Van Rynom niespodziankę, zaplatając jej dwa warkocze, które cała rodzina tak u Laury lubiła.

- Wszystko w porządku - zapewniła Bri, odciągając nadmiar płynu z rurki. - To normalne przy respiratorze. Jeśli chcecie, pokażę wam, jak się odciąga płyn.

Susie przełknęła głośno ślinę:

- Nie, dziękuję.

Natomiast Lisa ochoczo przystała na propozycję pielęgniarki, a później pokazała swoim braciom, jak to się robi.

Od tego czasu, gdy tylko którekolwiek z dzieci lub pielęgniarka dotknęło rurek respiratora, Susie opuszczała pomieszczenie. Dźwięk bulgoczącej śliny Laury napełniał ją strachem,

że jej córka zakrztusi się i umrze. Wychodziła z sali także wtedy, gdy pielęgniarka dawała zastrzyk lub aplikowała dożylnie pokarm. Susie czuła na sobie każde ukłucie córki. Nie mogła pogodzić się z bólem, jaki musiała znosić jej mała dziewczynka.

Mimo problemów z zaakceptowaniem medycznych procedur, Susie próbowała przekonywać siebie, że to wszystko dzieje się dla dobra Laury. Tym bardziej że liczbę oddechów, jakie za Laurę wykonywał respirator, zmniejszono z dwunastu do sześciu, a potem do dwóch. To, że w dużej mierze mogła już oddychać samodzielnie, napawało optymizmem, a kolejne dni miały przynieść dużo więcej pozytywnych oznak.

Najnowsza tomografia nie wykazała krwawienia, więc lekarze usunęli „cierń”. Wydawało się też, że Laura coraz bardziej chce się przebudzić. Coraz częściej próbowała otwierać oczy, zwłaszcza po usłyszeniu znajomych głosów. Organizm tolerował karmienie przez rurkę, dzięki czemu na jej twarz wróciły kolory, a z oddychaniem było coraz lepiej. Postępy w leczeniu pozwoliły również terapeutom rozpocząć z dziewczyną terapię zajęciową - w przypadku Laury polegała ona na częstszym sadzaniu jej w fotelu i stymulacji mięśni. Co najważniejsze, nie było żadnych oznak zapalenia płuc, a to w przypadku osób oddychających z pomocą respiratora przez tak długi czas należy do rzadkości.

Gdyby nie ogolone miejsce na głowie Laury - pozostałość po mierniku ciśnienia - jej twarz wyglądałaby już prawie zwyczajnie. Według matki wyglądała przepięknie. Susie uwielbiała przesiadywać u boku córki i patrzeć, jak śpi. Nie przejmowała się tym, że Laura nie potrafi nic powiedzieć ani choćby pokazać w jakiś sposób, że zdaje sobie sprawę z czyjejs

obecności. Wystarczyło, że żyła. Susie głęboko wierzyła, że śpiączka była darem od Boga, sposobem na bezbolesne uleczenie cierpiącego ciała córki.

- Chcę myśleć, że Bóg pozwala ci spać, abyś stawała się silniejsza bez uczucia bólu - wyszeptała jej do ucha, trzymając ją za rękę. - Otwierasz lekko oczy, więc wierzymy, że podążasz wzrokiem za naszymi głosami. O, Lauro! Czy mnie słyszysz? Nie denerwuj się. Bóg wkrótce cię obudzi. Trwamy pod jego opieką - poklepała ją po ramieniu. - Bóg dał mi dziś taki werset. To z Księgi Psalmów: „Niech Pan udzieli mocy swojemu ludowi, niech Pan błogosławi swój lud, darząc go pokojem” (Ps 29,11). Modlę się, by Bóg uwolnił cię od cierpienia i wkrótce nam cię przywrócił.

Do drzwi zapukał Aryn.

- Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli wejdem? - zapytał.

- Skądże.

Zarówno Susie, jak i Don wiedzieli, ile trudności sprawiało Arynowi przebywanie w zatłoczonej poczekalni. Starał się wykorzystywać każdą sposobność, by być przy Laurze, ale też musiał zrozumieć, że nie jest jeszcze oficjalnie członkiem rodziny.

- Właśnie miałam wychodzić, więc przyszedłeś w samą porę. Zostań, jak długo chcesz - pożegnała go Susie.

Aryn usiadł u boku Laury i wziął ją za rękę.

- Chciałbym mieć pewność, że mnie słyszysz i wiesz, że jestem przy tobie - do jego oczu napłynęły łzy. - Skarbie, tak bardzo za tobą tęsknię. Ciągle proszę Boga, aby otworzył ci oczy i przywrócił cię do życia. Mam ci tyle do powiedzenia

- tu przerwał i przyjrzał się jej dokładnie. Przez głowę przeleciały mu wspomnienia ostatnich spędzonych wspólnie trzech lat. Nie chciał tak myśleć, ale zastanawiał się, czy będzie im dane to kontynuować.

Trudno mu było też odrzucić gdybanie, zwłaszcza po tym jak Sara, najlepsza przyjaciółka Laury, opowiedziała mu, że niewiele brakowało, by Laura w ogóle nie znalazła się w vanie, który się rozbił. Sara przyjechała na bankiet do Fort Wayne własnym samochodem, a jej pasażerami byli Laura, Brad i Whitney. Sara była dobrą przyjaciółką Carly, siostry Whitney, dlatego zaprosiła Whitney, by pojechała z nimi. Przez całą drogę podróż umiłał im Brad, opowiadając dowcip za dowcipem. Gdy bankiet się skończył, Sara nie wróciła do szkoły tak jak reszta, ale pojechała do domu, do Michigan. Musiała zająć się organizacją ślubu, który zgodnie z jej planem miał się odbyć zaraz po ukończeniu szkoły. Laura poważnie się zastanawiała, czy nie wykorzystać sytuacji i nie pojechać z nią, żeby złożyć Arynowi niespodziewaną wizytę. Jednak, nie wiedząc czemu, zdecydowała się zostać w szkole. Prawdopodobnie czuła niepokój związany z końcem roku i niedokończonymi projektami na uniwersytecie. Poprzedni weekend Aryn spędził w Upland w odwiedzinach u Laury. To mu nasunęło pewną myśl: „Co by było, gdybym nie pojechał? Gdybym jej wtedy nie odwiedził, może chciałyby mnie zaskoczyć i nie pojechałyby tamtym vanem?”.

Odsunął od siebie te myśli. r - Czas, który spędziliśmy razem w poprzedni weekend, był wspaniały - wyszeptał do Laury. - Powiedzieliśmy sobie

wszystko. Nie jest dla mnie ważne, że to może się teraz jeszcze długo nie powtórzyć. Tak dobrze się bawiliśmy. Mam tyle wspomnień, że wystarczą mi, by przeżyć ten trudny okres.

Spojrzał na jej palce u prawej stopy i przypomniał sobie, jak w niedzielę, przed wypadkiem, malowała sobie przy nim paznokcie. Uśmiechnął się. „Lakier do dziś jest taki sam. Nie malowała paznokci między niedzielą a dniem wypadku” -pomyślał. Ta myśl połączyła go z nią jeszcze bardziej, jeśli w ogóle „bardziej” było możliwe. Wziął do ręki jej dłoń i poprosił, by jeśli go słyszy, ścisnęła jego palec. Zrobiła to. Aryn nie potrafił ukryć radości.

*Poniedziałek, 8 maja 2006 roku* Zeszłej nocy nasza rodzina uczestniczyła we mszy świętej w intencji pięciu ofiar wypadku. Msza odbyła się na kampusie Uniwersytetu Taylora. Świadectwo cierpiących rodzin dało nam siłę i pokazało, w jaki sposób tą sytuacją Bóg ujawnił swoje działanie w życiu tak wielu osób. Pragniemy dziś prosić Was o dalsze wspieranie modlitwą rodzin Whitney Cerak, Laurel Erb, Moniki Felver, Brada Larsona oraz Betsy Smith. Cieszcie się także, że te dzieci Boże nie umarły, lecz są dziś żywe w obecności naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa! Laura cały czas daje nam napawające optymizmem znaki. Oddycha już w stu procentach samodzielnie. Usunięto respirator, a tempo jej naturalnego własnego oddechu pielęgniarka określiła jako „normalne”. Dziś rano znów posadzili ją w fotelu i jak dotąd zachowuje się bardzo spokojnie.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn ,*

Na plan upływających w Parkview dni Van Rynów składały się teraz krótkie noce w Domu Samarytanina i długie dni w poczekalni OIOM-u. Jediną porą, kiedy Don i Susie mogli przebywać sami z Laurą, był wczesny ranek. Najczęściej personel pozwalał im na odwiedziny między 8.15 a 8.30. Aryn przyjeżdżał mniej więcej w tych godzinach, a Lisa, Mark i Kenny zjawiali się w szpitalu trochę później. Po krótkich odwiedzinach wracali do poczekalni, gdzie dla zabicia czasu czytali, grali w karty, rozwiązywali krzyżówki i zajmowali się przybywającymi każdego dnia gośćmi. Niemal codziennie ludzie przywozili rodzinie jedzenie. Dwa lub trzy razy w czasie pobytu Van Rynów w Parkview miejscowy pub obdarował ich pączkami i mlekiem. W ciągu dnia przybywało jedzenia: im było później, tym było go więcej. Rodzina zebrała sporą ilość papierowych talerzy i plastikowych łyżek, widelców i noży, a ich zapasy wypełniały całą poczekalnię.

Pewnego dnia Don wrócił do poczekalni po dłuższej wizycie u Laury, rozejrzał się po pomieszczeniu i powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnego:

- Chyba jest weekend.

- Co ty nie powiesz, DV. Jak na to wpadłeś? - roześmiała się Lisa.

- Na kampusie Uniwersytetu Taylora są jeszcze jacyś studenci? Bo wydaje mi się, że wszyscy są dziś tutaj. Znasz procedury. Chyba za jakąś godzinę będziemy musieli ustawić ich w kolejce i wprowadzać grupkami.

- Gdzie Suz i Aryn? - spytała Lisa. - Nadal przy Laurze?

- Nie, mama u niej siedzi. Aryn poszedł na spacer. Chyba nie za bardzo mu się uśmiechają te tłumy.

- Przynajmniej próbuje... - Lisa przerwała, gdyż właśnie wszedł brat Dona, Dave, ze swoją żoną, Ruthann.

- Jak się dziś miewa? - spytał Dave.

- Świetnie, ale jeszcze wiele przed nią. Jeśli chcesz, mogę was teraz do niej wprowadzić - zaproponował Don.

- Nie, nie. Poczekamy na oficjalne godziny odwiedzin.

- No co ty. Wprowadzę was. Rodzina może ją odwiedzać, kiedy chce.

Don poprowadził brata i bratową do pokoju Laury. Susie wstała i uściskała Ruthann.

- Wygląda teraz znacznie lepiej, niż kiedy ją przywieźli. Lekarze zastanawiają się nad przeniesieniem jej z OIOM-u do normalnej sali.

- Świetnie. Naprawdę świetnie. Modliliśmy się za nią i poprosiliśmy o to samo wszystkich znajomych - oznajmił Dave.

Ruthann nie mówiła zbyt wiele. Po opuszczeniu pokoju znowu podeszła do Susie i ponownie ją uściskała. W poczekalni dołączyła do nich Lisa i przywitała ich słowami:

- Może trudno wam w to uwierzyć, ale teraz wygląda naprawdę nieźle. Gdybyście ją widzieli zaraz po tym, jak ją tu przywieźli...

Twarz Ruthann wykrzywiła się w grymasie, jakby polizała cytrynę.

- Nieważne, co mówią wszyscy, jak dla mnie to ona nie przypomina Laury.

Lisa cicho się roześmiała:

- Gdybyś przeszła to, co ona, też byś nie przypominała samej siebie.

*Wtorek, 9 maja 2006 roku* Mamy dziś w Fort Wayne kolejny piękny dzień. Mamy też dla Was pokrzepiające wieści na temat Laury. Ostatnio sporo się przeciągała i wierciła. Lekarz podniósł jej powieki i wydawało się, że próbowała trochę bardziej skupić wzrok. Zaprezentowała nam dziś rano swoje „firmowe” wierzganie nogą w pełnej krasie, na zawołanie pstrykała też palcami!

Te wszystkie znaki napawają optymizmem, chociaż zdajemy sobie sprawę, że przed nami jeszcze długa droga. Módlcie się o spokój ducha i ukojenie dla Laury, które będą jej potrzebne po wybudzeniu, gdy zacznie rozumieć, gdzie przebywa i co się z nią dzieje. Dziś po południu będą przeprowadzać rezonans magnetyczny głowy i kręgosłupa, aby upewnić się, że można już usunąć z jej szyi kołnierz (który do tej pory zostawiono na wszelki wypadek). Zamierzają też przewieźć ją dzisiaj na szóste piętro, gdzie będzie miała teraz swój pokój i gdzie będziemy mogli spędzać przy niej znacznie więcej czasu, co bardzo nam się podoba.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

9 maja 2006 roku Laura została przewieziona z OIOM-u do dwuosobowego pokoju na szóstym piętrze na oddziale neurologii, ale z nikim go nie dzieliła. Pielęgniarka zasugerowała, że ktoś powinien zostać przy niej na pierwszą noc lub dwie.



- Z tym że nie może być was więcej niż dwie osoby naraz - ostrzegła. - W miarę wybudzania Laura coraz bardziej będzie zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Jej zmysły będą więc przeczulone. Musimy uważać, by nie miała zbyt dużo bodźców. Wiąże się to również z liczbą odwiedzających. Do czasu obudzenia musimy ograniczyć to grono osób do najbliższej rodziny.

- Proszę się nie martwić. Rozumiemy - zapewnił Don. Gdy tylko pielęgniarka wyszła, zwrócił się do dzieci:

- Dobra. Pierwszą zmianę weźmiemy ja i mama. Kto chce być następny?

Po niedługim czasie w holu szóstego piętra pojawiła się jakaś kobieta i przedstawiła się:

- Nazywam się Joelle. Będę jedną z terapeutek Laury. Wiem, że jeszcze się nie obudziła, ale to nie szkodzi. Będę pracować nie tylko nad jej mięśniami, lecz również postaram się, by neurony w jej mózgu zaczęły się na nowo łączyć. W ten sposób mózg sam się leczy po tego rodzaju urazach.

- Czego możemy oczekiwać na tym etapie? - dopytywała Susie.

- Może się pani zdziwić - Joelle wraz z Donem, Susie i Lisą weszła do pokoju Laury. - Zaczniemy od rzeczy bardzo prostych - ciągnęła - takich jak mycie zębów. Wiem, że nie potrafi tak jak my stanąć nad umywalką, nałożyć pasty na szczoteczkę i myć zębów. Ale to jeden z podstawowych ruchów, z którymi chcemy ją ponownie zaznajomić. - Tu zwróciła się do Laury: - Skarbie, może chciałabyś umyć dziś ząbki? - wsunęła pacjentce szczoteczkę do ręki.

Laura nie zareagowała. Jednak zaczęła ściągać wargi i poruszać wzdłuż nich językiem, jakby coś jej przeszkadzało.

- Myślę, że chce swoją pomadkę do ust - wymyśliła Lisa. - Zawsze miała ją pod ręką.

-Jeśli masz, to jak najbardziej możesz jej dać - zachęciła ją Joelle.

Lisa umieściła pomadkę w palcach siostry. Bez otwierania oczu Laura potarła nią o dłonie, obróciła ją właściwą stroną, otworzyła usta i posmarowała wargi. Lisa i Susie popatrzyły na siebie, szeroko się uśmiechając.

- To cała Laura! - zawołała Susie. - Nie znosi, gdy wysychają jej usta. Kiedyś żartowałam z niej, że potrafi nakładać szminkę przez sen. Wygląda na to, że miałam rację.

## **Hold dla życia**

Jestem przekonana, że możliwość patrzenia na jej [Whitney] prawdziwą miłość i pragnienie poznania Boga były dla mnie błogosławieństwem. Ona była w Nim zakochana. Tak, Bóg odpowiedział na moje najskrytsze modlitwy. Nie jest mi żal Whitney. Przeżyła całe życie w ciągu zaledwie dziewiętnastu lat. Niesamowite.

Bóg pobłogosławił mi bardziej, niż mogłam sobie wymarzyć. Dał mi najlepszą przyjaciółkę, o jaką mogłabym poprosić, z którą przeżyłam najlepsze dziewiętnaście lat swojego życia. A przez jej śmierć poczułam prawdziwie miłość i potęgę Chrystusa, który w obliczu mojej słabości podtrzymuje mnie i całą moją rodzinę. Nie mówię tego tylko po to, by poczuć się lepiej i poradzić sobie ze stratą. Poznałam Boga żywego i, zgodnie ze słowami, które Whitney podkreśliła w swojej Biblii, dusza moja spocznie jedynie w Bogu i dla Niego zgaśnie. Dzięki swej niewiarygodnej miłości On jest moją nadzieją. Pewnego dnia i ja będę przy Nim - obok siostry.

*Przemówienie Carly na pogrzebie Whitney ;*

Cerakowie obudzili się w niedzielny poranek ze świadomością, że nadszedł już czas. Wszystkie ich działania z kilku poprzednich dni miały zakończyć się pogrzebem Whitney. Zorganizowali mszę z udziałem pastora, a lider ich społeczności kościelnej, Joshua, miał intonować ulubione pieśni Whitney. Zamiast kościelnej orkiestry, poprosili o akompaniament chłopaka Carly, Bena, który grał na pianinie, a główny głos w chórze przypadł przyjaciółce Whitney, Alyshi. Newell, Carly oraz Sandra planowali wygłosić mowy, a oprócz nich także Mark Vaporis i chłopak Whitney, Matt. Pastor Jim Mathis miał rozpocząć ceremonię przemówieniem. Ponieważ rodzina zdecydowała, że pogrzeb odbędzie się w kościele, wszystkie kwiaty, plakaty i cała reszta rzeczy wypełniających dom pogrzebowy miała być przetransportowana do kościoła między ostatnią mszą a rozpoczęciem obrzędu.

Teraz pozostawało jedynie czekanie. Ostatni krewni dojechali w sobotę, a znajomi zaproponowali, że w niedzielę rano zaprowadzą ich do kościoła. Dzięki temu Cerakowie mogli spędzić trochę czasu w samotności. Potrzebowali tego, po dwóch dniach przeżytych w atmosferze zgiełku, zamieszania i niekończących się wizyt. Spokój nie trwał jednak długo. Przyjechali kolejni znajomi spoza miasta, co skróciło nieco rodzinną modlitwę.

Zaraz po zakończeniu modlitwy Carly wróciła na górę i zabrała się do spisywania tego, co chciałyby powiedzieć na pogrzebie siostry. Usiadła na łóżku, po czym wyciągnęła notes i pióro. Musiała przetłumaczyć sobie, że to się działo naprawdę. Za każdym razem, gdy podnosiła wzrok znad

kartki, spodziewała się ujrzeć wbiegającą do pokoju siostrę z jej uśmiechem i dołeczkami w policzkach.

„Whitney i ja byłyśmy w całkiem dobrych stosunkach - napisała. - Gdy byłyśmy młodsze, za bardzo się nam nie układało, przede wszystkim dlatego, że ja byłam małym łobuzem...”.

Dwie i pół strony później złożyła papier na pół i zaczęła się szykować do wyjścia.

W poszukiwaniu odpowiedniego stroju Colleen zaczęła przetrząsać szafę.

- Jakim cudem ludzie znajdują czas na zakupy przed pogrzebem? - powiedziała głośno, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Gdzie kupują te wspaniałe czarne stroje?

Newell już miał odpowiedzieć, ale zmienił zdanie. Wychodząc z pokoju, minął się z przyjaciółką Colleen.

- Nie wiem, co mam na siebie włożyć! - poskarżyła się jej Colleen. Wyciągała z szafy jedną rzecz za drugą, przymierzała i za chwilę wyciągała coś nowego. W końcu razem z przyjaciółką zdecydowały, że najlepsza będzie czarna suknia, która wisiała głęboko w szafie.

Newell wrócił na górę i sam zaczął się szykować. Zawiązywał właśnie krawat, gdy Colleen, nakładając makijaż, spytała go:

- Wszystko w porządku?

- Oprócz tego, że szykuję się na pogrzeb córki, wszystko gra - rzucił z ironicznym uśmiechem.

Zanim się spostrzegli, było już po dwunastej. Cała rodzina wsiadła do samochodu i pojechała do kościoła. Cerakowie

chcieli mieć pewność, że wszystko będzie dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, zanim w kościele zacznie się kolejne wystawienie ciała, dla tych, którzy nie zdążyli odwiedzić domu pogrzebowego poprzedniego wieczoru. Gdy kilka minut po dwunastej dotarli do kościoła, czekała już na nich długa kolejka żałobników. O 13.45 dyrektor domu pogrzebowego pozwolił Cerakom zająć miejsca. Piętnaście minut później weszli do budynku za trumną Whitney, trzymając się za ręce. Do kościoła wtoczyło się ponad 1400 osób, a ci, którzy się nie zmieścili, stanęli w przedsionku.

Cerakowie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie, a Mark Vaporis, jeden z miejscowych pastorów, zwrócił się do ludzi:

- Dziękujemy za wasze dzisiejsze przybycie. W imieniu rodziny dziękuję wam wszystkim i każdemu z osobna za miłość, której wyraz właśnie dajecie - głos Marka załamał się, kolejne słowa przychodziły mu z trudem. Newell ścisnął dłoń Colleen.

- To już - szepnął.

Zacząła się msza, a Colleen czekała na nieuniknione. Z chusteczką w ręku oczekiwała załamania, które - była tego pewna - musiało nadejść. Ale nie nadeszło. Nie nadeszło, gdy Matt wstał i zaczął opowiadać, że Whitney była jego najlepszą przyjaciółką i że nie wyobraża sobie dalszego życia bez niej. Nie nadeszło, gdy Sandra wspomniała o tym, że ona i Whitney nie przypadły sobie do gustu przy pierwszym spotkaniu:

- Gdy byłyśmy w czwartej klasie, Whitney myślała, że to ja naskarżyłam jej mamie, że podobał jej się pewien chłopak.

A to chyba najgorsze, co czwartoklasistka może zrobić rówieśniczce - wyjaśniała Sandra.

Colleen śmiała się razem ze wszystkimi. Nie załamała się.

Załamanie nie nadeszło też, gdy wstała Carly i opisała miłość, jaką Whitney obdarzała otaczających ją ludzi oraz jak łączyła się w bólu i płaczu z cierpiącymi. Colleen podziwiała wtedy obie córki. Gdy Carly wspominała, w jaki sposób Whitney wносиła blask do miejsc, w których przebywała, Colleen dostrzegła, że, opowiadając o siostrze, Carly również wniosła taki blask w mury kościoła.

Co najważniejsze, załamanie nie nadeszło nawet wtedy, gdy przemówił Newell, którego mowa trwała dłużej niż wszystkie poprzednie razem wzięte. Colleen śmiała się z resztą tłumu, gdy opowiadał, jak Whitney wybrała się pierwszego dnia do szkoły w różowej kurteczce, purpurowym kapelusiku i z takim samym plecaczkiem. Opowiadał, jak tego dnia Whit wróciła do domu z wielkim uśmiechem na twarzy i wówczas wiedział już, że będzie dobrze.

- Od razu wiedziałem, że szkoła nie sprawi jej kłopotów. Radziła sobie właściwie ze wszystkim. Tylko błysnie uśmiechem, pochyliła głowę, pośle jedno spojrzenie, wydmie usta - w taki sposób torowała sobie drogę do każdego serca.

Gdy mówił, Colleen widziała Whitney. Ten uśmiech. To spojrzenie. Czowała, jakby jej córka była znowu przy niej, i ta myśl napełniała ją radością.

Carly chłoneła każde przeżycie. „Nie mogę uwierzyć, że przyszło tylu ludzi” - pomyślała. Rozejrzała się dookoła i spostrzegła dużą grupę z Uniwersytetu Taylora, a w niej studentów,

profesorów i innych pracowników. Wcześniej na parkingu widziała autobus z napisem „Indiana Wesleyan University”. IWU znajduje się niecałe 30 kilometrów od Upland, a szkoły są zaciekle rywalami. Carly usłyszała od kogoś, że Uniwersytet Taylora wysłał wiele autobusów na pogrzeby wszystkich ofiar wypadku i, że gdy autobusów zabrakło, IWU udostępnił mu swoje.

Po mowie wstępnej Marka na ambonę wkroczył Joshua i poprowadził nabożeństwo. Po policzkach Carly popłynęły łzy, gdy śpiewała ***Jak wielki jest nasz Bóg. ..\****. „Whitney kochała tę pieśń” - przypomniało jej się. „Boże - modliła się - jesteś teraz tak blisko. Potrzebuję Twojej siły. O Boże, potrzebuję Twojej siły”. Gdy tylko muzyka ucichła, weszła na ambonę razem z Sandrą, Newellem i Mattem. Pierwszy przemówił Matt, z największym trudem wyduszając z siebie myśli, które chciał przekazać. „Wspieraj go, Panie - modliła się Carly. -Pomożesz mu przez to przejść”. Następna w kolejce była Sandra. Carly rozchmurzyła się. „Ona już naprawdę stała się moją siostrą”- pomyślała, słuchając, jak Sandra opisuje swoje relacje z Whitney oraz z resztą rodziny Ceraków.

I w końcu przyszedł czas na Carly. Wyciągnęła kartkę, na której napisała swoją mowę, i zaczęła czytać. Cały dzień lękała się, że może nie dać rady i przerwać w połowie, jednak w trakcie mówienia poczuła siłę, jakiej do tej pory nie doświadczyła. Jej usta odczytywały zapisane słowa, a Carly czuła się, jakby ktoś inny mówił za nią, a ona sama przysłuchiwała się z widowni.

\* Tekst pieśni pod tytułem *How great is our God*.



- Widziałam, jak moja siostra nauczyła się kochać Boga całym sercem - czytała. - Czuję, że możliwość patrzenia na jej prawdziwą miłość i pragnienie poznania Boga były dla mnie błogosławieństwem. Ona była w Nim zakochana. Zatem Bóg odpowiedział na moje najskrytsze modlitwy. Nie jest mi żal Whitney. Przeżyła całe życie w ciągu zaledwie dziewiętnastu lat. Niesamowite.

Skończywszy, Carly westchnęła, pomodliła się chwilę w milczeniu i wycofała się, a jej miejsce zajął ojciec.

Newell czuł, że ma obowiązek przemówić na pogrzebie córki. Po prostu musiał to zrobić. Przede wszystkim pragnął, by wszyscy zebrani mogli poznać prawdziwą Whitney oraz pasję, z jaką kochała Boga. Podobnie jak Carly i on poczuł siłę od Pana. Wprawdzie głos mu się czasami załamywał, a raz czy dwa miał nawet chwilę zwątpienia, czy da radę dotrzeć do końca, ale lęk szybko mijał.

- Tęsknię za nią, jak wy wszyscy - mówił. - Ale świadomość, że Whitney stała się służebnicą Boga, sprawia, że trochę mi z tym łatwiej... A teraz przebywa w domu swego Króla. Dziś chwali Go i wielbi. Znalazła odpowiedzi na te wszystkie trudne pytania, które ludzie zadają sobie na pogrzebach, a jedyną odpowiedzią jest Chrystus. Co takiego daje nam siłę do walki z rozpaczą w obliczu tej tragedii? Ona to wiedziała i zdecydowała się przyjąć Chrystusa. Na Nim się opierała. W Jego miłości pokładała absolutną wiarę; w miłości, która kazała Mu umrzeć na krzyżu za nią. I za nas.

- Dlatego też nie rozpaczamy tak, jak rozpacza świat - ciągnął.  
- To boli. Tęsknimy. Ale ta rozpacz nas nie pochłania.

Dlatego, że podobnie jak Whit wierzymy i ufamy słowom Boga i wiemy, że pewnego dnia znów się spotkamy. Wierzę w to głęboko. Nie jest to moja fantazja. Nie jest to moje życzenie. Wierzę w to z całego serca. Wierzę w to z całego serca..

W pewnym momencie Newell powiedział:

- Przepraszam, że tak długo mówię, ale Whitney jest moją córką, więc zamierzam zająć wam tyle czasu, ile będę chciał -zgromadzeni w odpowiedzi roześmiali się z aprobatą.

Przemówienie zakończyło się słowami: - Kocham moją córkę i wiem, że świat będzie za nią tęsknić, ale jest jedna rzecz, którą chciałbym, abyście zapamiętali z jej życia. Ona poznała, że odpowiedzią jest Jezus Chrystus. Tylko w Nim znajdziemy pocieszenie. Tylko w Nim jest nadzieja. I tylko On ma moc oczyszczania nas z grzechu. Tylko dzięki Bożej łasce jesteśmy w stanie przetrwać tę tragedię. Bóg jest prawdą i Whitney to wie. A my modlimy się, abyście i wy poznali Chrystusa, Zbawiciela Whitney, jej Króla i Pana. Na jej pełne życie złożyło się prawie dziewiętnaście lat, ale wiem, że gdyby mogła, Whit powiedziała by wam teraz, że najważniejsze wydarzenia rozegrały się w tym ostatnim roku, kiedy Chrystus prawdziwie jej się objawił. I pragnęłaby też, abyście wy również uznali Go za Zbawiciela, Króla i Pana.

Tu zakończył i zajął miejsce obok Colleen, która objęła go ramieniem. Żadne z nich nie wypowiedziało ani jednego słowa.

Następnie na ambonie stanął Jim Mathis i rozpoczął mowę. Cerakowie modlili się za niego, ponieważ wiedzieli, że ten dzień był dla niego równie trudny, jak dla nich samych. Jim znał Whitney, odkąd się urodziła. Jako najlepszy przyjaciel

Newella mógł obserwować, jak dziewczyna dorasta. Przemawiał niejako zawodowy pastor wygłaszający kazanie, ale jako przyjaciel w żałobie, chcący ponad wszystko poczuć tę samą nadzieję, która kierowała Whitney- nadzieję Jezusa Chrystusa.

Tuż po nabożeństwie w przykościelnej sali gimnastycznej odbył się obiad dla wspólnoty parafialnej. W poprzek pomieszczenia stały stoły, z których każdy był udekorowany gerberami - ulubionymi kwiatami Whitney. Newell i Colleen nie mogli jednak usiąść i zjeść, gdyż wszyscy do nich podchodzili, opowiadali historie związane z Whitney i zapewniali o nieustającej modlitwie, jaką ich wspierali. W pewnej chwili Colleen zwróciła się do Newella:

- Wydaje mi się, że powinnam być już kłębkim nerwów, ale nie jestem. Nie wiem, jak to wyjaśnić.

- Ja wiem - odparł Newell. - Też to czuję. Jakby... -Jakby był przy mnie Bóg i mnie podtrzymywał. -Właśnie tak.

W poniedziałek rodzina była zmuszona zrezygnować ze swej tradycyjnej już porannej modlitwy. Na pogrzeb przyjechało kilku przyjaciół z Upland, więc Newell i Colleen zaplanowali, że zjedzą wspólnie z nimi śniadanie. Posiłek upłynął im na rozmowach, śmiechu i relacjonowaniu ostatnich osiemnastu lat, które minęły od wyprowadzenia się Ceraków z Upland do Gaylord. W pewnej chwili Newell zapytał Colleen:

- To wszystko chyba nie pasuje do dnia pogrzebu naszej córki, prawda?

Tak dobrze bawili się z przyjaciółmi, że oboje stracili poczucie czasu.

Nim wrócili z restauracji do domu, była już 10.30. Nabożeństwo na cmentarzu i pochówek były zaplanowane na jedenastą. Na ulicy przed ich domem ustawił się sznur samochodów i zablokował podjazd. Newell i Colleen pośpieszyli do domu, w którym czekała na nich reszta rodziny. Pogrzeb był publiczny, ale na pochówek zaproszono tylko członków rodziny.

- Mamo, spóźnimy się - zawołała Carly.

- Bez obaw. Zdamy. Zresztą bez nas chyba nie zaczną - odparła Colleen i pobiegła z Newellem na górę, gdzie w mgnieniu oka się przygotowali, po czym zeszli z powrotem na dół. - Dobra, możemy jechać.

Samochód wypełnił się pasażerami, podobnie jak pozostałe auta stojące przed domem. Na przedzie jechał Newell, za nim w kierunku cmentarza podążała dalsza rodzina. Zajechali na miejsce pochówku, naprzeciwko boisk piłkarskich, na których Whitney rozegrała bardzo dużo meczów. Po wyjściu z samochodu Newell zaczął się rozglądać, chcąc sprawdzić, czy wszyscy są na miejscu.

- A gdzie jest moja mama? - zapytał.

Colleen poczuła, jak żołądek podchodzi jej do serca. Nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa.

Ta cisza zastanowiła Newella. Odwrócił się i ujrzał szeroko otwarte usta żony.

- Colleen? - popatrzył na nią badawczo.

- O nie! - krzyknęła. - Mieliśmy po nią podjechać. Jest w domku u Yohe nad jeziorem Dixon. Obiecałam jej, że zabierzemy ją o 10.30, ale zapomniałam ci powiedzieć.

Newell zerknął na zegarek, a potem z powrotem na tłum ludzi zmierzających do ustawionych w rzędy krzeseł nieopodal trumny. Ceremonia miała się już zaczynać, a matka Newella znajdowała się w odległości piętnastu minut jazdy samochodem.

-1 co teraz zrobimy? - zapytała Colleen.

- Muszę pogadać z rodzeństwem.

To mówiąc, podszedł do swoich braci i sióstr.

-Jak myślicie? Mama będzie zła, jeśli nie będzie jej na pochówku? Całość potrwa nie dłużej niż pięć minut. Miałem po nią pojechać, ale w tym zamieszaniu kompletnie o tym zapomniałem.

Rodzina Newella doszła do wniosku, że ich matkę bardziej by zmartwiło opóźnienie się ceremonii niż to, że nie może w niej uczestniczyć. Newell wrócił do Colleen.

- Nic jej nie będzie - zapewnił. - Czas zacząć. Nabożeństwo prowadził Jim, który odczytał fragment

Pierwszego Listu do Tesaloniczan:

Nie chcemy, bracia, waszego trwania w niewiedzy co do tych, którzy umierają, abyście się nie smucili jak wszyscy ci, którzy nie mają nadziei. Jeśli bowiem wierzymy, że Jezus istotnie umarł i zmartwychwstał, to również tych, którzy umarli w Jezusie, Bóg wyprowadzi wraz z Nim. To bowiem głosimy wam jako słowo Pańskie, że my, żywi, pozostawieni na przyjście Pana, nie wyprzedzimy

tych, którzy pomarli. Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na dźwięk trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi. Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy z Panem. Przeto wzajemnie się pocieszajcie tymi słowami! (1 Tes 4,13-18).

Następnie rzucił jeszcze kilka luźnych uwag i poprowadził grupową modlitwę.

Newell miał rację. Cała ceremonia trwała co najwyżej pięć minut. Gdy było już po wszystkim, poprosił kogoś o odwiezienie Colleen, a sam udał się nad jezioro Dbcon po matkę, która spędzała tam czas ze swą siostrą, Grace. Grace wyjechała wcześniej, by zawieźć brata, Russa, na lotnisko.

Newell podjechał pod dom, zaparkował samochód i wszedł na werandę. Wyciągnął rękę, aby zapukać do drzwi, i zerknął przez okno do środka. Matka siedziała na krześle w płaszczu i czekała na jego przyjazd. „Pewnie siedzi już tak godzinę i cierpliwie czeka”. Wszedł do środka i bez chwili wahania powiedział:

- Przepraszam cię, mamó. Colleen obawia się, że za to, że o tobie zapomniała, znajdzie się na czarnej liście swojej teściowej.

Matka się zaśmiała:

- Wszystko w porządku, Newell. Więcej o tym nie myśl.

- Ale mamó, nie byłaś przy pochówku Whitney. Okropnie się z tym czuję.

- Nic nie szkodzi - powiedziała tak, jak potrafi powiedzieć tylko matka. - To nawet nie ma znaczenia, przecież to i tak nie była Whitney.

Newell rozumiał, co ma na myśli. Jako chrześcijanin wiedział, że dusza jego córki - czyli prawdziwa Whitney - jest już u Pana Boga. Jednak kilka tygodni później Newell miał spojrzeć na słowa matki w kompletnie innym świetle...

## „Cześć”

*Niedziela, 14 maja 2006 roku*

Ewangelia według św. Mateusza:

„Dalej, zaprawdę, powiadam wam: Jeśli dwaj z was na ziemi zgodnie o coś prosić będą, to wszystkiego użyje im mój Ojciec, który jest w niebie. Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18,19-20).

Rozmyślałam nad modlitwą. Nad pytaniami do Boga i odpowiedziami, jakich oczekuję. I ja, i Wy nieustannie modlimy się w intencji Laury i jej szybkiego wyzdrowienia. Dzielą nas tysiące kilometrów, ale łączy nas jedno - wszyscy wzywamy Jego imię i prosimy Go, by ją uleczył. Nie mogłam uwierzyć, gdy Dave powiedział mi, że dziennie stronę odwiedza nawet tysiąc osób zainteresowanych modlitewnym wsparciem. Dlatego tak sobie pomyślałam, że może dziś spróbowalibyśmy zawołać wspólnie do naszego Ojca jednym głosem i jednym sercem. Uzbrojeni w wiedzę, że Ojciec Niebieski zna wszystkie nasze potrzeby, a także On najlepiej wie, co będzie najlepsze dla duszy i ciała Laury, pomódlmy się za nią tymi słowami:



„Drogi Ojczy, wielbimy Cię za to, że jesteŝ wszechwiedzający i nieopisanie dobry. Wielbimy Cię za to, że jesteŝ Bogiem Żywym -jedynym prawdziwym Bogiem. Dziękujemy Ci i pokornie przyjmujemy Twoją miłość i troskę o nas. Raz jeszcze dziękujemy za oszczędzenie Laury i ponownie błagamy o jej całkowite uleczenie. Przywróć nam ją wtedy, kiedy uznasz to za stosowne, a nam daj siłę i cierpliwość. Ufamy Ci całkowicie i wierzymy, że Twoje plany są nieomyślne. Niech nasze doświadczenia zbliżą do Ciebie wielu ludzi. Jesteŝ dobrym Bogiem. Wiemy, że jesteŝ w sta- '!.? nie uczynić znacznie więcej niż to, o co Cię prosimy czy czego oczekujemy. Dziękujemy za to, co już robisz. Naucz nas, jak być Twymi dziećmi i jak zbliżyć się do Ciebie. Pomóż nam kochać Ciebie i innych. Opiekuj się dzisiaj Laurą. Wiemy, że będzie w Twoich rękach. O wszystko to prosimy w imię naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Amen". Niech się stanie.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

Słyszałaŝ coś? - zapytał Don. Chwycił dłoń Susie i przysunął się do łóżka Laury. - Czy możesz to powtórzyć, Laurie? Możesz powiedzieć: „Cześć”?

Laura ścisnęła wargi i ledwo słyszalnym szeptem powiedziała: „Cześć”. Było to pierwsze słowo, jakie wypowiedziała od ponad dwóch tygodni.

Don podskoczył, a na jego twarzy malował się szeroki uśmiech. Susie płakała.

— Laurie, tu mama. Powiesz do mnie: „Cześć”? -Cześć.

Po twarzy Susie popłynęły łzy. Wyciągnęła trzęsącą się rękę, by ująć dłoń córki.

- Cześć, kochanie. Cześć.

- Cześć - powtórzyła Laura. Oczy miała zamknięte, ale odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegały głosy Dona i Susie. Kilka godzin wcześniej pielęgniarka usunęła rurkę respiratora i zakryła otwór po tracheotomii. Dzięki temu Laura mogła już normalnie oddychać przez nos i usta. Lekarze mówili, że może zacząć mówić, no i mieli rację. i

- Cześć - powtórzyła Laura.

- To najśłodszy dźwięk, jaki słyszałam w życiu - skomentowała Susie.

- Dzieci będą wściekłe, że to przegapiły - Don uśmiechnął się.

- Powinny były zostać nieco dłużej. Ona się budzi, Suz. Nasza córeczka do nas wraca.

- Mam nadzieję - westchnęła Susie, ciągle trzymając dłoń Laury. Wpatrywała się w jej twarz pozbawioną wszelkich emocji. Pogłaskała córkę po głowie. - Obudź się, słoneczko! Jesteśmy tu i czekamy.

Don i Susie siedzieli razem przez dłuższy czas przy łóżku Laury i patrzyli, jak „śpi”. Ani na moment nie leżała spokojnie. Była mistrzynią w odkrywaniu nowych sposobów uwalniania się z „pęt” szpitalnego łóżka.

- I znowu to samo - powiedział Don, gdy Laura zaczęła się przewracać po łóżku. - Czy tylko mi się wydaje, czy ona próbuje nas przechytrzyć?

Susie zachichotała:

- A niechby ktoś spróbował spać z nią w Wiewiórczym Domku - oboje uśmiechnęli się na wspomnienie ich domku na obozie biblijnym na Półwyspie Górnym. Domek został nazwany tak na cześć wiewiórek, które biegały po tamtejszej werandzie. - Ten dzieciak tak bardzo wierzgał i kopał przez sen, że gdy próbowałam spać obok niej, budziłam się posiniaczona.

Kiedy Laura się uspokoila, Susie rzekła do Dona:

- A może byś się przespał? Wezmę dziś wieczór pierwszą zmianę.

Przez cały okres, kiedy Laura przebywała na szóstym piętrze, członkowie rodziny przesiadywali przy niej na zmianę po dwie lub trzy godziny.

- Okej. Zmienię cię za dwie godziny - zadeklarował Don i płożył się na dodatkowym łóżku stojącym za parawanem.

Tej samej nocy, podczas jego zmiany, Laura była wyjątkowo aktywna. Podeszedł do niej i próbował podtrzymać jej ciało tak, by nie uderzyła o coś złamaną ręką i nie uszkodziła jej poważniej. Zanim się spostrzegł, oplótła go nogami w pasie i zacisnęła je niczym kleszcze. Później, gdy opisywał to na blogu, zdradził: „Czułem się, jakbym mocował się z aniołem”.

Kolejnego dnia rano Don usłyszał jakiś hałas dobiegający z za parawanu dzielącego półprywatną salę. Susie podeszła do łóżka Laury.

- Dzień dobry, słoneczko.

- Dzień dobry - odpowiedziała cicho Laura. Susie przywitała Dona szerokim uśmiechem.

- Cześć - przywitał się z córką.

- Cześć - szepnęła Laura.

- Powiesz do mnie „tatku”?

-Tatku - powieki Laury drgnęły, jakby chciała otworzyć oczy.

Udało jej się nieznacznie odemknąć tylko lewe. Don uśmiechnął się od ucha do ucha:

- Dobrze, Laurie. Bardzo dobrze. Długo czekałem, aż znowu nazwiesz mnie „tatkem”.

Do pokoju wkroczyła pielęgniarka, żeby sprawdzić, jak czuje się Laura.

- Dzień dobry, Lauro. Jak się dziś miewasz?

- Dzień dobry - odpowiedziała Laura. Don wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zeszłej nocy zaczęła mówić. Powiedziała: „Cześć”. Jak dotąd jej zasób słów wynosi trzy, ale nam to wystarczy.

- Świetnie sobie radzisz, Lauro - Susie głaskała córkę po dłoni.

- Nie przestawaj walczyć. Jesteś taka silna. Walcz dalej.

Kilka godzin później do sali weszła Joelle, gotowa rozpocząć pierwszą tego dnia sesję terapeutyczną. -Jak się dziś czuje?

- Powiedziała pierwsze słowa - poinformowała Susie z uśmiechem.

Joelle klasnęła w dłonie.

- Zuch dziewczyna! - Przez cały okres, kiedy pracowała z Laurą w Parkview, bardzo przywiązała się do swej pacjentki i całej rodziny Van Rynów. Po jednej z pierwszych sesji Joelle zwierzyła się rodzinie, że podobnie jak oni mocno wierzy

w Boga i sama codziennie modli się za Laurę. - No dobrze, Lauro, zobaczymy, co nam się uda dzisiaj zrobić.

Z pomocą Lisy Joelle podniosła Laurę i posadziła w wózku inwalidzkim. Zanim to się stało, pozwoliły pacjentce stanąć na moment na silniejszej nodze. Terapeutka uśmiechnęła się.

- Już niedługo będzie robić znacznie więcej, zobaczysz, to kwestia czasu - zapewniła. Po usadowieniu Laury w wózku zaproponowała: - Jeśli chcesz, możemy zabrać ją na mały spacer.

- Naprawdę? - uradowała się Lisa. - No to jedziemy, Laurie.

Z każdym dniem Laura była bliżej odzyskania świadomości. Coraz częściej otwierała oczy, ale spojrzenie nadal miała mgliste. Kilka dni wcześniej jeden z lekarzy otworzył jej jedno oko i sprawdzał, czy potrafi skupić wzrok.

- Może mieć podwójne widzenie - poinformował rodzinę. Gdy Lisa z pomocą Joelle wiozła siostrę wózkiem wzdłuż

korytarza, Laura otworzyła jedno oko, a następnie drugie. Czasem otwierała oba, ale przeważnie tylko lewe.

- Piękny mamy dziś dzień - zauważyła Joelle. - Może weźmiemy ją na zewnątrz?

- Powinno jej się spodobać - przytaknęła Lisa. - Nie była na zewnątrz, odkąd się tu znalazła.

- No to najwyższy czas. Zresztą potrzebuje teraz różnych bodźców, aby neurony znów zaczęły pracować. Ale i tak musimy znaleźć jej jakieś okulary przeciwsłoneczne. Jest bardzo jasno.

Po drodze wzdłuż korytarza w kierunku drzwi Laura kilkakrotnie machnęła nogą, jak gdyby chciała przyspieszyć wózek.

- O tak! - zawołała Lisa. - Niezła zabawa, prawda?

Dotarły do drzwi, a Lisa założyła Laurze okulary i upewniła się, że siostra jest starannie przykryta niewielkim kocem, który wzięły ze sobą.

Kiedy były już poza szpitalem, zawiozły Laurę pod małą fontannę stojącą w przyszpitalnym ogrodzie.

- Spróbujmy czegoś nowego - zaproponowała Joelle. Zamoczyła palec u stopy Laury w wodzie i zapytała: - Podoba ci się?

- Zimno - odpowiedziała Laura chrypiącym szeptem.

- Mam wyjąć twoją stopę z wody? - spytała Lisa, na co Laura skinęła głową.

- Ale fajnie - na twarzy Lisy pojawił się uśmiech. Zostały w ogrodzie jeszcze jakiś czas. Słońce świeciło

mocno, roztaczając przyjemne ciepło - jak przystało na piękny majowy dzień w Indianie. W pewnym momencie Laura zaczęła pociągać za swoją koszulę.

- Ciekawe, co to znaczy? - Lisa spojrzała na Joelle, oczekując odpowiedzi. Laura nadal szarpała koszulę, a na jej twarzy malowało się wyraźne rozdrażnienie. - Gorąco ci? - spytała w końcu siostra.

Laura przytaknęła.

Lisa uśmiechnęła się.- Chcesz wracać do środka? Laura znów przytaknęła.

- Okej, no to wracamy - uśmiech nie zniknął z twarzy Lisy. Była to pierwsza namiastka rozmowy z siostrą od czasu wypadku. Wraz z Joelle zawiozły Laurę do jej sali i położyły w łóżku, które było ustawione w pozycji półsiedzącej.

- Wolisz siedzieć czy leżeć? - zapytała Lisa.

- Leżeć - odpowiedziała Laura.

- Jak sobie *życzysz*.

To powiedziawszy, Lisa zwróciła się do Joelle: - Ale wspaniale. Świetnie jej dzisiaj idzie.

- Przed nią jeszcze długa droga, ale dzisiaj rzeczywiście ma naprawdę dobry dzień - skwitowała Joelle.

Kolejnej nocy Don nabrał ochoty na chińszczyznę. Pielęgniarki poleciły mu restaurację nieopodal, więc poszedł tam i wybrał kilka potraw. Po powrocie położył białe pojemniki na półce przy dodatkowym łóżku w pokoju Laury i pomieszczenie wypełnił zapach jedzenia. Gdy przyszła reszta rodziny, zasłonili się parawanem i próbowali zjeść obiad w ciszy. W połowie posiłku Don przerwał jedzenie i zapytał:

- Słyszeliście to? ?

- Co takiego? - zdziwiła się Lisa.

- Posłuchajcie - Don nadstawił uszu. Dźwięk powtórzył się. - Wydaje mi się, że Laura coś powiedziała.

Wysunął się zza parawanu i podszedł do córki. Za chwilę wrócił, chichocząc.

- Co jest? - zapytała Susie.

- Powiedziała, że śmierdzi.

- Chyba żartujesz.

- Nie. Wyszeptała to bardzo cicho. Jedno słowo: „Śmierdzi”. Cała rodzina wybuchnęła śmiechem, ale za moment wszyscy się opanowali.

- Ciii - powiedział Don, po czym zachichotał. - Lekarze chyba mieli rację. Pamiętam, jak mówili, że uraz mózgu

nadmiernie wyczuli jej zmysły. Coś mi się wydaje, że chińszczyzna przy jej łóżku to nie był najlepszy pomysł - zaśmiał się i wziął do ust jeszcze jeden kęs. - Teraz już za późno. Możemy chyba dokończyć.

*Środa, 17maja 2006 roku* r Laura bardzo ładnie wypoczęła ostatniej nocy, a dzisiaj Tata usłyszał od niej „dzień dobry”. Miała rano jeszcze jedno prześwietlenie i wszyscy lekarze stwierdzili, że wolno jej się poruszać. Wyjęli : jej też rurkę tracheotomijną. Jutro rano o 9.00 mają przewieźć ją karetką do Grand Rapids. Tam ma przejść świetny, wszechstronny

program rehabilitacyjny. Tamto miejsce znajduje się znacznie bliżej naszego domu, przyjaciół, fajnej restauracji, a co najważniejsze - naszej ulubionej lodziarni. Wygląda na to, że po trzech tygodniach zbliżamy się wreszcie do domu. Proszę, módlcie się o jutrzejszy bezpieczny transport Laury, zwłaszcza o jej dobre

samopoczucie. Reszta z nas pojedzie za nią czterema samochodami. W Fort Wayne przyjęto nas wspaniale. Nawiązaliśmy mnóstwo przyjaźni w szpitalu i poza nim, otrzymaliśmy świetną opiekę, za co z całego serca dziękujemy. Chociaż cudownie będzie wrócić do domu, będziemy też tęsknić za tutejszymi ludźmi. Dziękujemy, Fort Wayne, za opiekę nad Laurą i nad na mi. Teraz troszczy się o nas Pan.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

- Wszystko w porządku, Suz? Odkąd weszliśmy do samochodu, nie widziałem jeszcze, żebyś odetchnęła - Don zaniepokoił się, kiedy wyjeżdżali z parkingu szpitala Parkview.



- Będzie w porządku, jak już dojedziemy - odparła.

- Nie pozwoliliby na jej przewiezienie, gdyby jeszcze nie była gotowa.

- Wiem, wiem. Ale co, jeśli się coś nie uda? Ja jestem gotowa na powrót do domu, ale nie chciałabym, żeby jej przeniesienie było przedwcześnie. I nie podoba mi się, że jedzie w tej karetce bez żadnego z nas. Pierwszy raz od wypadku nie ma przy niej nikogo z rodziny - westchnęła. - Poczuję się znacznie lepiej, jak już dojedziemy i umieścimy ją w nowym pokoju.

- Zobaczysz, nic jej nie będzie - zapewnił Don.

- Mam nadzieję. Ale wszystko się może zdarzyć, a w karetce, poza szpitalem, nikt nie mógłby jej pomóc - spojrzała na Dona, który prowadził samochód. - Jestem jej matką. Nie potrafię się nie martwić takimi sprawami.

Don tylko się uśmiechnął i odparł:

- Wiem.

Był czwartek, tuż po południu, gdy karetka zajęła na parking ośrodka zdrowia Spectrum Health Continuing Care Center. Podczas gdy personel medyczny przenosił Laurę do jej sali, Don i Susie zajęli się wypełnianiem formularzy. Gdy skończyli, dyrektorka placówki, Cindy Barrus, przywitała ich słowami:

- Dobrze was znowu widzieć - Cindy była u nich w Fort Wayne przed przewiezieniem Laury. Wtedy to uzgodnili szczegóły terapii, jakiej miała być poddana ich córka w Spectrum.

- Laura jest nieco młodsza od większości naszych pacjentów - opowiadała dyrektorka, prowadząc ich korytarzem.

- Specjalizujemy się w leczeniu urazów mózgu, a najczęściej

spotykanym ich rodzajem jest udar, zwykle występujący u osób starszych. To nie znaczy, że nie mamy do czynienia z osobami w wieku Laury. Mamy w tym momencie jednego chłopca jeszcze młodszego od niej. Chcielibyście poznać osoby, które będą pracować z waszą córką? - spytała Cindy. Poprowadziła Dona i Susie kolejnym korytarzem i przedstawiła ich zespołowi lekarzy i terapeutów wyznaczonych do opieki nad Laurą. - Mamy tu sporo materiałów o urazach mózgu. Mogłyby was zainteresować - dodała. Wręczyła książki Donowi, który zaniósł je swoim bliskim.

W końcu mogli wejść do pokoju Laury. Aryn także chciał tam być, ale poprzedniego dnia musiał wrócić do pracy w Detroit. Od czasu wypadku pracował po trzy dni, a na kolejne trzy jechał do szpitala.

Kiedy wkroczyli do sali, natychmiast zauważyli, że łóżko Laury różni się od tego, które im wcześniej pokazano. Odkrywszy, jak aktywna zrobiła się dziewczyna, personel zdecydował się na łóżko gwarantujące jej większe bezpieczeństwo.

- No, no! - wyrwało się Lisie. - Wygląda na to, że tutaj nie pozwolą jej na rozwalanie pościeli.

Z boku łóżka zamontowana była wysoka siatka rozpinana zamkiem błyskawicznym. Po jego zasunięciu Laura nie byłaby w stanie spaść na podłogę nawet po tysiącu wierzgnięć nogami.

Gdy Van Rynowie zbliżyli się do Laury, spostrzegli na jej twarzy grymas bólu.

- Musiała odczuć trudy podróży - stwierdził Don. - Chyba powinniśmy dać jej wypocząć.

Rodzina spędziła w ośrodku jeszcze chwilę, po czym pojechała do domu w Caledonii. Susie nie mogła znieść myśli, że zostawiają Laurę, ale szpital zapewnił, że bez przerwy ktoś będzie przy niej czuwał. Tylko pod takim warunkiem Susie zgodziła się spać tej nocy w domu, czyli spędzić z dala od córki pierwszą noc po trzech tygodniach od wypadku.

- Nie chcę nawet myśleć, jak wygląda teraz nasz dom - przestraszył się Don w drodze powrotnej. - Trzy tygodnie to szmat czasu. Trawnik pewnie straszy sąsiadów. Zresztą nieważne. To tylko trawa. Kiedyś się za nią wezmę.

Gdy podjechali pod dom, ujrzeni skoszoną trawę i podcięte krzewy. Ktoś nawet powyrywał chwasty w ogródku. To się nazywa pomoc!

Na podjazd wjechał właśnie ich najbliższy sąsiad. Wszedł z samochodu i zagadnął:

- Dobrze was znowu widzieć. Jak Laura?

- Każdego dnia coraz lepiej - odparł Don. - Nie wiesz może, kto kosił nam trawę? Chciałbym mu podziękować.

- Chyba każdy w okolicy. Robiliśmy to na zmianę. Stwierdziliśmy, że trawnik jest ostatnią rzeczą, o którą powinieneś się martwić.

- Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo to doceniamy. Przez ostatnie trzy tygodnie tylu ludzi tak bardzo nam pomogło. Wydawało nam się, że nie było w Fort Wayne dnia, żebyśmy nie dostali listów z dołączonymi bonami na paliwo lub kuponami do restauracji. A teraz jeszcze to - Don podrapał się po głowie. - Muszę ci powiedzieć, że coś takiego uczy pokory. Dziękujemy. Tak bardzo wam dziękujemy.

- Zrobiłbyś dla mnie to samo - skwitował sąsiad. - Zresztą, nie chciałem, żeby osiedle szpecił widok zaniedbanego trawnika - zażartował.

Gdy Van Rynowie znaleźli się w domu, poczuli przyływ emocji. Dom był nieskazitelnie czysty, a lodówka i szafki były wypełnione jedzeniem. Na stole znaleźli talerz świeżo upieczonych ciasteczek.

Don i Susie weszli do salonu i opadli na sofę. Susie zaczęła płakać.

- Aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem wyczerpana emocjonalnie - zwierzyła się.

- Dobrze być w domu. Potrzebowaliśmy tego - uspokoił ją Don.

Dwa dni później z Detroit przyjechał Aryn. Wszedł do domu Van Rynów, wziął głęboki wdech i uśmiechnął się.

- Pachnie tu Laurą - zauważył. - Już mi się podoba.

*15 maja 2006 roku*

Wypalenie przychodzi czasem łatwo... Zwłaszcza gdy pracuje się w służbie zdrowia... Jeszcze do niedawna, aby przetrwać każdy dzień pracy, wystarczały mi własne pokłady energii i uczuć. Ale chciałabym Wam powiedzieć, całej Waszej rodzinie, że pracując z Laurą, usłyszałam, jak Bóg do mnie przemówił i odnowił we mnie pasję do tego, co robię.

Wiem bez wątplenia, że Bóg ma plan dla Laury... Sposób, w jaki ją obudził, to absolutny cud. Gdy myślę o jej rehabilitacji i nieuniknionym wyjeździe z Fort Wayne, jestem przekonana, że

znajdzie się w dobrych rękach... To trochę samolubne, ale jakąś część mnie to smuci.

Dla personelu szpitala Wasza rodzina pozostanie świadectwem Chrystusa, a zapał, z jakim okazywaliście swą miłość i cierpliwość, zainspirował wszystkich, którzy mieli zaszczyt pracować obok Was.

Trwajcie dalej w oczekiwaniu na Pana. Jego plany nie zawsze zgrywają się z naszymi, ale wierzę i jestem przekonana, że Laura nadal będzie robiła wielkie postępy.

Z całego serca, Joelle

*Komentarz z bloga*

## **„Nic już nie będzie takie, jak dawniej”**

Bóg nadal jest dobry, a Jego obietnice są prawdą. Zobaczą się jeszcze z Whit. I nie mówię tego tylko po to, by się pocieszyć i poradzić sobie z bólem. Znam Boga żywego i pewnego dnia będę Go wielbić u boku siostry.

*Carly Cerak, słowa wypowiedziane 7 maja 2006 roku  
podczas mszy upamiętniającej ofiary wypadku*

Na lotnisko odwieziono już wszystkich przyjezdnych. Na podjeździe Ceraków pozostały jedynie samochody Newella, Colleen, Carly i Sandry. Poprzedni dzień był niezmiernie męczący, od rozpoczęcia pochówku aż do rozwiezenia kwiatów z pogrzebu po całym miasteczku. Większość kwiatów rodzina zawiozła do Gaylord Intermediate School - szkoły, w której pracowała Colleen. Przed drzwiami każdej z klas położono wiązanki. Gdy następnego dnia w szkole

pojawił się uczniowie, budynek tonął w kolorach i zapachach kwiatów, które w dniu pogrzebu Whitney wypełniały kościół.

Odkąd powrócili do Gaylord i zajęli się organizacją pogrzebu, był to pierwszy dzień, kiedy w domu panowała kompletna cisza. Nie było już więcej kwiatów do rozwieszenia, żadnych innych spraw do załatwienia. Przyjaciele też dali im trochę spokoju. Wybiła jedenasta, lecz parteru nie okupowali już śpiewający studenci. Wycieńczone przeżyciami ostatnich dni Carly i Sandra poszły spać.

Newell i Colleen z trudem doczłapali do łóżka, ale mimo że byli równie zmęczeni jak dziewczyny, nie zasnęli od razu. Przytulili się do siebie i leżeli w ciemności, wsłuchując się w ciszę. W końcu odezwał się Newell:

- Naprawdę jej nie ma. Whit odeszła i nigdy nie wróci - wstrząsnęły nim dreszcze i rozplakał się. Colleen również zaczęła łkać. -1 tak... - płakał Newell. -1 tak już teraz będzie. Już nigdy nie wpadnie przez te drzwi ze śmiechem. Jej pokój już nigdy nie będzie zavalony od podłogi po sufit ciuchami i innymi rupieciami. Nie ma jej. Whit naprawdę odeszła.

- Ale jak...? - Colleen próbowała coś powiedzieć. Przerwała. Zamilkła. W końcu powiedziała: - Co my teraz zrobimy? Jak mamy zacząć znowu wieść normalne życie? Nie ma już normalności - chciała powiedzieć coś jeszcze, ale słowa utknęły w jej gardle.

- Pamiętam, jak po raz pierwszy odwieźliśmy Carly na studia, a Whitney była jeszcze w trzeciej klasie szkoły średniej - przypomniał sobie Newell. - Zajechaliśmy na parking przed Uniwersytetem Taylora i usłyszałem, że płacze

na tylnym siedzeniu. Zapytałem, czy wszystko w porządku, a ona odpowiedziała: „Tato, już nic nie będzie jak dawniej”. Słyszę jej głos, jakby była tu teraz razem z nami. Życie nie będzie już takie jak dawniej.

- Nie, nie będzie - Colleen potrafiła powiedzieć tylko tyle. Następnego dnia rano Colleen, Carly i Sandra weszły do

pokoju Whitney. Carly i Sandra usiadły na łóżku, a Colleen chodziła w kółko po pokoju. Odsunęła szufladę w komodzie i zaczęła wyciągać z niej koszulki piłkarskie drużyny Whitney oraz podkoszulki z tygodnia szkoły\*. Następnie podeszła do szafy i zaczęła szperać w ubraniach córki. Wszystko pachniało Whitney, przez co ubrania wydawały się bardzo bliskie, wręcz żywe. Słodko-gorzkie uczucie.

- I co zamierzasz teraz z tym wszystkim zrobić? - spytała Carly.

- Sama nie wiem. Nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy zatrzymać wszystkie rzeczy. Wyglądałoby to, jakbyśmy nadal czekały na jej powrót. Ale nie chcę się tego tak po prostu pozbywać.

- Niektóre rzeczy zostawię dla siebie, takie, które będą mi ją przypominać - zdecydowała Carly.

-Ja też - dołączyła do niej Sandra. Gdy Colleen poprosiła córki, by przejrzały wszystko i zdecydowały, co chcą zatrzymać, Carly wpadła na pomysł:

- Zastanawiam się, czy może któreś z przyjaciółek Whitney nie chciałyby też czegoś na pamiątkę.

\* School Spirit Week - tydzień, w czasie którego uczniowie amerykańskich szkół średnich uczestniczą w odbywających się na terenie szkoły grach i zabawach, przebierają się i noszą ubrania w barwach szkoły lub klasy.



- Świetny pomysł - zgodziła się matka. - Jak już weźmiecie sobie coś, zaproszę jej przyjaciółki. Każda wybierze sobie coś, dzięki czemu Whitney pozostanie zawsze żywa w ich pamięci.

- Ale nie rozdasz zdjęć ani obrazków wiszących w pokoju? - upewniła się Carly.

- Nie, nie, nie. Obrazki nie. Tylko ubrania. Chciałabym, żeby jej pokój nadal wyglądał jak jej pokój. Tego nie chcę zmieniać. Na pewno nie teraz. Może kiedyś.

Kilka następnych godzin cała trójka spędziła na przeglądaniu koszulek i dzinsów Whitney oraz pozostałych ubrań wiszących w szafie. Gdy Carly i Sandra powybierały już rzeczy dla siebie, cała reszta odzieży znalazła się na łóżku i dziewczyny zaczęły dzwonić. W domu przybywało coraz więcej dziewcząt, a najczęstszym ich pytaniem było: „A mogę wziąć to? Whitney miała to na sobie, kiedy razem z nią.

Gdy Colleen słuchała tych opowieści, wiedziała już, że to był dobry pomysł. Zanim dzień dobiegł końca, wszystkie rzeczy Whitney miały już nowe właścicielki. Colleen nie wyobrażała sobie lepszego rozwiązania.

Kiedy tego samego popołudnia Newell otworzył skrzynkę na listy, znalazł w niej list od przyjaciela, który był na pogrzebie. Rozerwał kopertę, spodziewając się, że znajdzie w niej notkę podobną do tych, które przychodziły każdego dnia. Prawie cała ostatnia korespondencja zawierała najgłębsze wyrazy współczucia dla rodziny oraz zapewnienia nadawcy o modlitwie w ciągu najbliższych dni i tygodni. Newell nałożył okulary, wyciągnął kartkę z koperty i zaczął lekturę. W połowie

drugiej linijki opanowało go takie wzruszenie, że ledwie mógł dalej czytać.

Drogi Newellu,

Postanowiłem wysłać Ci list z wyrazami uznania za słowa, którymi podzieliłeś się dziś z nami na nabożeństwie pogrzebowym. Bóg prawdziwie Ci pobłogosławił. Życie Whitney (i jej tragiczna śmierć) nie poszły na marne. Dzisiaj, gdy wygłaszałeś swą czułą, natchnioną mowę o życiu z córką u swego boku, obiecałem Bogu, że poprawię swoją relację z Chrystusem. Ty i Twoja rodzina żyjecie w wierze i stanowicie prawdziwy przykład tego, jak powinno wyglądać życie chrześcijanina.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak trudno Ci było pożegnać córkę jako ojcu, lecz jako wierzący czułem, że prawdziwie się radujesz myślą, że ona jest już przy Bogu, w lepszym świecie, który On dla niej wybrał. Pokój Boży w najlepszej postaci! Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości będzie nam dane porozmawiać w cztery oczy i podzielić się wiarą. Melduję, że zadanie zostało wykonane!

Z poważaniem, Rich

Newell ściągnął okulary i przetarł oczy. Płakał, ale nie były to łzy smutku, lecz wdzięczności za życie Whitney oraz za wpływ, jaki miało ono na ludzi. „Dzięki Ci, Whit - pomyślał. - Nadał wzruszasz ludzi, mimo że już Cię nie ma”.

Jeszcze jakiś czas siedział w milczeniu na krześle, popłakiwał i rozmyślał o córce. Refleksję o jej życiu na ziemi wkrótce

zastąpiła myśl o nowym życiu, jakie Whitney wiodła teraz przy Bogu. „Ciekawe, co teraz robi. Ciekawe, co czuje i kogo już tam spotkała, co sobie myśli i jak się przyzwyczajają do życia w niebie. Przyzwyczajają się? To chyba nie najlepsze słowo, ale jakoś nic innego nie przychodzi mi do głowy”.

Następnie jego myśli zwróciły się ku dniu, w którym wraz z Colleen odwoził Whitney na uczelnię. Przypomniało mu się, jak bardzo córka bała się zostawiać wszystkich przyjaciół. „Dość szybko zadomowiła się na uniwersytecie, a nawet uwielbiała go. Czy coś podobnego przeżyła po przeprowadzce do Jezusa? Jak teraz wygląda jej dom? Zawsze wiedziałem, gdzie jest, i gdy tylko przytrafiło jej się coś wspaniałego, od razu wpadała do domu i buzia jej się nie zamykała. Ciekaw jestem, jakie piękne rzeczy się jej przydarzyły, odkąd przeniosła się do nieba”.

Im więcej Newell rozmyślał nad nowym domem Whitney, tym bardziej nie mógł się doczekać poznania odpowiedzi na swoje pytania. Przez cały czas podczas sobotniego czuwania przy trumnie, a także dzień później, na pogrzebie, nieustannie powtarzał wszystkim, że jest bardziej niż pewien, że Whitney jest już w niebie, w towarzystwie Boga. Teraz pragnął wiedzieć więcej. Chciał się przekonać, jak ono wygląda i czego doświadcza w nim jego córeczka.

Wstał, podszedł do stołu i wziął do rąk Biblię. Przekartkował księgę aż do ostatnich stron i w konkordancji, czyli tematycznym indeksie wszystkich słów, sprawdził hasło „niebo”. Przeczytał, co o niebie mówił Jezus, a potem opis nieba w Apokalipsie św. Jana, ostatniej księdze Biblii. To mu nie wystarczyło.

W ciągu kilku następnych tygodni przeczytał kilka książek poświęconych zagadnieniu nieba, wszystkich napisanych z ewangelickiego punktu widzenia. Im więcej czytał, tym bardziej realne stawało się w jego odczuciu to miejsce i tym silniej pragnął dołączyć do swej córki, by razem z nią wyśpiewywać pochwały Bogu.

Choć pogrzeb już się zakończył, rodzinę czekało jeszcze jedno nabożeństwo. Równy tydzień po pogrzebie Whitney Uniwersytet Taylora zorganizował mszę upamiętniającą śmierć wszystkich pięciu ofiar. Newell i Colleen obawiali się tej wyprawy. Nie z powodu mszy, ale ze względu na to, że Carly i Sandra miały już nie wracać z nimi do Gaylord. Obie postanowiły spędzić w domu cały tydzień po pogrzebie i wesprzeć Colleen w żałobie. Ale do końca semestru pozostały im jeszcze dwa tygodnie zajęć. Carly nie chciała tego robić, ale wiedziała, że musi wrócić na uczelnię. Z kolei Sandra musiała powrócić do Grand Valley State. Obie włożyły zbyt wiele wysiłku w letni semestr, aby go nie móc ukończyć.

Cerakowie pojechali do Upland dwoma samochodami. W jednym siedzieli Newell i Colleen, w drugim Carly z Sandrą. Gdy zbliżali się do oznaczenia 66. mili na autostradzie 1-69, Newell spojrzał na Colleen i zapytał:

-Jesteś na to gotowa?

- Nie. A ty?

-Też nie.

Przy 67. słupku milowym zwolnił i zjechał na prawy pas. Za chwilę oznajmił:

- To chyba tu, przed nami - włączył prawy kierunkowskaz i zjechał na pobocze. Carly zrobiła to samo. Minęło ich kilka ciężarówek, których pęd aż zatrzęsł samochodami. Newell i Colleen spojrzeli na siebie. Żadne z nich się nie odezwało, lecz oboje pomyśleli to samo: „To tylko wiatr od ciężarówki, a pomyśleć, co się działo wtedy...”. Newell zerknął w boczne lusterko i stwierdził: - Nic nie jedzie. Możemy wysiadać.

Carly i Sandra opuściły samochód w tym samym momencie. Cała czwórka szybko zeszła z asfaltowego pobocza na przylegającą do niego wysoką trawę. Chwycili się za ręce i powolnym krokiem podeszli do pięciu krzyży o jednej podstawie, które ktoś umieścił na miejscu wypadku. Trawa była jeszcze gdzieś powyrywana, a gdy wiatr zawiał z jednego kierunku, nadal można było poczuć zapach oleju napędowego. Wszyscy wbili wzrok w pas zieleni. Nie dało się nie zauważyć śladów ciężarówki. Samochody mijały ich ze świstem. Świeciło słońce. Przez kilka minut nikt się nie odzywał. Cała czwórka stała bez ruchu ramię w ramię i płakała. Carly położyła głowę na ramieniu ojca. „Tutaj zginęła Whitney” - pomyślał Newell. Wiele lat wcześniej, kiedy mieszkał w Upland, pracował w pogotowiu. Zdarzało mu się przyjeżdżać na miejsca wypadków, do których dochodziło na drodze międzystanowej, i teraz miał je przed oczami. Próbował odpędzić te myśli.

- Pomódlmy się - zaproponował. - Potrzebuję tego. Podziękował Bogu za to, że to miejsce to jeszcze nie był koniec. Podziękował za życie i wiarę Whitney. Pomodlił się też w intencji rodzin pozostałych ofiar. Ale najmocniej modlił

się o siłę i łaskę od Boga dla nich samych. Teraz potrzebowali tego bardziej niż kiedykolwiek.

Po kilku kolejnych minutach ciszy wrócili do samochodów. Newell przekręcił kluczyk, a z odtwarzacza CD popłynęła muzyka. Jadąc na miejsce wypadku, Colleen na okrągło słuchała jednej pieśni, *Pójdź do Jezusa*. Włączyli ją jeszcze raz. Pieśń zainicjowała ich modlitwę. „O, Panie, bez Ciebie nie możemy iść naprzód”.

Przed nabożeństwem rektor Uniwersytetu Taylora, Gene Habecker, wydał w swoim domu obiad dla rodzin ofiar. Choć zaproszenia otrzymały wszystkie rodziny, przybyli tylko bliscy studentów. Gdy pojawili się Cerakowie, przywitał ich przedstawiciel uniwersytetu i wprowadził do głównej sali, gdzie czekali już pozostali zaproszeni. Rektor powiedział parę słów, podziękował wszystkim za przybycie i złożył w imieniu własnym oraz całej uczelni wyrazy najgłębszego współczucia. Następnie przedstawił każdą rodzinę. Newell i Colleen obserwowali go, jak podchodził do każdego z rodziców. W oczach rodziców innych ofiar oni sami coś zobaczyli. „Oni wiedzą. Rozumieją, co przechodzimy. Inni mogą próbować. Chcą dobrze. Ale ludzie w tym pomieszczeniu doskonale rozumieją, przez co przechodzimy, gdyż sami przechodzą przez to samo”. Wszyscy zgromadzeni poczuli ze sobą nagłą więź, jak gdyby byli członkami jakiegoś klubu. Nikt z nich nie miał zamiaru do niego wstępować, lecz mimo wszystko czerpali siłę z samego przebywania razem. Rodziny zapoznały się szybko, ścisnęły sobie ręce i przedstawiały się sobie wzajemnie. Nikt nie wspominał o wypadku, chyba że przy

okazji zapewnień o współczuciu i modlitewnym wsparciu. Inne słowa nie były potrzebne.

Tuż przed rozpoczęciem posiłku do Colleen i Newella podszedł Wynn Lembright, który od lat był bliskim przyjacielem rodziny. Jak na ironię, to właśnie on był jednym z trzech pracowników uniwersytetu, których poproszono o przypisanie nazwisk do ciał ofiar zaraz po wypadku.

- Newell, Colleen, cieszę się, że do nas przyjechaliście. To wiele dla nas wszystkich znaczy - podziękował im.

- Bardzo nam miło, że to dla nas zorganizowaliście - odparła Colleen. - Nie potrafię opisać, jak pomogły nam te wszystkie modlitwy.

Wtedy Newell położył rękę na ramieniu Wynna i wyznał:

- Mogę sobie tylko wyobrazić, przez co przeszedłeś w ciągu tych kilku dni. Modliłem się w twojej intencji, żeby Bóg uwolnił cię od wspomnień tamtej nocy. Musi być ci ciężko.

- Bardzo dziękuję - Wynn uściskał mocno Newella i Colleen, po czym podszedł do kolejnej rodziny.

Na czas nabożeństwa kaplica Rediger pękała w szwach. Cerakowie zajęli miejsca w odgradzonej części przeznaczony dla pięciu rodzin. Wchodząc do środka, Colleen czuła na sobie spojrzenia wszystkich ludzi. Popatrzyła na członków pozostałych czterech rodzin i wiedziała, że czują się podobnie. Próbowwała się pocieszać.

- Ostatni raz byłam tu na porannej mszy w dzień po wypadku - szepnęła do męża.

Newell wziął ją za rękę.

- To dzięki temu przetrwaliśmy to wszystko - odpowiedział. -  
Dzięki modlitwom tej wielkiej rodziny.

W czasie nabożeństwa kolejno wstawali i przemawiali przyjaciele i członkowie rodzin każdej z ofiar. Gdy na mównicy stanęła Carly, Colleen i Newell poczuli dumę.

- Niektórzy z was nie mieli okazji poznać Whitney. Była na pierwszym roku - zaczęła Carly. - Kiedy zastanawiam się, jak ją opisać, pierwszym słowem, które przychodzi mi na myśl, jest „zabawna”...

Na twarzy Colleen pojawił się cień uśmiechu. „Sama też bym użyła tego słowa” - pomyślała. Carly zakończyła krótką mowę słowami:

- Dopiero gdy zbliżam się do Boga, czuję najmocniej bliskość siostry. Wiem, że ona jest teraz z Nim i wielbi Jego imię. Dlatego pozwolę sobie zakończyć zachętą płynącą z Drugiego Listu do Koryntian: „Niewielkie bowiem utrapienia naszego obecnego czasu gotują bezmiar chwały przyszłego wieku dla nas, którzy się wpatrujemy nie w to, co widzialne, lecz w to, co niewidzialne. To bowiem, co widzialne, przemija, to zaś, co niewidzialne, trwa wiecznie” (2 Kor 4,17-18).

„Właśnie to chcielibyśmy przekazać ludziom - pomyślała Colleen. - Oto nadzieja, która nas prowadzi”. Po jej policzkach popłynęły łzy. Carly zeszła z podwyższenia, matka przytuliła ją i obie usiadły.

Newell nie planował mowy podczas tej ceremonii. Wystarczająco namęczył się w czasie pogrzebu Whitney, kiedy wyłożył wszystko, co miał do powiedzenia. Ale gdy siedział w kaplicy i wsłuchiwał się w muzykę, przemówiła do niego jedna z pieśni.



Opowiadała o tym, co oznacza naśladowanie Chrystusa, oraz że każda zmiana świata na lepsze wymaga, by użyć czyjegoś całego życia, serca, duszy i siły. „Właśnie tak. Właśnie to chcę powiedzieć ludziom. Moja córka i wszystkie osoby, które zginęły w wypadku, przeżyły swoje dni dla Chrystusa i tylko dla Niego". Zanim się spostrzegł, wstępował już na ambonę i chwycił za mikrofon.

- Chciałbym podziękować całej społeczności Uniwersytetu Taylora za modlitwę i wsparcie. Wiem, że mówiąc, że nie przeszlibyśmy tej próby bez was, wypowiadam się też w imieniu pozostałych rodzin. Kiedy tak słuchałem wszystkiego, co zostało tu dziś powiedziane, i obserwowałem to, co zostało dokonane, postanowiłem dać wam zadanie. Właśnie o tym śpiewaliśmy. Naśladowanie Chrystusa wymaga was całych. Namawiam was do tego. Oddajcie Mu się w stu procentach.

Ponieważ Cerakowie przed przeprowadzką do Gaylord mieszkali przez kilka lat w Upland, mieli w okolicy wielu przyjaciół. Kiedy zmierzali do wyjścia z kaplicy Rediger, wokół nich zebrał się spory tłum, przez który musieli się przedzierać. W pewnym momencie Newell poczuł, że jakaś ręka chwyciła go za ramię. Odwrócił się i ujrzał mężczyznę. Ten przywitał się:

- Cześć, Newell. Jestem Don Van Ryn. Chciałbym ci powiedzieć, jak bardzo podobało mi się to, co dziś powiedziałaś ty i twoja córka. Chcę, byś wiedział, że modlimy się za was.

Newell uściskał dłoń Dona.

- Dziękuję, Don. To dla mnie wiele znaczy. Muszę ci powiedzieć, że my też codziennie modlimy się w intencji Laury.

Dziękujemy Bogu, że ocalała z wypadku, i modlimy się o jej rychły powrót do zdrowia. Jak się miewa?

- Coraz lepiej. Codziennie widzimy postępy - opowiadał Don.

Porozmawiali jeszcze chwilę, po czym Don pożegnał się i poszedł zamienić kilka słów z resztą rodzin. Wszyscy dzielili się z nim podobnymi przemyśleniami. Członkowie rodzin ofiar trzymali kciuki za Laurę.

Później Newell, Colleen, Carly i Sandra zebrali się w hotelowym pokoju, usiedli na łóżkach i rozmawiali do trzeciej nad ranem. Kiedy usłyszeli pierwsze wieści o śmierci Whitney, byli rozproszeni od Michigan po Missisipi. Ale od półtora tygodnia byli niemal nierozłączni. Gdy siedzieli w pokoju hotelowym, rozmawiając o Whitney oraz o tym, co miało ich czekać w nadchodzących tygodniach, uświadomili sobie, że to miały być ich ostatnie wspólne chwile przed dłuższą rozłąką. Carly i Sandra musiały wracać do szkoły. Newell i Colleen musieli znów iść do pracy. Życie nie chciało się zatrzymać, choć żadne z nich nie potrafiło sobie wyobrazić, jak to wszystko mogło w ogóle toczyć się dalej.

Następnego dnia wstali wcześnie rano, zjedli śniadanie w miejscowej restauracji i udali się do parku miejskiego Upland na ostatnią modlitwę. Chcieli też wesprzeć się słowami Pisma Świętego.

- Nie chcę zostawać. Chcę wracać z wami do domu - wyznała Carly. - Jak mam wrócić do akademika, skoro Whitney powinna być w drugim skrzydle, a wiem, że jej tam nie ma? Wiem, że jak pójde na stołówkę, będę wzrokiem szukać

siostry, aż zrozumie, że wszystko na próżno. Nie wiem, jak sobie z tym poradzę.

- Wiem, Carly. Wiem - uspokajał ją Newell.

- Będę się bała wejść do domu po powrocie - przestraszyła się Colleen. - Przez ostatnie tygodnie przewinęło się u nas tylu ludzi i mieliśmy tyle rzeczy na głowie. A teraz...

- Jak mamy w ogóle wrócić do normalnego życia? - protestowała Carly. - Jak mamy wrócić z Sandrą na zajęcia, здаwać głupie egzaminy i pisać głupie prace? Jak mamy udawać, że nic się nie stało? Tak nie można.

- Nie można - zgodził się Newell i dodał: - Życie już nigdy nie będzie takie samo. Nie wiem, czy kiedykolwiek przywykniemy do myśli, że Whitney nie ma. Nie wyobrażam sobie, żeby ten ból miał kiedyś zelżeć. Możemy tylko się modlić, aby Bóg nas przez to przeprowadził.

Później tego dnia, pożegnawszy się czule z Carly i Sandrą, Newell i Colleen wrócili do domu.

- To już - powiedział Newell. - Już - przytaknęła jego żona.

Gdy weszli do kuchni, ich spojrzenia się spotkały. Oboje się rozplakali.

## **Pobudka**

*Poniedziałek, 22 maja 2006 roku*

Zdolności motoryczne Laury nie przestają nas zadziwiać i podbudowywać. W czasie dzisiejszej fizjoterapii świetnie reagowała na polecenia - na zawołanie otwierała oczy, siadała samodzielnie na parę chwil, ruszała rękami i nogami itd.

Pozwólcie, że odpowiem w tym miejscu na często zadawane pytanie: „Czy Laura wyszła już ze śpiączki?”. Odpowiedź brzmi: „Tak”. Ale czy to oznacza, że jest świadoma, ma błysk w oku i zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje wokół niej? Nie. Jak już wcześniej wspominałam, jej mózg potrzebuje treningu (albo raczej: przypomnienia), jak przetwarzać dane. Powtórzę to jeszcze raz: przed nią długa droga. Takie wybudzanie jest procesem długotrwałym. Po raz kolejny zdajemy sobie sprawę, że to Bóg oszczędził jej życie. To do Niego należy Laura, Jego śliczna dziewczynka. Wierzymy, że On ma dla niej jeszcze jakiś plan na ziemi. Czujemy się błogosławieni, że jesteśmy częścią jej rodziny i że pomagamy jej przejść ten trudny okres.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

Jednym ruchem Laura uniosła rękę, chwyciła za kołnierz ortopedyczny, zerwała go z szyi i zrzuciła na podłogę.

- To dziś już dziesiąty raz - zauważył Don.

- Jak długo jeszcze każą jej to nosić? - zniecierpliwiła się Susie. - Przecież ona tego nie cierpi.

Podniosła kołnierz z podłogi, podeszła do siedzącej w wózku inwalidzkim córki i założyła go z powrotem.

- Lekarze mówili, że ma go nosić do czasu, gdy sama im powie, że nie boli jej szyja. Chociaż prześwietlenie niczego nie wykazało, zdecydowali się zostawić kołnierz na wszelki wypadek. Zaczęła już mówić, ale to może jeszcze potrwać - przypomniał żonie Don.

Laura uniosła rękę i znowu sięgnęła w kierunku kołnierza. Susie delikatnie odepchnęła jej dłoń.

- Pomóż mi - szepnęła Laura.

- Chciałabym. Tak bardzo bym chciała - westchnęła Susie i spojrzała na męża. - Nie wiem, czy nie jest teraz gorzej niż wtedy, gdy była zupełnie nieprzytomna.

- Będzie lepiej - zapewnił.

- Do domu - powiedziała cichutko Laura. - Chcę do domu. Susie westchnęła głębiej:

- Wiem, że jest na mnie zła za to, że musi tu leżeć.

- Ona nie rozumie, co się dzieje wokół niej. Obudziła się na tyle, że czuje dyskomfort i niepewność, ale nie na tyle, żeby wiedzieć, co robimy - tłumaczył jej Don. - Musimy być cierpliwi. To dla nas trudny okres.

Kiedy tak rozmawiali, do pokoju wszedł Kenny. Susie zwróciła się do Laury z pytaniem:

- Lauro, wiesz, kto to jest?

- Kenny.

- A wiesz, kim jest Kenny?

- Bratem.

- Dobrze. Bardzo dobrze.

Za moment dołączył do nich Aryn.

- A to kto? - spytała ponownie Susie.

- Aryn. Cześć!

Aryn się rozpromienił.

- Od wczoraj zrobiła postępy. Kiedy przy niej siedziałem, biła mnie, popychała, szturchała i chyba z pięć razy kopnęła w gardło. To się nazywa aktywność!

- O rany. To czyste szaleństwo. To dobrze, że przynajmniej dostało się tobie, a nie mnie - zachichotał Don.

- Tak, ale później powiedziała, że mnie kocha, więc było warto.

- Lauro! - zawołał Don. - Kto dał ci czapczkę Tigersów? Wskazała palcem Aryna.

- Świetnie. Bardzo dobrze. Z dnia na dzień coraz więcej do niej dociera. Coraz lepiej nas rozpoznaje. Już niedługo...

*Wtorek, 23 maja 2006 roku* Ostatniej nocy, gdy siedziałam przy Laurze, była bardzo niespokojna. Patrzyłam na nią i myślałam o tym, jak bardzo ją kocham i jestem za nią wdzięczna. Robiłam, co mogłam, by zabezpieczyć jej chorą nogę i rękę oraz utrzymać je w wygodnej pozycji. Laura strasznie się wierciła i byłam wykończona! Pomyślałam sobie, że dłużej nie wytrzymam, ale postanowiłam zostać przy niej

tak długo, ile będzie mnie potrzebowała, niezależnie od wszystkiego. I wtedy zaczęła mnie bić. I kopać. Zaciśnęła pięść i próbowała się zamachnąć. Chciała się mnie pozbyć i zrobić to, na co miała ochotę, czyli błyskawicznie zerwać z szyi kołnierz ortopedyczny. Pomyślałam wtedy: „Ile razy zrobiłam to samo Bogu?”.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

- Potrafisz powiedzieć, kim są ci ludzie? - Don pokazał Laurze fotografię.

Otwierała już teraz oczy na dłużej, chociaż gdy to robiła, wytrzeszczała je tak bardzo, jakby patrzyła nie na ludzi, lecz na wskroś nich. Kilka dni wcześniej Aryn zauważył, że oczy Laury są bardziej niebieskie niż dawniej, ale nadal dostrzegał w nich zielonkawy odcień, który tak bardzo kochał. Mimo wszystko jej spojrzeniu brakowało jeszcze dawnego blasku.

- Laurie, potrafisz powiedzieć, kto jest na zdjęciu? - Don pochylił się nad córką i wskazał palcem pierwszą dziewczynę na fotografii.

- Courtney - odpowiedziała Laura.

- A to?

- Sara.

- Bardzo dobrze. Doskonale. A to? - Don wskazał trzecią dziewczynę.

- Brittney.

- Świetnie. Świetnie. A ta ostatnia?

- Aaaa, Teeny - Laura nazwała przyjaciółkę Christie jej ksywką.

- Super. Rozpoznałaś wszystkie — ucieszył się Don.  
— Doskonale.

Susie podeszła do Laury i delikatnie pocałowała ją w czoło.

- Kocham cię, Lauro.

- Kocham cię - odpowiedziała córka.

Wyglądała na zmęczoną. Dzień upłynął pod znakiem zajęć terapeutycznych, co odbiło się na jej nastroju. Gdy pielęgniarka przenosiła ją z wózka na łóżko, znowu odrzuciła kołnierz. Susie podniosła go i założyła z powrotem na jego miejsce. Laurę wyraźnie to rozdrażniło.

- Chcę mojego tatę - zawołała. Don podszedł bliżej i usiadł przy niej. Uspokoila się.

- Dostanę całusa? - spytała Susie. Laura nadstawiła usta, a Susie pochyliła się, by ją pocałować. - Chyba się nie gniewa

- stwierdziła.

Pewnej nocy Don, Susie, Lisa i Kenny wybrali się do baru w Spectrum, by zjeść obiad przyniesiony przez kogoś ze wspólnoty kościelnej. Gdy weszli, przy stole siedział Mark i ciął swoją bandanę na paski, które potem wiązał.

- Co ty wyprawiasz? - zdziwiła się Lisa.

- Robię coś na kształt naszyjnika.

- Ale po co?

-Jeden już zrobiłem, ale chciałem mieć inny kolor. -Ja też mogę zrobić?

- Pewnie. Zapraszam.

- Myślę, że każde z nas powinno zrobić taki łańcuszek i nosić go dopóty, dopóki Laura nie zacznie chodzić - zaproponowała Lisa.



Pomysł spodobał się wszystkim. Chodzenie było tylko jednym z celów, jakie sobie wyznaczyli. Modlili się, by pod koniec lata była w stanie pojechać z nimi na obóz biblijny na Półwyspie Górnym. Obóz był rodzinną tradycją Van Rynów od pokoleń. Po wielu latach stał się dla nich miejscem wyjątkowym.

- Obóz kończy się w połowie sierpnia - obliczał Don.

- Do tego czasu będzie już chodzić, zobaczycie.

*Środa, 24 maja 2006 roku* Ewangelia według Św. Jana: „Z Jego pełni wszyscyśmy otrzymali - łaskę po łasce” (J 1,16).

Dzisiaj rano podczas terapii Laura robiła niesamowite rzeczy. Na przykład siedząc, kopała gumową piłkę prawą nogą. Piłka toczyła się w jej stronę, a ona musiała machnąć nogą w odpowiednim momencie, aby ją kopnąć. Na tej samej zasadzie ćwiczyła ręce, odbijając różowy balonik rzucany w jej kierunku. Dziś rano sama zjadła też trochę musu jabłkowego, który potem popiła sokiem pomarańczowym. Nie powiedziałabym, że z puree ziemniaczanym poszło równie dobrze, ale w ostatnim momencie się uchyliłam, a ścianę i rękawy jej koszuli umyliśmy bardzo szybko:-)

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

- Lauro, czy możesz dokończyć zdania, które zaraz ci powiem?

- poprosiła Stephanie, terapeutka zajęciowa Laury. - Wszystkie musisz zakończyć jednym słowem. Gotowa?

Laura przytaknęła.

- Okej. Niebo jest...

- Niebieskie.

-Jabłka są...

- Zielone...

Stephanie uśmiechnęła się do Lisy

- Musi lubić Granny Smiths\*.

- Lauro, jabłka mogą mieć jeszcze inny kolor.

-Czerwony

- Świetnie ci idzie. Teraz spróbujemy zrobić coś innego. Będę mówić słowa, a twoim zadaniem będzie podawanie ich przeciwieństw. Na przykład jak powiem „biały”, ty powiesz „czarny”. Gotowa?

-Tak.

- Czarny

-Biały

-Pod.

-Nad.

-Północ.

-Południe.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Posłuchaj teraz. Wcześniej mówiłyśmy o tym, jaki mamy dzień. Pamiętasz, jaki jest dziś dzień?

- Czwartek.

- Świetnie.

Tu Stephanie zwróciła się do Dona i Lisy:

- Robi duże postępy. Widzę wyraźną poprawę już po tygodniu jej pobytu tutaj.

- Fizjoterapeutka mówiła to samo - pochwaliła się Lisa. - Laura siedziała samodzielnie przez dwie minuty i łapała

\* Granny Smiths - australijska odmiana jabłoni, charakteryzująca się jaskrawozielonym kolorem owoców.

rzucaną do niej piłkę plażową. Udało się jej nawet podnieść kubek do ust i napić się z niego.

- Nie dziwi mnie to. Naprawdę robi niesamowite postępy - potwierdziła Stephanie.

Don zabrał Laurę do jej pokoju, podczas gdy Lisa została ze Stephanie, by zadać jej kilka pytań.

- Wydaje mi się, że jest sfrustrowana. Próbuje coraz więcej mówić, ale nie zawsze da się ją zrozumieć. Głos ma nadal taki słaby, a niektórych słów po prostu nie potrafi wymówić. Mówi też rzeczy, które nie mają za bardzo sensu. Jak dotąd mówiła na mnie Stephanie, April, Carly i Lisa.

- To nic dziwnego w przypadku traumatycznego urazu mózgu - zapewniła Stephanie. - Neurony w jej mózgu są gotowe, by przekazywać bodźce, ale nie wiedzą, dokąd mają je skierować. Najłatwiej można to wytłumaczyć w taki sposób: wyobraźmy sobie jej mózg jako szafkę z segregatorami, którą ktoś przewrócił do góry dnem, a papiery wysypał na podłogę. Krok po kroku mózg próbuje powkładać z powrotem papiery do segregatorów, a segregatory - poukładać znów w szafce. Trochę to potrwa, na pełne wyleczenie takich urazów często trzeba czekać nawet dwa lata.

- A czy te segregatory zawsze trafiają w końcu na swoje miejsce? - Lisa nawiązała do metafory.

- Nie. Właśnie dlatego postępy Laury napawają optymizmem. Tylko czas może pokazać, jak udana może być rekonwalescencja. Laura wygląda na prawdziwą siłaczkę, chyba bardzo jej zależy na powrocie.

- To właśnie cała moja siostrzyczka.

*Piątek, 26 maja 2006 roku*

Laura przespaa zeszłej nocy kolejne pięć godzin, od 2.00 do 7.00 - dzięki Ci, Panie! Kolejny dzień terapii również minął nieźle: pochrupała trochę krakersów Teddy Grahams, a po południu: napiła się soku jabłkowego. Dziś rano porzucała też z tatą frisbee - siedziała na krawędzi łóżka i lekko rzucała do niego dysk na odległość kilkudziesięciu centymetrów. Na terapii zajęciowej od kilku dni próbują nakłonić ją, aby coś napisała. Skutkiem tego dziś rano nakreśliła kilka rozpoznawalnych kształtów, między innymi ogromną gwiazdę. Otwiera już trochę oczy, ale i tak czasem trudno powiedzieć, na co patrzy.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

- Potrafisz powiedzieć, co oznacza ten znak? - spytał Aryn, prowadząc wózek Laury korytarzem. Uwielbiał te spacerunki po Spectrum.

Laura skupiła wzrok na dużym napisie „UWAGA! ALARM”, jej szeroko otwarte oczy były lekko zamglone, wyglądały dokładnie tak, jak tego dnia, gdy pierwszy raz otworzyła je w Fort Wayne.

- Uwaga... alarm - powiedziała.

- Świetnie, Lauro. Dobra robota - pochwalił ją Aryn. Przestał pchać wózek i przykucnął przed nią, aby ich spojrzenia mogły się spotkać. - Kocham cię, Laurie.

- Też cię kocham.

- Mogę cię pocałować?

Laura nadstawiła usta, na których Aryn złożył delikatny pocałunek. Uśmiechnął się i rzekł:

- Tak mocno się za ciebie modłę. I tak bardzo tęsknię. Chciałbym móc cię stąd zabrać do Borders, usiąść i rozmawiać jak dawniej.

- Powiedz im, że nic mi nie jest, to mnie wypuszczą. Aryn nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Chciałbym zabrać cię do domu. Gdybyśmy mogli, zrobilibyśmy to w mgnieniu oka.

Laura odwróciła głowę i nadała się.

Później tego wieczora odepchnęła go, gdy się przysunął.

- Co jest, Lauro? Coś ci zrobiłem?

-Wkurzasz.

- Co? Wkurzam cię?

- Tak - mówiąc to, machnęła na niego ręką, jakby chciała odpędzić muchę.

Następnego dnia zapomniała już o wszystkim, co poprzedniego dnia wkurzało ją u Aryna. Kiedy wszedł do jej pokoju, rozłożyła ramiona, pokazując, że chce, by podszedł i ją przytulił.

- Pocałuj mnie - poprosiła.

Aryn zrobił to z największą przyjemnością.

- Kocham cię, Hunter - powiedziała.

- Hunter? - Aryn popatrzył na Dona, Susie i Lisę, którzy również siedzieli w pokoju. - Czy ona właśnie nazwała mnie „Hunter”?

- Połóż się przy mnie, Hunter. Połóż się jak człowiek. Gdy się koło niej położył, objęła go i przyciągnęła bliżej.

- Zapytaj, czy możesz zostać - poleciła.

- Hunter? - Aryn nie krył zdziwienia przed Van Rynami.

- Nie przejmuj się tym - uspokajał go Don. - Przez ostatnie dni mówiła mnóstwo szalonych rzeczy. Lisę nazwała chyba czterema różnymi imionami. Ale gdy Susie ją spytała, kim jest Lisa, powiedziała „siostra”. Stephanie mówiła nawet, że wczoraj Laura przedstawiła się jako Whitney. Stephanie mówi, że często widzi podobne objawy u pacjentów z urazami mózgu i że te niedorzeczne zdania to dobry znak. Nie mamy pojęcia, co ona może jeszcze powiedzieć, zanim całkowicie wyzdrowieje. Teraz powinniśmy skupić się na tym, by nie darła już więcej ubrań.

- Takie rzeczy też robi? - zdziwił się Aryn.

- Aha - odparł Don. - Mówią, że to też normalne przy urazach mózgu.

*Niedziela, 28 maja 2006 roku* Poprzedniej nocy Laura przespaa smacznie całą noc, od około 20.30 do 10.30, momentami trochę się wiercąc. Pielęgniarka powiedziała, że długi sen to normalny etap podczas rehabilitacji i że powinniśmy się cieszyć, że nareszcie ma trochę odpoczynku! Dobrze rokuje zwłaszcza sen z ostatnich kilku dni, dotąd jeszcze nie spała tak spokojnie... Oznacza to również, że Laura staje się z dnia na dzień bardziej świadoma i bystra. Wczoraj po przebudzeniu sprawiała wrażenie bardziej zaskoczonej otoczeniem i zastanawiała się, co to za miejsce. Wypowiedziała także kilka pełnych zdań. Coraz skuteczniej też informuje nas o swoich potrzebach. Mamy nadzieję, że kontakt z nią będzie się nadal poprawiać. Na pewno obniżyłoby to poziom jej frustracji.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

*Niedziela, 28 maja 2006 roku* Przespałaś kolejną całą noc. Mam tyle powodów, by dziękować Panu - nawet w najczarniejszych chwilach jest przy mnie. „Ciebie pragnie moja dusza, za Tobą tęskni moje ciało” (Ps 63, 2). Jesteś niesamowita, Laurie! Zaczynasz mówić prostymi zdaniami. Bóg jest dla nas taki dobry! Pozwolili Ci dziś na prysznic i umyli włosy szamponem, „do blond włosów” (taki wybrałaś!). Próbowałam Ci zapleść włosy we francuski warkocz, ale nie wychodziło mi to i w końcu zawiązałam kucyki. Powiedziałaś, że tak może być.

#### *Wpis w modlitewniku Susie*

Tak sobie myślę: ależ jestem szczęściarzem, że mogłem z Tobą chodzić przez ostatnie trzy lata i tak dobrze Cię poznać. Wydaje się, że każdego dnia kawałek po kawałku wracasz do siebie, co mnie niezwykle raduje. Nie znoszę myśli, że jutro wieczorem będę musiał Cię opuścić. Ciekawe, czy sobie zażyczysz, żebym razem z DV przez cały dzień woził Cię na wózku? Wczoraj byliśmy wszędzie. W nocy strasznie bolały mnie stopy, ale było warto. Chcę, żebyś wyzdrowiała i zrobię wszystko, żeby Ci w tym pomóc. Teraz już naprawdę wiem, co to miłość. Przepraszam, że zrozumienie tego zajęło mi tyle czasu. Wiesz, że nie lubię używać tego słowa nonszalancko, ale teraz już nie obawiam się go wypowiadać, bo wreszcie wiem, co ono oznacza.

*List od Ary na do Laury, niedziela, 28 maja 2006 roku*

## Zamienione

*Poniedziałek, 29 maja 2006 roku*

List do Efezjan: „Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił. Jesteśmy bowiem Jego dziełem, stworzeni w Chrystusie Jezusie dla dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili" (Ef 2,8-10).

Laura znowu przespaa noc i bardzo się z tego cieszymy. Jej umysł staje się coraz jaśniejszy. Dzisiaj grała z terapeutką w czwórki\* i całkiem nieźle jej szło. Niektóre zmysły szybko do niej wracają, ale zdarza się jej też mówić rzeczy, które nie mają sensu. DV przyniósł jej dzisiaj czapeczkę z napisem „wszystko gra”.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Lisę Van Ryn*

Uważaj, Lauro. Chciałabym cię poprosić, żebyś napisała swoje imię - poleciała terapeutką. Mimo że był właśnie

\* Czwórki (ang. *Connect 4*) - gra logiczna dla dwóch osób, polegająca na wrzucaniu żetonów w odpowiednie kolumny pionowo ustawionej ramki, tak by ułożyć cztery żetony swojego koloru w poziomie, pionie lub ukośnie.



Memoriał Day, szpital postanowił nie zmieniać normalnego rozkładu zajęć terapeutycznych Laury. Wcześniej grała z inną terapeutką i wypadła bardzo dobrze.

„Sprawia wrażenie, jakby zbliżała się już do powierzchni i wyjścia ze śpiączki - Don uśmiechnął się na samą myśl. - Naprawdę do nas wraca!”.

Tego dnia był przy córce podczas wszystkich sesji terapeutycznych. Lisa wzięła sobie wolne i postanowiła spędzić trochę czasu nad jeziorem, w domku kuzynki. Była to jej najdłuższa rozłąka z siostrą od dnia wypadku. Laura siedziała na stole w sali rehabilitacyjnej, a Don stał odwrócony do niej bokiem. Parę dni wcześniej stał dokładnie w tym samym miejscu z kamerą wideo, którą ukradkiem próbował nagrywać postępy córki. Myślał, że go nie zauważy, ale usłyszawszy hałas, odwróciła głowę, i tak został przyłapany. Gestem ręki pokazała, że nie życzy sobie być filmowana. Don wyłączył kamerę i więcej już jej nie przyniósł.

Teraz stał za Laurą i obserwował, jak zamaszystym ruchem zapisuje słowo na kartce papieru. Chwyciła ołówek całą dłonią i zacisnęła pięść, co przypominało mu sposób, w jaki pisała w przedszkolu. Pisząc, poruszała całym ramieniem, jak gdyby kontrolowanie ołówka wymagało od niej użycia całej siły i koordynacji całego ciała. Wcześniej na sesji próbowała rysować trójkąt i kwadrat.

Terapeutką odwróciła kartkę do siebie, aby przeczytać, co napisała pacjentka.

- Jesteś pewna, że tak się nazywasz? - zdziwiła się. Laura przytaknęła. - Bardzo dobrze. Teraz, proszę, narysuj okrąg.

Po tym, jak Laura narysowała jeszcze kilka kształtów, terapeutka zakończyła sesję słowami:

- Świetnie ci dzisiaj szło. Jestem z ciebie dumna. Jutro też porysujemy, okej?

Laura skinęła głową.

Kiedy Don podszedł do terapeutki, aby podziękować za jej starania, lekarka wręczyła mu kartkę, na której Laura napisała swoje imię.

- Proszę na to spojrzeć.

Na kartce widniał rozciągnięty, nierówny napis:

W-H-I-T-N-E-Y

- Co u licha? - Don był wyraźnie zmieszany. - Co pani o tym sądzi? Stephanie mówiła, że Laura przedstawiała się jako Whitney już kilka razy podczas zajęć z terapii mowy. Czemu miałyby to robić?

- Powodów może być wiele. Urazy mózgu często powodują bardzo dziwne objawy. Czy jakaś bliska przyjaciółka Laury ma na imię Whitney?

- W wypadku zginęła dziewczyna, która nazywała się Whitney.

- Wyjaśnienie może być bardzo proste. Laura mogła siedzieć koło niej, gdy doszło do wypadku. Albo spędziły ze sobą wieczorem dłuższy czas i umysł Laury zafiksował się na tym imieniu.

- Pewnie tak właśnie było - uspokoił się Don. - Ale i tak podejrzanie to wygląda. Z drugiej strony od kilku dni wygadywała różne dziwne rzeczy. Swojego chłopaka nazywała Hunter. Nawet nie wiem, czy zna jakiegoś Huntera.

- Otóż to - podsumowała terapeutka. - Neurony zaczynają pracować i wysyłają bodźce, ale nie wiedzą, dokąd mają je skierować.

Kiedy Don wiozł Laurę z powrotem do jej pokoju, powiedziała coś, czego nie był w stanie zrozumieć.

- Co mówiłaś, Laurie? - dopytywał. Powtórzyła, ale znów nie dosłyszał. Zatrzymał wózek, pochylił się nad nią tak blisko, że prawie przyłożył ucho do jej ust. - Mogłabyś jeszcze raz powtórzyć?

- Fałszywi rodzice.

Gdy Don wreszcie zrozumiał słowa córki, jego twarz wykrzywił grymas. „Fałszywi rodzice? Przez ostatnie dni opowiadałaś różne głupoty, ale to przebija wszystko” - pomyślał. Zaśmiał się gorzko nad tą ironią losu. „Fałszywi rodzice! 22 lata opieki, tysiące dolarów wydane na college, opieka nad tobą 24 godziny na dobę podczas twojego pobytu w szpitalu... Ja ci dam fałszywych rodziców!”. Potrząsnął głową i roześmiał się: - Okej, Laurie. To może fałszywy rodzic zawiezie cię teraz do pokoju?

Chociaż słowa o fałszywych rodzicach potraktował jako przykład „neuronowych niewypałów”, postanowił nikomu nie wspominać ani o tym incydencie, ani o tym, że Laura napisała na kartce imię Whitney. „Nie ma sensu stresować wszystkich taką błahostką. Powiem Susie tak szybko, jak tylko zdołam, ale jeszcze nie teraz. Nie przy wszystkich. Poczekam, aż będziemy sami”.

Gdy Don wrócił z dziewczyną do pokoju, zastał tam swoich synów i Aryna. Chłopak Laury chciał spędzić z nią jak

najwięcej czasu przed wieczornym wyjazdem do Detroit. Miało go tutaj nie być przez trzy kolejne dni.

- A może spacer? - zaproponował Aryn.

- Okej - Laurze spodobał się pomysł.

Parę minut po tym, jak Don przekazał opiekę nad Laurą Arynowi, zadzwoniła jego komórka. Telefonowała Lisa i pytała o nowe wieści. Wyszedł z pokoju na korytarz, gdzie mógł rozmawiać bez świadków.

- Jak się dziś sprawowała? - spytała córka.

- Naprawdę nieźle. Rozegrała kilka partii czwórek, prawie wygrała. Ciekawe, co by było, gdyby pokonała terapeutkę. Fajnie było popatrzeć, jak się dobrze bawi... - tu przerwał.

- Co jest? - zaniepokoiła się Lisa.

- Hmm, jedna rzecz nie daje mi spokoju. Nie miałem okazji wspomnieć o tym mamie ani chłopakom. Posłuchaj: wcześniej kazali jej rysować różne kształty, a dzisiaj terapeutka postanowiła spróbować ze słowami. Laura miała napisać swoje imię. Napisała „Whitney”. Terapeutka zapytała, czy jest pewna, a ona przytaknęła. Kilka razy powiedziała to samo Stephanie. Ale kiedy to napisała... - głos mu zadrżał.

- Naprawdę dziwne - skomentowała Lisa. - Jak myślisz, czemu to robi?

- Nie mam pojęcia. Terapeutka mówi, że to normalne zachowanie u pacjenta z urazem mózgu, że to może być coś zupełnie przypadkowego albo że Whitney była ostatnią osobą, z którą Laura rozmawiała. Jedna z ofiar wypadku miała na imię Whitney, zgadza się?

- Tak. I to by miało sens, zwłaszcza po tym, co już wiemy o urazach mózgu.

- Myślę, że nie powinniśmy tego rozgłaszać, co ty na to?

- Chyba nie. A tak w ogóle, gdy będę wracać do domu, wstąpię po drodze do Spectrum i posiedzę z Laurą.

Odłożywszy telefon, Don przysiadł się w barze do Susie, żeby zjeść z nią obiad. Tego popołudnia odwiedziła ich dwójka przyjaciół - Jim i Mikki. Mniej więcej w połowie ich posiłku w barze pojawił się Aryn z Laurą na wózku.

- Aryn! - zawołał Don. - Podejdiesz do nas na minutę? Chcę jej kogoś pokazać.

Gdy byli już przy stoliku, Don zwrócił się do Laury:

- Lauro, zobacz, kto przyjechał! Przywitasz się z Jimem i Mikki?

- Cześć.

- Cześć, Laura - odpowiedział Jim. Zerknął na Mikki i posłał jej dziwne spojrzenie.

- Cześć Lauro, miło cię znowu widzieć - powiedziała Mikki.

Przez resztę obiadu oboje niewiele się już odzywali.

Gdy przyjechała Lisa, Don i Susie nadal byli w Spectrum. Rodzice sprawiali wrażenie, jakby chcieli już wracać do domu. Aryn wyjechał kilka godzin wcześniej. -1 jak było? - Lisa spytała rodziców.

- Ciężko, jak zawsze - odparła Susie. - Aryn tak bardzo ją kocha, że pożegnania sprawiają mu chyba fizyczny ból.

- Powiedziałem mamie o sprawie z imieniem - rzekł Don.

- A mówiła jeszcze inne dziwne rzeczy? — dopytywała się córka.

- To samo, co do tej pory. Nie wiedzieć czemu na Aryna woła „Hunter”. Ma to tyle samo sensu, co nazywanie siebie samej „Whitney”.

- Nie podoba mi się to, przez co teraz przechodzimy - wtrąciła się Susie. - Chyba łatwiej było patrzeć, jak leżała nieprzytomna, niż obserwować, jak z trudem zbiera myśli.

Gdy już Lisa została sam na sam z siostrą, przysunęła krzesło do samego łóżka i po prostu na nią patrzyła. Laura była już przypięta do łóżka i próbowała spać. Po raz pierwszy od wypadku coś szczególnie zwróciło uwagę Lisy. „Nie wiem, o co chodzi - pomyślała - ale coś mi nie pasuje. Coś się zmieniło”. Na samą myśl dziewczynę przeszedł dreszcz.

Po kilku minutach rozpięła zasłonę łóżka i pożegnała siostrę buziakiem w czoło. W drodze do domu była podenerwowana i niespokojna. Podjechała do domu i zauważyła, że światła są pogaszone. Stwierdziła, że wszyscy musieli już pójść spać. Sama też miała taki zamiar. Było późno, a chciała wstać wcześniej rano na poranną sesję terapeutyczną Laury. „Jeśli to naprawdę Laura”. Myśl, która zaświtała jej w głowie, trochę ją przestraszyła. „Jeśli to naprawdę moja siostra”. Próbowała walczyć z takimi myślami. Pojawiły się one tuż po rozmowie telefonicznej z ojcem.

Zapaliła światło i weszła do kuchni. „Nie jestem pewna, czy dziewczyna w szpitalu to rzeczywiście Laura. A co, jeśli to Whitney?”. Rozejrzała się po kuchni. „Whitney, Whitney. Powinniśmy mieć gdzieś płytę CD ze zdjęciami Whitney,

które ktoś nam przysłał na pamiątkę". Zaczęła przeszukiwać kuchnię. Pootwierała szuflady, sprawdziła blaty, aż w końcu znalazła płytę w barku. Przyjrzała się nadrukowanej na pudełku fotografii. „To te oczy! Te duże oczy. Chyba przez ostatnie pięć tygodni patrzyłam w oczy Whitney!". Odwróciła pudełko i na odwrocie ujrzała uśmiechniętą Whitney. „To są jej zęby!" Tętno jej podskoczyło i oblała ją fala przerażenia.

Wtedy usłyszała głos zbliżającego się ojca:

- Hej, Lis. Powyłączaj światła, jak będziesz się kłaść, okej?

- Tato, skąd możemy mieć pewność, że w szpitalu leży Laura?

- Co?! - zawołał Don, zaskoczony pytaniem.

- Skąd wiemy, że to naprawdę Laura? Ktoś do nas zadzwonił i poinformował, że Laura miała wypadek, i pojechaliśmy do Fort Wayne. Ale kto ją zidentyfikował? Jakich metod użyli, aby upewnić się, że to ona?

- Lisa, nie wariuj z powodu jej pomyłki z imieniem. Wystarczy, że mama się denerwuje. Nie wie za bardzo, co o tym wszystkim myśleć, i to ją martwi. Tylko pomyśl. Laura napisała nie swoje imię, ale przecież tłumaczyli nam, że tak się dzieje u pacjentów z urazami mózgu. A tak w ogóle, myślisz, że gdyby to nie była Laura, jeszcze byśmy o tym nie wiedzieli? Spędziliśmy przy niej pięć tygodni!

- Pewnie masz rację - skonstatowała Lisa i pożegnała ojca uściskiem. - Dzięki, że mnie przekonałeś.

To powiedziawszy, poszła spać na górę.

*Memorial Day, 2006 roku* Panie, wysłuchaj mnie. Proszę, nie odbieraj mi Laury. Jest mi dzisiaj ciężko na sercu. Proszę, przynieś mi ulgę. Do Ciebie wznoszę krzyk rozpacz. Tylko w Twojej sile mogę znaleźć oparcie. Tego bym nie zniosła. Wiem, że nie jesteś okrutnym Bogiem - czemu miałoby się tak stać? Czy serce może mnie oszukiwać? Czy możliwe, że nie znam własnej córki? O, Panie, pomóż mi. Jesteś wszystkim, co mam. Proszę, oddaj mi Laurę.

*Z modlitewnika Susie*

Następnego dnia rano Don i Lisa pojechali razem do Spectrum, ale ani słowem nie nawiązali już do rozmowy z poprzedniej nocy. Lisa przekonała samą siebie, że nie ma powodów, by nadal się nad tym zastanawiać. Tuż po ich przyjeździe zadzwonił Paul Johnston i spytał, czy może przyjechać razem z Jimem, by porozmawiać z Donem. Oczywiście Don się zgodził. Gdy przyjechali, wyszedł do nich na parking. Za chwilę wrócił do szpitala sam.

- O co im chodziło? - chciała wiedzieć Lisa. - Wczoraj, gdy cię nie było, na kolację przyjechali Jim i Mikki. Kiedy Aryn przywiózł Laurę, oni stwierdzili, że w ogóle nie jest do siebie podobna. Jim chyba rozmyślał o tym całą noc i nie mógł zasnąć, więc zwierzył się Paulowi. Zdecydowali wspólnie, że przyjadą do mnie i pytają, czy mam zupełną pewność, że to Laura, bo oni mają wątpliwości.

- I co im powiedziałaś? - Lisa próbowała powstrzymać emocje, ale w środku się gotowała. Zrobiło jej się niedobrze.



- Powiedziałem: „Chłopaki, chyba znam własną córkę? Oczywiście, że to ona”. Ale Jim nie dawał za wygraną, więc obiecałem mu, że zrobię wszystko, aby upewnić się, że to na sto procent Laura.

Konfrontacja z przyjaciółmi na parkingu w połączeniu z rozmową z Lisą wprawiły Dona w rodzaj odrętwienia, którego znaczenia nie potrafiłby wskazać.

- Masz rację. Musimy coś zrobić, żeby się upewnić. Rozmawiałeś z mamą?

- Nie, ale chyba muszę to natychmiast zrobić.

Gdy Don i Lisa rozmawiali, do ośrodka przyjechała Susie.

Podeszła do nich, a na jej twarzy malował się niepokój.

- Zastanawiacie się, czy to Laura, czy nie, prawda? - od razu przeszła do rzeczy.

- Przyjechał Jim z Paulem. Jimowi wydawało się, że dziewczyna, którą widział wczoraj, to nie Laura. Rozmawialiśmy z Lisą o tym, że musimy się upewnić i zrozumieć, co się dzieje - Don próbował uspokoić żonę.

Susie poczuła, jak miękła jej kolana.

- Co masz na myśli?

- Wiesz może, kto identyfikował ofiary wypadku? - wtrąciła się Lisa. - Można by zadzwonić do tych osób i popytać.

- Dobry pomysł. Okej, ja z mamą pojedziemy do domu, podzwonimy i zobaczymy, czy coś się wyjaśni. Ty chyba powinnaś zostać. Laura zaraz będzie miała sesję i ktoś z nas powinien przy niej być.

Lisa zgodziła się zostać.

- Zadzwońcie, jak tylko czegoś się dowiecie - patrząc, jak rodzice wsiadają do samochodu, poczuła, jak oblewa ją fala niepokoju. -1 pośpieszcie się! - dodała.

Stała tak jeszcze bez ruchu przez długi czas, nie wiedząc, co robić. „Zbyt wiele pytań. Zbyt wiele pytań, których nie chcę. Wiem, że muszę iść do niej na następną sesję terapeutyczną. Kimkolwiek ona jest”. Nawet jeśli to nie była Laura, Lisa zdążyła ją pokochać. „Nie chcę mieć wrażenia, że ją opuściliśmy”. Chodziła niespokojnie wokół parkingu, trzęsąc się cała. „Ale kim ona jest? Jeśli naprawdę nie jest moją siostrą, to czy raniliśmy jej uczucia, nazywając ją nieprawdziwym imieniem i zachowując się jak jej rodzina? Jej rodzina. Jeśli to Whitney, musi się zastanawiać, czemu nie ma przy niej jej bliskich. Nie wiem, co mam robić”.

Chociaż obiecała rodzicom, że z nikim nie będzie się tym dzielić, zadzwoniła do przyjaciółki, Deb, która też była kiedyś opiekunką na obozie.

- Muszę ci coś powiedzieć, ale wiem, że to zabrzmie niewiarygodnie. Po prostu nie wiem, co mam robić - wyrzuciła z siebie Lisa, po czym w skrócie opisała całą sytuację. Kiedy oznajmiła, że Laura może być kimś innym, usłyszała w słuchawce ciężkie westchnienie. Deb szybko wzięła się w garść i próbowała uspokoić Lisę. Poleciała jej także zostać przy „Laurze” aż do wyjaśnienia wszystkich kwestii. Lisa podziękowała przyjaciółce, postanowiła zebrać się w sobie, weszła z powrotem do budynku i udała się do pokoju Laury. Po drodze zadzwoniła do rodziców, ale nie odbierali. „Czemu to tak długo trwa?” - zastanawiała się.

Tego dnia plan zajęć Laury otwierała fizjoterapia. Terapeutka wzięła piłkę plażową, wręczyła ją Laurze i poleciła:

- Rzuć, proszę, piłkę do siostry.

Lisa wzdrygnęła się. „Tak nie można. Może nie jestem jej siostrą. Jeśli to prawda, to co ona musi sobie teraz myśleć? Jak bardzo musi być zdezorientowana!“. Na zewnątrz nie było tego widać. Uśmiechnęła się i rozwarła ramiona.

- Rzucaj - zawołała.

Przez całą sesję Lisa ani razu nie zwróciła się do dziewczyny po imieniu. Nie potrafiła się zmusić do tego, by nazwać ją Laurą. A na Whitney było jeszcze za wcześnie.

Gdy Don i Susie wrócili do Spectrum, Lisa na moment opuściła pokój, aby z nimi porozmawiać.

- No i...? - czekała na relację.

- Rozmawiałem z jedną z osób, które uczestniczyły przy identyfikacji ofiar - głos Dona zadrżał.

-I co? , Don westchnął głęboko.

- Można mieć wątpliwości. Lisie zrobiło się niedobrze:

- Dobra, czyli co robimy?

- Nie jestem pewien. Musimy porozmawiać z ludźmi z ośrodka i zapytać, jaki będzie najlepszy sposób na identyfikację - stwierdził Don. Susie się nie odzywała.

Mimo zawrotów głowy Lisa wróciła na salę, na której terapia dobiegała końca. Podziękowała terapeutce i wyprowadziła dziewczynę na wózku inwalidzkim na korytarz i dalej, w stronę jej pokoju. Idąc korytarzem, zmieniła trasę i wjechała

do pustego skrzydła, gdzie zatrzymała wózek. Stała przed dziewczyną tak, by móc spojrzeć jej w oczy. Kucnęła i zaczęła rozmowę:

- Świetnie ci dzisiaj szło. Jestem z ciebie bardzo dumna. Pracujesz naprawdę solidnie. Bardzo mnie to cieszy.

— Dziękuję.

- Mogę zadać ci pytanie?

Dziewczyna przytaknęła.

-Jak masz na imię?

-Whitney.

-Tak, dobrze. Bardzo dobrze. A jakie nazwisko noszą twoi rodzice?

- Cerak. Lisa poczuła się, jakby coś stanęło jej w gardle.

- Czy ty teżnosisz takie nazwisko?

- Tak - odpowiedziała dziewczyna ledwo słyszalnym głosem.

- A powiesz mi, jak twoi rodzice mają na imię? - głos Lisy nieco się załamał, ale udało jej się powstrzymać łzy.

- Newell i Colleen.

- Oo! Świetnie. Doskonale ci idzie. Jestem z ciebie dumna. W jednej chwili wszystkie obawy, jakie miała poprzedniego

wieczora, stały się rzeczywistością. Dziewczyna, którą Van Rynowie opiekowali się przez ostatnie pięć tygodni, nie była jej siostrą! Lisę zaskoczyła własna reakcja na to straszliwe odkrycie. Nie poczuła się tak, jakby ktoś ugodził ją w serce. Wiedziała, jak ważna była krótka rozmowa sprzed kilku sekund, i postanowiła ją zachować w pamięci. Poczowała przedziwną

wież z dziewczyną na wózku inwalidzkim. Wszystkie niedorzeczności, jakie wypowiedziała Whitney w ciągu ostatnich dni, nabrały nagle sensu. Lisa zawiozła ją korytarzem do jej pokoju. Za parę minut przyszła pielęgniarka i zabrała dziewczynę na kolejną sesję terapeutyczną. Lisa udała się na poszukiwanie rodziców.

- Powiedziała, że nazywa się Whitney Cerak - oznajmiła Lisa, z trudem łapiąc oddech. - Powiedziała też, że jej rodzice mają na imię Newell i Colleen.

Don poczuł, że drętwieje.

- Czyli to już chyba wszystko potwierdza, co? - skonstatował.  
- Nie ma szans, żeby Laura знаła takie fakty.

Susie chwyciła go za ramię i zaczęła łkać.

- Też tak pomyślałam. No i co teraz?

- Musimy pogadać z Cindy Barrus, żeby wezwać prawdziwych rodziców i to potwierdzić.

- Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę - odezwała się Susie. - Najzwyczajniej w świecie: nie wierzę!

Don i Susie udali się zaraz do gabinetu Cindy, który mieścił się tuż przy jednej z sal terapeutycznych, a Lisa czekała na nich na ławce w poczekalni. Zanim zapukali do drzwi, przeszli obok „Laury” ćwiczącej z terapeutką na drążkach.

- Lauro! - ucieszyła się terapeutką. - To było świetne! Pokażesz swoim rodzicom, czego się nauczyłaś?

Don i Susie usłyszeli, jak dziewczyna mamrocze: „Nie moim”.

„Ma rację - pomyślał Don. - Chyba ma rację, niech jej Bóg błogosławi”.

Zapukali do drzwi Cindy i weszli do środka. Cindy stała przy biurku i przywitała ich słowami:

- O, miło was widzieć. W czym mogę wam pomóc?

- Cindy - zaczął niepewnie Don. - Wydaje nam się, że to nie jest Laura.

Cindy odetchnęła głęboko, usiadła na krześle i położyła dłonie na piersi.

- Wiele faktów to potwierdza, więc jesteśmy prawie pewni. Potrzebujemy czegoś, co da nam stuprocentową pewność co do tożsamości dziewczyny. Myśleliśmy o odciskach palców albo czymś podobnym - ciągnął Van Ryn.

Twarz Cindy pobladła.

-Tak, być może będzie to możliwe.

- Znaleźliśmy w domu akt urodzenia Laury, ale na nim był tylko odcisk stopy - tłumaczył Don.

- No to będzie problem - wyjąkała Cindy. Nie nadążała myślami za tym, co słyszała.

- A dane dentystyczne? - Don się nie poddawał. - To by wystarczyło?

- Jak najbardziej - zgodziła się Cindy. - Znam dentystę sądowego. Myślę, że mógłby wam pomóc.

Wszyscy troje skierowali oczy na zegar.

- Dochodzi siedemnasta. Jeśli mamy to zrobić, musimy zacząć natychmiast - ożywił się Don. - Masz książkę telefoniczną? Nie pamiętam numeru naszego dentysty.

- Tak, pewnie - Cindy podała mu książkę.

Don zadzwonił do dentysty, który zapewnił go, że wszystkim się zajmie.

Kilka minut później Van Rynowie udali się do domu. Cindy obiecała zadzwonić, gdy tylko będzie gotowy raport dentysty.

- Myślisz, że powinniśmy do niej zajrzeć? - zasugerował Don.

Kiedy zadawał pytanie, oboje znali na nie odpowiedź. Byli przekonani, że badanie dentystyczne tylko potwierdzi to, co już uznali za prawdę. Teraz analizowali na nowo wszystkie dziwne zachowania dziewczyny, wszystkie zagadkowe zmiany, które wcześniej tłumaczyli sobie pourazową traumą. Gdy szli korytarzem w kierunku głównego wejścia, Susie mocno chwyciła dłoń Dona.

- Kiedy ją zobaczyłam w sali terapeutycznej... - głos jej się łamał. Przełknęła głośno ślinę i dokończyła, płacząc. - Kiedy ją zobaczyłam, nadal wyglądała dla mnie jak Laura.

- Dla mnie też, Suz. Dla mnie też.

Czy to jest dla mnie test, Panie? Daj mi siłę i pozwól mi wyjść z niego zwycięską ręką. Pomóż mi Cię zrozumieć i pozwól mi nieustannie wierzyć, że Ty nad wszystkim czuwasz. Panie, słyszysz moje modlitwy, znasz moje pragnienia. Napełnij mnie pokojem, a zadowolę się tym, co dla nas wybierzesz. Wiem, że nie jesteś Bogiem okrutnym. Zawsze jesteś przy mnie. Ile jeszcze mogę znieść? Tylko Ty to wiesz. Panie, podtrzymuj mnie dzisiaj.

„Błogosławcie, ludy, naszemu Bogu i rozgłaszajcie Jego chwałę, bo On obdarzył życiem naszą duszę, a nodze naszej nie dał się potknąć. Albowiem Tyś, Boże, nas doświadczył; badałeś nas ogniem, jak się bada srebro. Pozwoliłeś nam wejść w pułapkę,

włożyłeś na nasz grzbiet ciężar; kazałeś ludziom deptać nam po głowach, przeszliśmy przez ogień i wodę: ale wyprowadziłeś nas na wolność" (Ps 66,8-12).

Dzisiaj, Panie, spocznę w Tobie.

*Z modlitewnika Susie, 30 maja 2006 roku*



## Powiedzieć rodzinie

„Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa. On w swoim wielkim miłosierdziu przez powstanie z martwych Jezusa Chrystusa na nowo zrodził nas do żywej nadziei: do dziedzictwa niezniszczalnego i niepokalanego, i niewiędnącego, które jest zachowane dla was w niebie. Wy bowiem jesteście przez wiarę strzeżeni mocą Bożą dla zbawienia, gotowego objawić się w czasie ostatecznym. Dlatego radujcie się, choć teraz musicie doznać trochę smutku z powodu różnorodnych doświadczeń. Przez to wartość waszej wiary okaże się o wiele cenniejsza od zniszczalnego złota, które przecież próbuje się w ogniu, na sławę, chwałę i cześć przy objawieniu Jezusa Chrystusa. Wy, choć nie widzieliście, miłujecie Go: wy w Niego teraz, choć nie widzicie, przecież wierzycie, a ucieszycie się radością niewymowną i pełną chwały wtedy, gdy osiągniecie cel waszej wiary - zbawienie dusz" (1 P 1,3-9).

*Podkreślony powyżej 8. werset był ulubionym biblijnym cytatem Whitney*

Od kiedy Van Rynowie wrócili z Fort Wayne, każdego wieczoru jedli wspólnie kolację w szpitalnym barze w Spectrum. Przeważnie posiłki przynosili im przyjaciele lub ktoś ze wspólnoty kościoła, po czym wspólnie je spożywali. Tej nocy było inaczej.

Don zawołał do siebie obu synów i powiedział im, że zjedzą rodzinną kolację w domu. Ani Kenny, ani Mark nie pytali o powody takiej decyzji, co Don przyjął z ulgą. Nie chciał zdradzić, że coś jest nie tak, a już na pewno nie miał zamiaru przekazywać tej informacji przez telefon.

Krótko po tym, jak razem z Susie i Lisą wrócili do domu, żona zadała mu pytanie:

- Nie powinienesz zadzwonić do Mike'a i poprosić, żeby przyjechał tu zamiast do Spectrum?

Tego dnia o obiad miał się zatroszczyć Mike De Vries z rodziną. Byli to starzy znajomi Van Rynów, którzy mieli nadzieję pobyć z Laurą pierwszy raz od powrotu rodziny do Grand Rapids.

- Racja, prawie bym zapomniał - zmieszał się Don. Zadzwonił do przyjaciela i poprosił, by ten zamiast do szpitala, przywiózł jedzenie do domu. Na pytanie dlaczego, nie potrafił wydusić z siebie odpowiedzi. - Coś się stało - wyjąkał. Przerwał na moment, aby zebrać myśli. - Jesteśmy prawie pewni, że... hmm... dziewczyna, którą się opiekujemy, to nie Laura.

Po drżącym w słuchawce głosie Don poznał, w jakim przyjaciel jest szoku.

- Czy mógłbym coś dla was zrobić? - zapytał Mike.

- Chciałbym - poprosił Don - żebyś przyjechał do nas z obiadem sam i został trochę dłużej. Dobrze by było mieć cię przy sobie, jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

Mike bez wahania zgodził się przyjechać.

Odłożywszy słuchawkę, Don zerknął na zegarek. Usiadł na krześle w jednym końcu pokoju, Susie obok niego na sofie, a Lisa w fotelu na biegunach naprzeciwko.

- No więc jak to zrobimy? - spytała Lisa.

Wszyscy troje próbowali opanować emocje. Dwa poprzednie dni były niezwykle intensywne, sen z powiek spędzała im niepewna już teraz tożsamość dziewczyny w szpitalu, coś, czego nikt nigdy by się nie spodziewał. Dziewczyna, którą uważali za Laure, mogła być w istocie Whitney Cerak. Co oznaczało... Żadne z nich nie odważyło się wypowiedzieć na głos straszliwych wniosków, co do prawdziwości których mieli już pewność. Zdecydowali się poczekać z tym na resztę rodziny.

Susie była bardzo wyciszona.

- Chyba nikt z nas nie chce tego robić - westchnęła. - Szkoda, że musimy - miejsce, okoliczności i osoby obecne w pokoju przypomniały jej o innym dniu sprzed pięciu lat. Musieli wtedy poinformować Marka i Kenny ego o śmierci Matta Van Ryna, ich dwudziestoletniego kuzyna, oraz Mylissy, jednej z ich najbliższych przyjaciółek, którzy zginęli w podobnym wypadku. W ich samochód wjechała ciężarówka niedaleko obozu biblijnego na Półwyspie Górnym. Susie nie chciała przechodzić tego po raz kolejny.

- Nawet nie wiem, w jaki sposób moglibyśmy im to powiedzieć, chyba tylko wprost - stwierdził Don. Oczywiście miał

czerwone i opuchnięte. Przerwał, zebrał się w sobie i zaczął się po cichu modlić: „Boże, pomóż mi. Włóż mi w usta odpowiednie słowa, kiedy będę rozmawiał z chłopcami”.

Niedługo potem przyjechał Mike z jedzeniem. Uściskał Dona i wyraził swoje współczucie z powodu tego, co się stało. Kiedy do kuchni weszły Susie i Lisa, Mike również je przytulił. Wstrząsnął nimi szloch. Wkrótce w domu pojawili się synowie.

- Cześć, chłopaki. Możecie przejść do salonu? - poprosił ich Don. - Musimy pogadać.

Kenny i Mark weszli do pokoju, a na ich twarzach malowało się zdziwienie. Rozejrzeli się po pomieszczeniu, spojrzeli na Susie i Lisę, i już wiedzieli, że stało się coś złego.

- Co się dzieje? - zapytał Kenny. - Coś nie tak z Laurą?

- Usiądźcie. Właśnie o tym musimy pomówić - zaczął Don. O co chodzi? - zaniepokoił się Mark.

Don próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Dowiedzieliśmy się dziś wieczorem, że dziewczyna w szpitalu to nie Laura. Laura zginęła w wypadku razem z Bradem i resztą.

Gdy te słowa rozbrzmiały w salonie, ich waga i znaczenie z całą siłą uderzyły wszystkich zebranych. Nastąpiła eksplozja płaczu i krzyku.

- Niiieee! To niemożliwe!

Don wziął głęboki oddech, z trudem zebrał się w sobie i ciągnął dalej:

- Wiecie, że nie mówilibyśmy wam tego, gdybyśmy nie mieli pewności. Właśnie sprawdzają dane o użębieniu, żeby

ostatecznie potwierdzić tożsamość. Zadzwoń do nas po przeprowadzeniu badania, ale my już znamy odpowiedź - tu opisał najdokładniej, jak potrafił, zdarzenia z ostatnich dwóch dni.

- Nie, nie, nie. Przecież to Laura. Wiem, że to ona. Chyba znam własną siostrę! Jak to możliwe? - oburzył się Mark.

- Tak mi przykro - głos Dona załamał się. - Laura nie przeżyła wypadku.

Wszyscy zaczęli się czule obejmować. Susie cierpiała już nie tylko z powodu straty córki, ale równie silnie odczuwała ból pozostałych dzieci. Wszystkie tłumione przez pięć minionych tygodni emocje, wszystkie lęki przed najczarniejszymi scenariuszami właśnie się urzeczywistniły. Oprócz Brada Larsona, Betsy Smith, Laurel Erb i Moniki Felver 26 kwietnia 2006 roku zginęła również Laura Van Ryn, nie zaś Whitney Cerak.

Don nie mógł sobie poradzić z własnymi uczuciami. Szlochając, padł na kolana i zawołał do swoich bliskich:

- Tak bardzo będę potrzebował waszej pomocy. Wszyscy będziemy się nawzajem potrzebować - Van Rynowie przytulali się do siebie i płakali, klęcząc na podłodze.

Mark i Kenny nie dawali za wygraną:

- Jak to w ogóle możliwe, tato? Jest jeszcze szansa, że sprawdzenie jej uzębienia wykaże, że nie masz racji? Może to jednak Laura?

Nie. Nie sądzę.

- Nie uwierzę w to, zanim nie usłyszę tego od dentysty. Nie wierzę, że to nie Laura - protestował Mark.

Synowie bombardowali Dona, Susie i Lisę kolejnymi pytaniami. Po chwili opanowali się i cała rodzina przeszła do kuchni. Mike pozwolił sobie na uwagę:

- Czy ktoś ma ochotę najedzenie, które przywiozłem? Z tonu jego głosu Don wywnioskował, że głupio mu było o to pytać. Nie było chętnych.

- Bardzo ci dziękuję, że z nami jesteś, Mike - powiedział Don.

Mike jeszcze kilka razy uściskał przyjaciół, pomodlił się za rodzinę i opuścił dom Van Rynów.

Domownicy przeszli z powrotem do salonu i czekali na telefon od dentysty ze Spectrum.

- Nie dam rady tak tu siedzieć. Chodźmy porzucać do kosza - zaproponowała Lisa, na co wszyscy przystali. Po kilku rundach postanowili przejść się po długim podjeździe przed domem. Kiedy ruszyli, Don stwierdził:

- Ale lody to bym zjadł.

- Ja też - powiedziała reszta chórem.

Rodzina zapakowała się do auta i udała się do miejscowej lodziarni. Gdy pałaszowali lody, Lisa pomyślała: „Właśnie tego potrzebowałam. Czegoś zwyczajnego. Czegoś, co zawsze robiliśmy wszyscy razem. Potrzebowałam pograć w kosza. Potrzebowałam przyjść tutaj”. Westchnęła głęboko. To było długie pięć tygodni.

- Hej, Mark - zwróciła się do brata. - Pamiętasz, jak Laura za każdym razem, gdy byliśmy w restauracji, zamawiała to samo co ty, tylko po to, żeby ci dogryźć?

Wszyscy się roześmiali.

- To była chyba jedyna złośliwość, na jaką się w życiu zdobyła - podsumowała Susie. - Ta dziewczyna była stworzona, by czynić dobro. Zawsze taka życzliwa, taka radosna.

- Tak, wiedziała, jak mnie rozśmieszyć - zgodziła się Lisa.

- Miała naprawdę szalone pomysły, typowe dla blondynki.

Im więcej o niej mówili, tym bardziej czuli, że Laura jest wśród nich. Podobało im się to uczucie.

- Tak, ale nigdy nie powiedziała na nikogo złego słowa. Nigdy - dorzucił Don. „Tak bardzo będzie mi jej brakować!”

- pomyślał.

Po powrocie do domu Don wyszedł z telefonem na podjazd i wybrał numer domowy Aryna w Detroit. Bał się tej rozmowy. Odebrał ojciec Aryna, Jim, który wpadł do domu syna, aby pomóc mu w malowaniu. Podobnie jak w noc, kiedy zdarzył się wypadek, chłopaka Laury nie było w domu.

- Muszę powiedzieć ci coś ważnego, więc lepiej zejdz z drabiny - tu Don przerwał na moment, po czym dokończył:

- Doszło do pomyłki. Dziewczyna w szpitalu to nie Laura. Laura zginęła w wypadku.

Jim nie mógł uwierzyć słowom Dona. Zaczął szlochać i pytać, jak to w ogóle możliwe. Razem z Trbde wiele razy odwiedzał szpital w ciągu ostatnich pięciu tygodni. Laura była im bardzo bliska, w zasadzie traktowali ją już jak synową. Nadal nie dowierzając, obiecał natychmiast odnaleźć Aryna.

Nie minęła godzina, jak chłopak oddzwonił do Dona. Głos mu się łamał i z trudem wyrzucał z siebie słowa:

- Nie, nie, nie. To Laura, ja wiem, że to Laura. Jeśli ktoś miałby to wiedzieć, to właśnie ja.

- Przykro mi - Don próbował powstrzymać łkanie. - Sami nie możemy uwierzyć, ale to prawda. Czekamy jeszcze na wyniki badań dentysty sądowego, ale i bez nich wiemy, że to nie Laura.

- Nie, nie, nie. Nie ma takiej możliwości. To musi być Laura!  
—Tak bardzo mi przykro, Aryn. Chciałbym, żeby to nie była prawda. Tak bardzo bym tego chciał - dalsze słowa wypowiedali przez łzy. Była to najtrudniejsza rozmowa telefoniczna w życiu Dona.

Gdy wrócił do domu, zadzwonił telefon. To była Cindy z ośrodka Spectrum.

- Don, bardzo, bardzo mi przykro - zaczęła. - Dane dentystyczne potwierdziły nasze przypuszczenia. To nie Laura.

- Dziękuję, Cindy. Wiedzieliśmy, że takie będą wyniki. Czyli w szpitalu leży na pewno Whitney Cerak - stwierdził.

- Najprawdopodobniej. Musimy się upewnić... - zająknęła się.  
- Strasznie mi przykro, że musiałam przekazać ci taką wiadomość.

- Nie przejmuj się. Dziękuję, że się tym zajęłaś. Odłożył słuchawkę i cichym głosem poinformował rodzinę:

- Dzwoniła Cindy. Potwierdziła, że to nie Laura.

Van Rynowie znów zaczęli rozpaczać, chociaż innej wiadomości się nie spodziewali.

Kładąc się spać, Lisa pomyślała: „Ciekawe, jak się czuje Whitney?”. Przez ostatnie pięć tygodni cała rodzina Van Rynów otaczała ją miłością i opieką. Odkrycie, że nie jest osobą, za którą ją uważali, w niczym nie zmieniło faktu, że pragnęli jej szybkiego wyjścia ze szpitala i powrotu do zdrowia. Lisa



nie tylko wciąż myślała o Whitney, lecz również stale się za nią modliła, tak samo gorliwie, jak przez ostatnie pięć tygodni.

Jedyne, co się zmieniło, to imię, jakim nazywała dziewczynę, którą jeszcze niedawno uważała za siostrę.

*Środa, 31 maja 2006 roku, godz. 13.00* Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki"(Hbr 13,8). To, co nas szokuje, nie szokuje tego, który nas stworzył. Podzielę się dzisiaj z Wami okropną wiadomością. Serca nam pękają na wieść, że dziewczyna, którą opiekowaliśmy się przez ostatnie pięć tygodni, nie jest naszą kochaną Laurą. Tojej koleżanka z Uniwersytetu Taylora, Whitney Cerak. Podczas identyfikacji ofiar na miejscu wypadku doszło do pomyłki, gdyż podobieństwo między dziewczynami było niesamowite. Miały podobne figury, kolory włosów i fryzury, rysy twarzy itp. W ostatnich dniach Whitney stawała się coraz bardziej świadoma otaczającej ją rzeczywistości i zaczęła się dziwnie (w naszym mniemaniu) zachowywać oraz mówić rzeczy, które sprawiły, że musieliśmy w końcu za kwestionować jej tożsamość. Wczoraj rozmawialiśmy z dyrekcją ośrodka Spectrum i rozpoczęliśmy procedurę ostatecznej identyfikacji. Dzisiaj wiemy już bez cienia wątpliwości, że to Whitney.

Rodzina Ceraków przyjechała z Gaylord i mieliśmy przyjemność spotkać się z nimi dziś rano. Oprócz tego, że omówiliśmy szczegóły działań, jakie należy podjąć w nadchodzących dniach, zrelacjonowaliśmy im także niesamowite postępy Whitney z ostatniego miesiąca. Taki obrót spraw jest dla nas źródłem smutku, ale i radości. Będziemy opłakiwać odejście Laury i tęsknić za jej współczującym i pełnym słodczy sercem, ale też będziemy cieszyć

się z jej bezpieczeństwa i wiecznego szczęścia w niebie. Radujemy się również z Cerakami, że dane im będzie przeżyć jeszcze wiele chwil z ich ukochaną córką i siostrą. Pragniemy także podziękować Wam za wszystkie modlitwy za naszą i inne rodziny ofiar. Wasza miłość i wsparcie były wspaniałe. Mamy nadzieję, że rodzina Ceraków będzie uzupełniać ten blog w imieniu Whitney, abyśmy mogli nadal modlić się wspólnie za jej wyzdrowienie. Proszę, nadal odwiedzajcie tę witrynę, a poinformujemy Was o zmianach. Także tutaj zamieścimy informacje o nabożeństwie pogrzebowym Laury. Mamy nadzieję, że uda nam się zorganizować je w nadchodzącą niedzielę. Jeszcze raz dziękujemy za otrzymane wsparcie. Nie ustawajcie w modlitwie. Bóg jest dobry i nadal jest nam pomocą, przewodnikiem i opiekunem.

Kochamy Was, Najdrożsi.

*Wpis na blogu umieszczony przez Lisę Van Ryn*

*Środa, 31 maja 2006 roku, godz. 15.15* Nabożeństwo pogrzebowe Laury zostało wyznaczone na niedzielę, 4 czerwca 2006 roku, o godzinie 15.00. Po nim odbędzie się przyjęcie. Miejsce: Kentwood Community Church.

*Wpis na blogu umieszczony przez Lisę Van Ryn*

Laura Jean Van Ryn,

To będzie mój ostatni list do Ciebie. Przez minione 35 dni moje serce i umysł przeszły więcej, niż ktokolwiek mógłby przejść. Przepraszam, Lauro, że nie poznałem, że to nie Ty. Czuję, że spośród wszystkich to właśnie ja powinienem był wiedzieć Lauro,

przepelnia mnie ogromny żal i wypłakałem już tak wiele łez. Byłaś wspaniałą dziewczyną, która dotarła do mojego serca jak nikt inny. Już nie mogę się doczekać, kiedy znowu się spotkamy. Nie potrafię nawet określić, który dzień był ostatnim dniem naszego związku. 26 kwietnia 2006 roku, czyli najgorszy dzień mego życia, czy 30 maja 2006 roku - ten, w którym zrozumiałem, że to koniec? Moje serce zawsze będzie należeć do Ciebie. Nie było nam dane się sobą nacieszyć. Co mam zrobić teraz?...

*Fragment pożegnalnego listu Aryna do Laury. Podczas śpiączki „Laury” Aryn pisał do niej przynajmniej jeden list dziennie*

*Czwartek, 1 czerwca 2006 roku* „Przez wiarę Abraham, wystawiony na próbę, ofiarował Izaaka, i to jedyne syna składał na ofiarę, on, który otrzymał obietnicę, któremu powiedziane było: Z Izaaka będzie dla ciebie potomstwo. Pomyślał bowiem, iż Bóg mocen wskrzesić także umarłych, i dlatego odzyskał go, jako podobieństwo [śmierci i zmartwychwstania Chrystusa]”. (Hbr, 11,17-19).

Jadąc do Grand Rapids, nie potrafiłam przestać myśleć o tym fragmencie. Nie wierzyłam, że moja siostra może być w szpitalu. Byłam przekonana, że to jakaś pomyłka. Gdy weszłam do szpitalnej sali, doznałam szoku i poczułam wielką radość.

Krótko po tym, jak zobaczyliśmy Whitney, spotkaliśmy się z Van Rynami. Wtedy nasza radość ustąpiła miejsca współczuciu w obliczu ich tragedii. Van Rynowie byli dla Whitney wspaniali, jesteśmy im bardzo wdzięczni za opiekę, jaką ją otoczyli. Teraz łączymy się z nimi w cierpieniu, a nasze serca rozrywa ból. Między naszymi rodzinami powstała głęboka więź. Przechodzimy przez to wspólnie, oczekując wsparcia od Boga.

## Powrót z zaświatów

Whitney zaczęła sporządzać listę osób, które chciałyby zobaczyć. Zaczęła od taty, który wracał z Nowego Jorku z grupą młodzieży. Nalegała, byśmy do niego zadzwoniły. Kiedy rozmawiała z nim przez telefon, powiedziała, że go kocha i żeby przyjechał.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Carly Cerak*

Newell odłożył słuchawkę z niedowierzaniem, które paraliżowało. Właśnie dzwoniła Colleen ze szpitala i potwierdziła, że córka, którą pochowali, tak naprawdę żyje.

Usiadł, złapał się za głowę i powiedział do siebie:

- Muszę wracać do domu. Muszę jechać do Whitney. Już!
- krzyknął. - I muszę o tym komuś powiedzieć!

Newell był z grupą młodzieży w kościele w New Jersey, około 60 kilometrów od Manhattanu. Kościół prowadziła jego siostra Joan wraz z mężem. Joan i reszta rodziny już nie spali, kiedy kilka minut przed siódmą Newell zaczął dobijać się do drzwi ich mieszkania. Siostra otworzyła drzwi i wlepiła w niego wzrok.

- Muszę z tobą pogadać - rzucił, po czym szybkim krokiem wszedł do środka.

- Coś się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Nie wiem, jak to powiedzieć, ale przed chwilą miałem telefon od Colleen. Joan, Whitney żyje! - w oczach siostry Newell wyczytał, że kompletnie go nie rozumiała. Musiała chyba pomyśleć, że jej brat naprawdę zobaczył ducha.

- Nie, nie, nie. Nic nie rozumiesz. Osoby, które identyfikowały ofiary na miejscu wypadku, pomyliły się. Dziewczyna,

którą pochowaliśmy, to nie była Whitney. Nasza córka żyje, jest w szpitalu w Grand Rapids - tłumaczył. Joan krzyknęła i upadła na podłogę.

- Nie wierzę!

Newell uklęknął przy niej i objął ją ramieniem. Trwali w uścisku przez dłuższy czas, aż do pokoju wszedł Andrew, mąż Joan.

- Co się dzieje? - zdziwił się.

Gdy usłyszał wieści od Newella, zareagował tak jak żona.

- Mam nadzieję, że się nie pogniewacie - odezwał się Newell, gdy już udało mu się wytłumaczyć szwagrowi, że Whitney naprawdę żyje - ale chyba wyjedziemy nieco wcześniej.

Wycieczka miała zgodnie z planem potrwać jeszcze jeden dzień.

- Chyba żartujesz! - oburzyła się Joan. - Już cię tu ma! Leć! - siostra nie potrafiła opanować swojej radości i zaczęła wykrzykiwać: - Whitney żyje! Alleluja! Żyje!

Wychodząc, Newell poprosił ją jeszcze, by poinformowała całą rodzinę. Oczywiście nie mogła się tego doczekać.

Newell wrócił do akademika, w którym spali jego uczniowie. Zerknął na zegarek i odkrył, że było dopiero wpół do ósmej. Zeszłej nocy wrócili na kampus po północy, ale nikt nie położył się spać przed pierwszą. „Mogą się przespać w autobusie” - pomyślał sobie i pognął do skrzydła dziewcząt, którym urządził pobudkę:

- Wszyscy mają natychmiast opuścić łóżka, spotykamy się przy stole na środku kampusu. Muszę wam coś powiedzieć - to samo powtórzył chłopcom. Podopieczni Newella,

zbiegając po schodach, zadawali sobie pytania: „Coś się stało? Zrobiliśmy coś nie tak? Oberwie się nam?”. Kiedy wszyscy byli już na dole, Newell oznajmił:

- Właśnie otrzymałem wiadomość, że doszło do pomyłki podczas identyfikacji ofiar po wypadku vana Uniwersytetu Taylora. Whitney nie umarła. Ona żyje.

Nastąpiła głucha cisza. W końcu ktoś wykrzyknął:

- Co takiego?

- Powiedziałem, że w nocy, kiedy zdarzył się wypadek, ktoś popełnił błąd podczas identyfikacji zwłok. Whitney nie zginęła w wypadku. Żyje i leży teraz w szpitalu w Grand Rapids. Właśnie o mnie pytała.

- No to jedziemy! - zawołał jeden z uczniów. Niektórzy zaczęli płakać. Inni śmiali się od ucha do ucha. Wkrótce wszyscy już płakali i przytulali się.

- Więc jeśli nikt nie ma nic przeciwko, skrócimy wycieczkę o jeden dzień - Newell uśmiechnął się szeroko. Wszyscy byli za. Szybko rozbiegli się do swych pokojów, żeby się spakować. Pół godziny później ich autobus pędził autostradą, a siedzący za kierownicą Newell wciskał pedał gazu. Nie mógł się doczekać spotkania z córką.

W tym samym czasie w Grand Rapids Van Rynowie wybierali się do szpitala Spectrum. Cindy Barrus zaprosiła obie rodziny na spotkanie, które miało się odbyć o ósmej rano.

- Pojedźmy moim samochodem - zaproponował Don. On i Susie usiedli z przodu, a Lisa, Mark i Kenny z tyłu.

Wsiadając do auta, Lisa rozejrzała się dookoła. „Teraz wszyscy mieścimy się w jednym - pomyślała. - Teraz jest nas tylko

piątka i możemy jechać jednym samochodem". Na samą myśl przeszedł ją dreszcz.

Cindy przywitała Van Rynów w progu i wprowadziła ich do sali konferencyjnej.

- Już są? - spytała Susie.

- Tak, właśnie przyjechali. Są teraz u Whitney - odparła Cindy, a Susie poczuła, że w jej oczach zbierają się łzy.

Van Rynowie weszli do sali konferencyjnej i przywitali się z asystentem koronera i zastępcą szeryfa z hrabstwa Grant. Don poprosił obu urzędników na korytarz i spytał:

-Jak to się mogło stać? Jak w ogóle mogło dojść do takiego błędu?

Nie mówił tego oskarżycielskim tonem. Po prostu chciał poznać sposób, w jaki zidentyfikowane zostały ofiary wypadku, oraz dowiedzieć się, czemu Whitney została uznana za Laurę.

- Wie pan, panie Van Ryn, tak poważne wypadki jak ten... - zaczął jeden z nich.

Obaj wydali się Donowi przyjaźni, ale ich odpowiedzi były raczej wymijające. Zależało mu jedynie na wyjaśnieniu sprawy.

- Nie jestem tu po to, by kogokolwiek obwiniać. Chcę tylko zrozumieć, co się stało.

Urzednicy zaczęli opowiadać, że w zamieszaniu panującym na miejscu wypadku ratownicy znaleźli obok jednej blondynki portfel z prawem jazdy Laury. Twarz na zdjęciu była podobna, więc uznali, że ta dziewczyna to Laura. Później tożsamość ofiar potwierdziło trzech pracowników uniwersytetu.



- Czy rodziny były wzywane, aby dokonać ostatecznej identyfikacji? - dociekał Don. Urzędnicy nie znali odpowiedzi na to pytanie.

Rozmawiali jeszcze chwilę, po czym Don podziękował za spotkanie i dołączył do rodziny w sali konferencyjnej. Usiadł obok Susie, która była wyraźnie wstrząśnięta.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał.

- Mam nadzieję, że nie będą na nas wściekli, że przez tyle czasu nie odkryliśmy pomyłki. Nie wyobrażam sobie, co mogą o nas myśleć. Pewnie im się wydaje, że kierowała nami jakaś fałszywa nadzieja. Boję się, że może się im zdawać, że chcieliśmy zabrać im córkę.

Zanim Don odpowiedział, do pomieszczenia weszły Colleen, Carly i Sandra, a za nimi Jim Mathis. Susie podeszła do Colleen i uściskała ją. Jej obawy zniknęły w mgnieniu oka. Szepnęła Colleen do ucha:

- Cieszę się waszym szczęściem - na te słowa Colleen wybuchnęła płaczem i uściskała Susie jeszcze mocniej. Susie dodała: - Wiemy, jak się teraz czujecie. To wspaniale, że odzyskaliście córkę.

Colleen rozluźniła uścisk i spojrzała Susie w oczy.

- Chcę wam powiedzieć, że bardzo cierpimy z waszego powodu.

Susie wiedziała, że Colleen doskonale rozumie sytuację, w jakiej znaleźli się Van Rynowie.

Lisa podeszła do Cindy i Sandry i przytuliła je. Zanim przybyli Cerakowie, Lisa czuła niepokój, który mieszał się z entuzjazmem. Podobnie jak jej mama obawiała się reakcji

Ceraków. Jednak silniejsza była w niej chęć przedstawienia im postępów Whitney w ciągu całych pięciu tygodni od wypadku oraz opisanie jej obecnego stanu zdrowia.

Wszyscy się ściskali. Rodziny szybko odkryły, co jeszcze je łączy. Kilka miesięcy wcześniej Jim Mathis stał na czele wyprawy misyjnej do Dominikany. Jednym z wolontariuszy był wtedy Mark Van Ryn.

Gdy emocje nieco opadły, obie rodziny usiadły przy stole naprzeciw siebie. Pierwszy przemówił Don:

- Wiemy, że pewnie uważacie nas za skończonych kretynów, którzy nie potrafią rozpoznać własnej córki. To długa historia. Myślę, że kiedyś będziemy mieli okazję, żeby opowiedzieć wam o wszystkich szczegółach. Na razie jednak chciałbym tylko, żebyście wiedzieli, że byliśmy święcie przekonani, że dziewczyna w szpitalu to Laura, i nie mieliśmy powodów, aby w to wątpić. Pragnęliśmy, byście przyjechali, gdy tylko odkryliśmy prawdę. Przykro nam, że trwało to tak długo.

- Proszę was, nie przepraszajcie. Nie macie za co. Bardzo doceniamy to, co zrobiliście dla Whitney przez te pięć tygodni - rzekła Colleen.

- Wiele przeszła. Cieszymy się, że teraz może już być ze swoją prawdziwą rodziną. Ostatnią rzeczą, jakiej byśmy sobie życzyli, było utrzymywanie jej w błędzie i niewiedzy. Mamy nadzieję, że nie namieszaliśmy jej za bardzo w głowie. Ale najbardziej cieszy nas fakt, że macie z powrotem swoją córkę - wyznał Don.

Colleen położyła ręce na sercu. Głęboko ujęło ją, że Van Rynowie potrafili cieszyć się ich szczęściem mimo własnej straty. Przełknęła głośno ślinę i powiedziała:

- Dziękujemy. I dziękujemy za pokochanie naszej córki jak swojej własnej. Chcę też powiedzieć, jak jest nam przykro z powodu waszej straty. Znamy ten ból. Przykro nam, że musicie przez to przechodzić.

Don podziękował. W głębi duszy zaakceptował już fakt, że Laura zginęła 26 kwietnia 2006 roku. Nie był zły na Boga za to, że im ją odebrał. „Codziennie rodzice muszą grzebać swoje dzieci. Czemu miałbym zakładać, że Bóg właśnie nas uchroni przed taką koniecznością?” - ta myśl nieustannie przechodziła mu przez głowę od mniej więcej dwudziestu czterech godzin. Mówił prawdę, kiedy zapewniał Cera-ków, że cieszy się ich szczęściem. Wiedział, jak to jest, gdy córka przeżywa wypadek, z którego nie miała prawa wyjść cała. Teraz rozumiał radość, która była ich udziałem. Cała rodzina Van Rynów szczerze dzieliła tę radość.

- Nie czas teraz na zdawanie wam relacji o jej stanie zdrowia, myślę, że zajmie się tym personel szpitala. Mogę wam tylko powiedzieć, że nie znosi kołnierza ortopedycznego. Któregoś dnia zerwała go z szyi chyba z piętnaście razy - opowiadał Don. Wszyscy się roześmiali.

W trakcie tej rozmowy do pomieszczenia weszła pielęgniarka i wzięła Colleen pod rękę.

- Woła do siebie mamę - szepnęła.

Colleen uśmiechnęła się i zwróciła się do wszystkich:

- Przepraszam, ale muszę iść.

Carly i Sandra podążyły za nią.

Susie odetchnęła z nadmiaru wrażeń. „Na taką chwilę czekałam przez całe pięć tygodni. Na moment, w którym by mnie po raz pierwszy rozpoznała”. Wyciągnęła rękę i podała ją Donowi. Po jej policzku spłynęła łza, gdy wyznawała:

- Teraz jest dobrze. Tak miało być. Tak się cieszę, że gdy zawołała mamę, jej mama była w pobliżu.

## OŚRODEK SPECTRUM

### **Informacja prasowa: Bruce Rossman**

### **Rodziny Laury Van Ryn oraz Whitney Cerak wspólnie wydają następujące oświadczenie prasowe**

Odkrycie, że młoda kobieta, leczona w ośrodku Spectrum Health Continuing Care Center to Whitney Cerak, a nie Laura Van Ryn, budzi przeróżne emocje. Obydwie dziewczyny były bardzo podobne zarówno pod względem budowy ciała, wzrostu, jak i rysów twarzy.

W miarę jak dolegliwości Whitney ustępowały, a ona sama stawała się bardziej świadoma otaczającej ją rzeczywistości, jej wypowiedzi dały początek wątpliwościom Van Rynów co do tożsamości dziewczyny. Wątpliwościami tymi podzielili się oni z personelem ośrodka, który wszczął procedurę porównania danych dentystycznych. We wtorek późnym wieczorem okazało się, że dane o uzębieniu Laury nie zgadzają się z danymi pacjentki ośrodka. Tożsamość Whitney została potwierdzona również w środę rano dzięki jej danym dentystycznym sprzed wypadku.

Fizyczne podobieństwo obu dziewczyn to nie wszystko. Laure i Whitney - jak również ich rodziny - łączy także silna wiara w Jezusa Chrystusa i poczucie zjednoczenia w Jego miłości. Rodziny wspierają się wzajemnie w modlitwie. Za duchowe wsparcie pragną podziękować swoim bliskim, przyjaciołom oraz lokalnym społecznościom. Rodziny przechodzą obecnie trudny okres i proszą wszystkich o uszanowanie ich prawa do prywatności.

*Notatka prasowa wydana przez obie rodziny za pośrednictwem ośrodka Spectrum, ! czerwca 2006 roku*

Kościelny autobus pędzący autostradą 1-80 z trudem utrzymywał stałą prędkość, wspinając się po wzgórzach Pensylwanii, ale Newell nie zdejmował stopy z pedału gazu. Stracony czas nadrabiał na zjazdach. Silnik warczał, a wskaźnik temperatury wariował. Newell nie zwracał na to uwagi i nie zamierzał zwalniać. Po kilku godzinach męczącej nocnej jazdy pozwolił, żeby zastąpiono go za kółkiem. Przeszedł na tył autobusu, by trochę odpocząć. Włączył telefon komórkowy i od razu zadzwonił do szpitala.

- Tato? - usłyszał.

- Cześć, Carly. Jak tam sprawy?

- Całkiem nieźle. Mam tu kogoś, kto chce ci coś powiedzieć.

Carly przekazała telefon i Don usłyszał cichy, ledwie słyszalny głos:

- Cześć, tato. Tęsknię za tobą. Pośpiesz się.

Ten głos należał do Whitney. Newell z najwyższym trudem wydusił z siebie tylko:

- Jadę, Whit. Jadę do ciebie.

Odłożył komórkę i zamknął oczy. Nie dane mu jednak było wypocząć, bo po chwili zadzwonił do niego brat Colleen. A potem jeszcze jego brat i inni krewni. Na koniec zadzwonił ktoś z numeru, którego Newell nie znał.

- Dzień dobry, panie Newell. Mówi producent Dianę Sawyer z ABC News - był to (jak się potem okazało) pierwszy z licznych telefonów, jakimi nękały go różne media. Gdy w końcu spytał producenta programu „Today”, w jaki sposób zdobył jego numer, usłyszał w odpowiedzi: - Otrzymaliśmy go od pana Franka, z tego, co mi wiadomo, pańskiego teścia.

Usłyszawszy to, Newell przeprosił i natychmiast zadzwonił do Colleen. Razem doszli do wniosku, że reporterzy trafili do jej rodziców po nekrologach Whitney. Gdy zadzwonili z mediów, ojciec Colleen tak się podekscytował wieściami, że bez wahania podał numer komórkowy Newella, nie zastanawiając się nawet, kto o niego prosi. I tak telefon Newella nie przestawał dzwonić przez całą drogę powrotną. Nie dane mu było się zdrzemnąć.

Niedługo po tym, jak Newell przekazał prowadzenie autobusu innemu kierowcy, dojechali do strefy robót drogowych. Z dwóch pasów przejezdny był jeden, gdyż drugim jechały samochody zmierzające w przeciwnym kierunku. Dwupasmowa autostrada zamieniła się w jednopasmową drogę przedzieloną przez środek betonową barierą. Ruch gęstniał, więc wkrótce autobus musiał się zatrzymać. Po kilku chwilach silnik zakaszłał, a potem stanął na dobre. Przegrzał się. Odezwały

się klaksony. Autobus zablokował cały pas i żadne auto nie mogło przejechać.

- Co się stało? - zawołał Newell, biegnąc na przód autobusu.

- Nie wiem - odparł kierujący pojazdem Dave. - Paliwa mamy sporo. Nie wiem, co jest grane.

- Może wyjdę i sprawdzę - zaproponował Newell. Jednak betonowa bariera sprawiła, że wyjście z autobusu stało się niemożliwe. Dlatego Newell poszedł na tył pojazdu, otworzył okno, wyszedł przez nie i stanął na barierze. Otworzył pokrywę silnika, ale nie wiedział, co robić dalej. „Fajnie by było mieć jakieś pojęcie o mechanice” - westchnął. Ponaciskał kable, sprawdził pasy i wężyki. - Spróbuj teraz - zawołał do kierowcy.

Autobus odpalił od razu. Prawdopodobnie silnik się ochłodził. Newell zatrzasnął pokrywę, wskoczył na barierę, a dwóch uczniów wciągnęło go za rękę do środka. Znowu jechali do Michigan.

Colleen, Carly i Sandra nie miały zamiaru opuszczać Whitney. Razem z nią uczestniczyły w sesjach terapeutycznych, zapoznały się ze Stephanie oraz z innymi osobami pracującymi z dziewczyną.

- Chyba próbujemy nadrobić stracony czas - Colleen zagadnęła Stephanie. - Tyle już przegapiłyśmy. Nie chcemy przegapić więcej.

Whitney była wycieńczona tak emocjonującym dniem, dlatego ta sesja terapeutyczna była krótsza niż zwykle. Gdy trafiła z powrotem do swego pokoju, by odpocząć, czekała

na nią cała rodzina. Sandra usiadła przy Whitney i zaczęła czesać jej włosy. Kiedy dziewczyna poszła spać, Carly położyła się przy niej i również ucięła sobie drzemkę. Colleen siedziała obok i rozkoszowała się tą chwilą. „Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Nie mogę uwierzyć, że mam z powrotem swoją córeczkę”. Przez cały dzień popłakiwała, siedząc i spoglądając na Whitney. Jej córka żyła!

Podeszła do jej łóżka, kiedy Whitney spała. Dziewczyna miała na nodze szynę, która Colleen wydawała się ogromna, mimo że była nieporównywalnie mniejsza od opatrunku z pierwszych tygodni spędzonych przez Whitney na OIOM-ie w Fort Wayne. Prawa ręka wisiała na temblaku. Colleen przechyliła głowę, aby przyjrzeć się lewemu łokciowi córki. Następnie powiodła palcami wzdłuż wybrzuszenia będącego śladem po urazie kręgów szyjnych. Gdy dotarła do głowy, pogłaskała blond włosy córeczki.

- Nieźle wyglądasz - szepnęła, dotykając wygolonego miejsca po mierniku ciśnienia, gdzie włosy dopiero zaczęły odrastać. Matka obejrzała też dokładnie bliznę po tracheotomii, a potem zerknęła w kierunku brzucha, gdzie bandaże przykrywały nacięcia po rurkach dostarczających pokarm. - Przeszłaś tak wiele, Whit. Przykro mi, że nie mogłam być przez cały ten czas przy tobie - powiedziała cicho. Oglądając ciało córki, Colleen zauważyła, jak bardzo ta schudła, zwłaszcza jej ręce i nogi. Whitney zawsze miała atletyczną budowę. Pięć tygodni leżenia w szpitalnym łóżku zrobiło swoje.

Stojąc tak nad córką, Colleen nie potrafiła oprzeć się pewnej myśli: „A co, gdybyśmy pojechali obejrzeć zwłoki? Czy



odkryłabym pomyłkę już wtedy, a nie dopiero po pięciu tygodniach? Czy uniknęlibyśmy tego wszystkiego, gdybyśmy się wtedy w szpitalu zdecydowali na identyfikację córki?". Westchnęła głęboko, próbując odpędzić te i podobne myśli, ale nie była w stanie. „Co by było, gdyby Carly identyfikowała ciało? Czy ona odkryłaby pomyłkę? A Newell? Jakże inaczej to wszystko by się potoczyło, gdyby Newell zażądał pokazania mu Whitney, kiedy przyleciał z Missisipi". Myślami wróciła do rozmowy, którą kilka tygodni wcześniej przeprowadziła z Carly, gdy ta wróciła na uczelnię na koniec semestru. Carly planowała odwiedzić Laurę w Parkview, ale ich wspólna przyjaciółka, Sara, zaprotestowała. Powiedziała, że dziewczynę może odwiedzać tylko najbliższa rodzina. Colleen zastanawiała się, czemu Sarze tak bardzo zależało, by odwieść Carly od tego zamiaru, tym bardziej że sama była u Laury wiele razy, a przecież nie należała do najbliższej rodziny. „Co by było, gdyby Carly jednak pojechała? Czy rozpoznałaby Whitney? Ciekawe, może Sara odkryła pomyłkę, ale bała się odezwać?...".

Pielęgniarka otworzyła drzwi, przywołując Colleen do rzeczywistości. Whitney się obudziła, usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce. Oczy miała szeroko otwarte. Colleen nie dostrzegła w nich jednak dawnego błysku.

- Przepraszam, skarbie, to tylko ja - odezwała się pielęgniarka.

Whitney z powrotem się położyła. Przez cały dzień, aż do nocy, gdy tylko ktoś wchodził do środka, zrywała się w nadziei, że to jej ojciec. Już wczesnym wieczorem powiedziała mamie

i siostrze, że chciałyby się przygotować na jego przyjazd. Wykapały ją, uczesały włosy i pomogły się umalować.

Podczas gdy Colleen, Carly i Sandra zajmowały się Whitney, Jim Mathis wykonał niezbędne telefony. Zamiast dzwonić do wszystkich znajomych Ceraków, skontaktował się z lokalną rozgłośnią radiową i poprosił ją o ogłoszenie wieści na antenie. Newell i Colleen dowiedzieli się później, że gdy wiadomość dotarła do ludzi, wszystko w mieście zostało zamknięte na całe popołudnie. Colleen zadzwoniła do swojej szkoły, by poinformować dyrektora, który natychmiast zorganizował zebranie w pokoju nauczycielskim. Następnego dnia na korytarzach i w klasach wszyscy powtarzali, że córka pani Cerak żyje.

Mark Vaporis, przyjaciel i kolega z pracy Newella (ten sam, który zawiózł go na lotnisko po otrzymaniu informacji, że Whitney zginęła), natknął się na wycieczkowy autobus Newella w Lansing. Newell pożegnał się z uczniami, wskoczył do samochodu Marka i razem popędzili autostradą 1-96 w kierunku Grand Rapids.

Na szpitalnym parkingu byli o 22.00. Newell rozejrzał się i zawołał:

- Do diaska, skąd tu tyle samochodów? Istne szaleństwo! Szpital zorganizował jego przyjazd tak, by mógł wjechać

wjazdem dla karettek i w ten sposób uniknąć mediów. Wpadł do szpitala, gdzie oczekiwali na niego Colleen, Jim Mathis oraz personel szpitala.

- Gdzie ona jest?

- Tędy, panie Cerak. Czekaliśmy na pana.

Newell popędził korytarzem, a za nim Colleen i Jim. Dobięł do drzwi z napisem „Whitney Cerak” i pchnął je. Whitney podniosła się i wyciągnęła ręce. Newell podbiegł, wziął ją w ramiona i rozplakał się. Dołączyli do nich Colleen, Carly i Sandra. Newell ucałował córkę w czoło i powiedział, że ją kocha. Gdy całą piątką mocno się do siebie przytulili, Whitney odetchnęła głęboko z ulgą, rozluźniła ramiona i powiedziała cichutko do ojca:

- Wracajmy do domu.

## **Nadzieja mimo bólu**

Zwracam się do tych, którzy pytają: „Jak w ogóle mogło do tego dojść?” i ciśnie im się na usta: „Powinniście wnieść skargę”. Bóg nakazuje mi odpowiedzieć miłością i przebaczeniem. Jezus powiedział, abyśmy kochali i modlili się za tych, którzy nas krzywdzą. On sam doznał niesprawiedliwości, którą wybaczył, i wzywa nas, byśmy go naśladowali. Zebraliśmy się dziś tutaj, aby uczcić pamięć Laury.

Pragnę, byście posłuchali słów Jezusa spisanych w Ewangelii według Św. Mateusza: „Wy jesteście światłem świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też światła i nie stawia pod korcem, ale na świeczniku, aby świeciło wszystkim, którzy są w domu. Tak niech świeci wasze światło przed ludźmi, aby widzieli wasze dobre uczynki i chwalili Ojca waszego, który jest w niebie” (Mt 5,14-16).

O tych, którzy odeszli, w takich chwilach najczęściej mówi się same wspaniałe rzeczy. Lecz to, co dzisiaj powiem wam o życiu Laury, będzie tylko prawdą. Jej światło świeciło i nadal oświetla

nam drogę i napętnia nas Boską chwałą. Ktoś napisał na blogu: „Czuję się, jakbym przez pierwsze dwadzieścia jeden lat życia była ślepa. To wasza wiara i oddanie pozwoliło mi ujrzeć światło”. Mam nadzieję, że i Wy ujrzycie dziś jedyne prawdziwe światło-światło Jezusa.

*Mowa wstępna Dona podczas nabożeństwa pogrzebowego Laury, 4 czerwca 2006 roku*

Don oparł drabinę o ścianę domu i wspiął się na dach. Pierwsze parę dni wykończyło go emocjonalnie. Musiał zająć się czymś wyczerpującym fizycznie. Instalowanie klimatyzacji w sypialni na drugim piętrze doskonale wpisywało się w ten plan. Mógł zająć czymś ręce, miał też pewność, że na dachu nikt nie będzie mu przeszkadzał. Właśnie zabierał się do pracy, kiedy spostrzegł na swym długim zacisznym podjeździe zbliżającą się obcą kobietę. Z trudem zdobył się na uprzejmy ton, wołając z dachu:

- W czym mogę pomóc?
- Pan Van Ryn?
- Tak - odpowiedział niepewnie.

Kobieta podała się za dziennikarkę lokalnej stacji telewizyjnej.

- Panie Van Ryn, chcę powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty. Czy mogłabym zadać kilka pytań dotyczących okoliczności śmierci pana córki oraz pomyłki tożsamości?

„Zaczyna się”-pomyślał.

- Wydaliśmy oświadczenie przez ośrodek Spectrum i to wszystko, co mamy do powiedzenia na chwilę obecną - rzucił krótko i wrócił do instalowania klimatyzatora. Nie chciał z nikim rozmawiać, zwłaszcza z dziennikarzami.

- Czy nie chciałby pan podzielić się czymś jeszcze? Tyle osób śledziło waszą historię, wszyscy mają masę pytań - nie dawała za wygraną.

- Nie. A teraz, jeśli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym grzecznie poprosić o opuszczenie posiadłości.

Dziennikarka zamknęła notatnik i odwróciła się. Kiedy już zniknęła, Don zszedł z dachu i wrócił do domu.

- Kto to był? - zainteresowała się Susie.

- Dziennikarka.

- I przyszła do nas do domu?

- Aha. Nie sądzę, żeby to była ostatnia. Pamiętasz, jak nas ostrzegali, że media będą się nami interesować? Chyba właśnie się zaczęło. Ta dziennikarka mówiła, że ludzie chcą wiedzieć, co się wydarzyło. Pewnie że chcą, tylko ja nie czuję się zobowiązany im odpowiadać - oburzył się Don.

- Skoro jedna dziennikarka nas znalazła, na pewno pojawią się następni - prorokowała Susie.

- Czyli potrzebujemy ochroniarzy - zażartował Don. Po chwili doszedł jednak do wniosku, że to wcale nie był głupi pomysł. Nazajutrz zatrudnił jednego ze swoich siostrzeńców; jego solidna postura miała budzić respekt. Kazał mu stać przy podjeździe i zatrzymywać każdego dziennikarza, który by chciał się zbliżyć do domu. - Nie bądź niemiły

- poinstruował go. - Powtarzaj tylko, że wydaliśmy już oświadczenie i na tym poprzestaniemy.

Nim zapadł zmrok, „ochroniarz” interweniował ponad dziesięciokrotnie.

Zaczęli dzwonić producenci kanałów ABC, NBC, CBS i CNN, a także takich programów, jak *Oprah Winfrey* czy *Dr. Phil*. Z rodziną kontaktowały się gazety i czasopisma, a także media z innych krajów. Po drugiej czy trzeciej rozmowie Don polecił Susie, by włączyła automatyczną sekretarkę, a gdy ta była pełna, kasował wszystkie wiadomości bez odsłuchiwania. Wiele osób wysyłało im kwiaty, a w rozmiarach bukietów przodowały media. Każdy był opatrzony karteczką o jednakowej treści: „Przykro nam z powodu Waszej straty. Kiedy już zdecydują się Państwo na rozmowę z mediami, czy zgodziliby się Państwo na wywiad na wyłączność dla nas?”. Był nawet taki moment, że nad ich domem krążył helikopter. Van Rynowie postanowili nie opuszczać wtedy domu i udawać, że nie zwracają na niego uwagi.

- Niedługo znowu wydarzy się coś wielkiego i wtedy wszyscy pójda gdzie indziej, a nas zostawią w spokoju - przewidywał Don.

- To na pewno Cerakowie - powiedziała Susie w piątkowe popołudnie, gdy na podjeździe pojawił się nieznany samochód. Zaparkował na trawniku, który, ze względu na dużą liczbę gości spoza miasta, stał się na czas ostatnich tygodni parkingiem. Wcześniej dzwonił do nich Newell i pytał, czy

mają ochotę na odwiedziny. Susie odetchnęła dopiero, kiedy rozpoznała blondynkę na fotelu pasażera.

- W porządku, to oni - oznajmiła.

Newell i Carly przeszli przez podwórko w kierunku domu, a Don wyszedł im naprzeciw. Colleen została w Spectrum przy Whitney.

- Dziękujemy, że zgodziliście się nas przyjąć - zaczął Newell.

- Wiemy, jak kurczy się czas, gdy nagle odwiedza was cała rodzina i wszyscy znajomi. Doceniamy, że znaleźliście chwilę również dla nas.

- I wzajemnie - odparł Don. - Pewnie gdybyście mogli, w ogóle byście od Whitney nie wychodzili, mam rację?

- Zgadza się - odpowiedział Newell z dziwnym poczuciem winy. — Większą część nocy spędziłem przy niej. Patrzyłem sobie, jak śpi. Muszę wam to powiedzieć. Za każdym razem, gdy spojrzę na Whitney, myślę o was i o Laurze. Tak chyba będzie aż do końca życia.

Don chciał coś odrzec, ale nie mógł wydusić słowa. Susie otarła łzy, podobnie Carly. - To... hmm... - przerwał. Westchnął. W końcu wykrztusił: - Dziękujemy.

Dołączyła do nich Lisa i wszyscy weszli do środka, gdzie w ciszy i spokoju mogli spędzić razem trochę czasu.

- Carly trochę mi opowiadała o Laurze. Miały w Upland wiele wspólnych przyjaciółek. Chciałem... - Newell urwał i próbował zebrać myśli. - Chciałem tylko przyjechać i powiedzieć wam, jak bardzo mi przykro z powodu waszej straty. Z tego, co słyszałem, Laura była niezwykłą osobą.



Don i Susie spojrzeli na siebie z uśmiechem, który nie zszedł z ich twarzy pomimo płynących po policzkach łez.

- To prawda - rzekła Susie. - Była jedną z tych osób, które bezwarunkowo cieszyły się życiem, co udzielało się wszystkim wokół niej. Właśnie o tym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Jeden z jej braci powiedział, że Laura promieniowała radością. To zdanie chyba najlepiej ją opisuje.

Lisa się roześmiała.

- Podpisuję się pod tym. Laura kochała życie. Ciągle krzątała się tanecznym krokiem, ze śpiewem na ustach. Próbowwała mnie przekonać, żebym tańczyła razem z nią, ale tylko ona w całej rodzinie miała poczucie rytmu. Gdy próbowałam jej dotrzymać kroku, oczywiście robiłam z siebie pośmiewisko, więc zaczynała się ze mnie śmiać i wkrótce ja sama też się z siebie śmiałam... Za to dużo razem śpiewaliśmy. Gdy myślałam, że to ona leży w Parkview i Spectrum, zabierałam tam czasem gitarę i śpiewałam dla niej. Dlatego nie zdziwcie się, jeśli Whitney nagle zapala miłością do Dixie Chicks\*. Razem z Laurą śpiewaliśmy w kółko ich piosenki.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Podczas pogrzebu ojciec Brada Larsona mówił, jak bardzo podziwiał syna i starał się go naśladować - Don zmienił temat. - Podobnie mam z Laurą. Owszem, była chrześcijanką, ale w jej przypadku to było coś więcej. Jej wiara była taka potężna, taka nadzwyczajnie osobista. Bóg był jej zawsze bliski i potrafiła bezgranicznie Mu zaufać - spojrzał na Newella.

\* Dixie Chicks - założony w 1989 roku amerykański żeński zespół grający muzykę z pogranicza country, rocka i folku.

- Przepraszam, że cię zanudzamy. Chyba nie przyjechałeś tu po to, by słuchać takich komentarzy.

- Nie, nie. Opowiadajcie. Wiem, jak to jest. Sami gadaliśmy godzinami o Whitney, kiedy myśleliśmy, że... no, jeszcze do wtorku.

- Sam się prosiłeś - zażartowała Lisa. - Pamiętam, jak raz wyszłam z Laurą na werandę, żeby się pobujać na huśtawce i wspólnie poczytać Biblię. To była chyba któraś z ewangelii, dokładnie nie pamiętam. Czytałyśmy o Jezusie i dwunastu apostołach. Pamiętam, że Laura wyobraziła sobie, jak by to było żyć wtedy z nimi. Opowiadała tak, jakby to byli normalni ludzie z krwi i kości, a nie postacie z Biblii. Właśnie tak traktowała Boga. Nie знаła tylko suchych faktów na Jego temat. Jej wiara dodawała Biblii życia.

- Laura miała też wielkie serce dla ludzi - przyłączyła się Susie. - Po tym, jak wyjechała na studia, robiłam raz u niej porządki i natknęłam się na pamiętnik. Pochodził chyba z czasów ósmej lub dziewiątej klasy. Pełno w nim było zwyczajnych próśb związanych ze szkołą, typu: „Boże, proszę, pomóż mi zaliczyć ten test”. Ale gdy się wczytałam głębiej, zauważyłam, że w tekście pojawiało się imię dziewczyny, której nie znam. Laura pisała, że jedna z koleżanek sprawiała wrażenie samotnej lub dręczonej problemami, i za nią też się modliła. Gdy to przeczytałam, przeszło mi przez myśl pytanie, ile podobnych osób sama mijam każdego dnia i nawet nie zwracam na nie uwagi. Ale Laura była inna. Nieustannie modliła się, prosząc Boga o miłość i dobroć.

- Wiem, że sądząc po tym, co opowiadamy, może się wydawać, że była doskonała. Pewnie w takiej sytuacji wielu ludzi idealizuje bliskich - głos Dona zaczął się łamać.

- Nie, nie, nie. W pełni was rozumiem - odparł Newell. - Wszystko, co mówicie, pasuje mi do opisu Carly, który usłyszałem w drodze do was. Cieszę się, że o niej opowiadacie.

- To nie jest łatwe. Wspomnienia... - Susie przerwała na chwilę. - Cóż, mogą być tak przykre, a mimo to dawać tyle radości. Wczoraj weszłam do jej pokoju i otworzyłam szafkę pełną jej japonek. Miała tyle par, że chyba mogłaby zakładać codziennie inną przez kilka miesięcy. Nosila je nawet zimą. Gdy tak stałam i patrzyłam na tę jej kolekcję, chciało mi się jednocześnie śmiać i płakać - i rozplakała się.

- Naprawdę podziwiałam swoją siostrzyczkę - odezwała się Lisa. - Miała w sobie coś, co pozwalało jej zachowywać się swobodnie niezależnie od sytuacji. Potrafiła być taka dziewczęca. Ale za chwilę była w stanie wybiec na podwórko i ganiać z chłopakami. Cała Laura. Pamiętam, że czasem stawiała przede mną, zanim wyszłam z domu, i krzyczała: Jesteś pewna, że chcesz w tym wyjść?", a następnie pędziła na górę i wybierała mi ciuchy, które powinnam założyć, i zawsze miała rację - to powiedziawszy, Lisa uśmiechnęła się.

- Znam ludzi, którzy po śmierci bliskiej osoby nie chcieli o niej w ogóle rozmawiać - powiedział Don. - U nas jest odwrotnie. Chcemy mówić o Laurze i chyba tak już pozostanie. Chcemy pielęgnować pamięć o niej. Przychodzą ludzie, którzy próbują nas pocieszać i przekonywać, że Laura jest teraz w lepszym świecie. To wiemy. Dlatego najbardziej

cieszą nas wizyty tych osób, które dzielą się z nami wspomnieniami związanymi z Laurą. Słuchanie ich sprawia nam przyjemność.

- Doskonale wiem, o czym mówisz - wtrącił Newell. Don ciągnął:

- Niektóre z tych osób, które wspominają o niebie, powtarzają takie zdanie: „Jest teraz w lepszym miejscu, nie powinieneś jej stamtąd zabierać z powrotem”. Wiem, że tak właśnie jest, ale chcesz wiedzieć, jaka jest moja prawdziwa reakcja? Chcę jej z powrotem! Chcę, żeby do nas wróciła! Czy jestem samolubny? Wydaje mi się, że każdy rodzic, który stracił dziecko, czuje to samo.

Newell milczał. Po prostu patrzył na Dona, skinął głową, a do oczu napłynęły mu łzy.

-Jedną z rzeczy, która nam pomaga to wszystko przejść, jest radość płynąca z faktu, że wiemy, gdzie ona teraz jest, i że się jeszcze zobaczymy.

- Tak. Masz rację.

- Laura była najmłodsza w naszej rodzinie. W waszej najmłodsza jest Whitney? - zauważyła Susie. †

- Tak - Newell odchrząknął w odpowiedzi.

- Dzięki Laurze nasz dom tętnił życiem. Udawała śmieszne głosy, co mnie bawiło do łez. I uwielbiała purpurę. Pomalowaliśmy jej pokój na purpurowo. Do tego miała jeszcze purpurowy szlafrok z misiem. Kochała ten kolor.

- Była też sportsmenką. Podobnie jak Whitney, prawda? - spytał Don.

- Tak. W szkole średniej uprawiała trzy dyscypliny, ale na Uniwersytecie Taylora bierze udział tylko w zawodach wewnętrzuczelnianych.

- Laura była w uniwersyteckiej drużynie lacrosse'a<sup>1</sup> - chwalił się Don. - W szkole średniej grała w piłkę nożną. Uczelnia chciała ją pozyskać do zespołu. Ale zdecydowała się na lacrosse. Była bardzo silna, szczególnie w nogach. Dlatego Whitney tak bardzo nam ją przypominała. Czasami w nocy, jak zaczynała wierzgać nogami, lepiej się było do niej nie zbliżać, bo mogła zrobić krzywdę. Raz złapała mnie nimi jak w kleszcze i myślałem, że się nie uwolnię - uśmiechnął się.

Newell również odpowiedział uśmiechem i dodał:

- No tak, Whitney ma krzepę.

- A tak w ogóle, jak się miewa? - spytała Susie.

- Każdego dnia uczy się czegoś nowego - odezwała się Carly. - Wiem, że na całym świecie modli się za nią wielu ludzi. Dzięki waszemu blogowi.

- My też nie przestajemy się modlić - odparła Lisa. - Wydaje nam się, że modlitwy, które odmawialiśmy w intencji Laury, Bóg i tak przyjął, bo On najlepiej wiedział, kto leży w szpitalnym łóżku.

Cała piątka spędziła jeszcze wspólnie trochę czasu na modlitwie. Newell wiedział już wtedy, jakimi słowami modlić się za Dona i Susie, sam bowiem poznał ból, jaki odczuwali. Z kolei Don i Susie wiedzieli, jakimi słowami modlić się za Ceraków. Sami poznali, jak to jest, gdy własne dziecko

---

<sup>1</sup>Lacrosse — gra zespołowa pochodzenia indiańskiego, rozgrywana na trawiastym boisku; jej celem jest umieszczenie piłki w bramce przeciwnika za pomocą specjalnej, trójkątnej rakiety.

wychodzi cało z okropnego wypadku, oraz jaką niepewność niesie ze sobą terapia. Wszyscy płakali. Rodziny poczuły, że łączy je silna więź.

Dwa dni później dwa tysiące ludzi zgromadziło się na nabożeństwie żałobnym w intencji Laury, wśród nich wielu przedstawicieli mediów. Rozgłos towarzyszący wydarzeniu nie pasował do cichej, ceniącej prywatność rodziny. Pracownicy ochrony kościoła oraz przedstawiciele lokalnej policji wydzielili dla mediów tylko jeden sektor. Znajdował się on na parkingu, z dala od rodziny i przyjaciół oraz wejścia do kościoła. Za poradą rzecznika prasowego Spectrum Don i Susie pozwolili wejść do budynku tylko jednemu kamerzyście.

Gdy wciąż przybywający tłum szybko wypełniał wnętrze, Van Rynowie przyjęli całą swoją rodzinę w odosobnionym pomieszczeniu na tyłach budynku. W sumie było tam około siedemdziesięciu osób, łącznie z Arynem i jego rodziną. Tam, z dala od ciekawskich oczu i obiektywów kamer, mogli dać upust swoim emocjom, by wśród łez i uścisków wymieniać wspomnienia oraz wyrazy żalu i wdzięczności. Kiedy podczas ostatniej modlitwy, która miała przygotować ich do ceremonii, wszyscy pochylili głowy, Don i Susie poczuli obecność Boga. Wiedzieli, że modlitwy tych siedemdziesięciu osób zostaną pomnożone przez tysiące zebranych na zewnątrz i jeszcze więcej modlących się na całym świecie. Bóg wysłuchiwał wszystkich próśb od dnia, kiedy wydarzył się wypadek. Tylko jego siła pozwalała im iść naprzód.

Dźwięk wypełniających wnętrze subtelnych akordów pianina i wiolonczeli pokrzepił serce Susie. Przy pianinie zasiadła jej siostra Bonnie, a na wiolonczeli grała kuzynka Laury, Bekah. Wspólnie zagrały wspaniałe preludium, a Susie odczuwała ich miłość płynącą z każdej nuty. Zająwszy swoje miejsce tuż za mównicą, Don powiódł wzrokiem po zebranym tłumie, gotowy rozpocząć ceremonię pożegnalną swojej córki. Wszędzie widział twarze wiernych, którzy odwiedzali ich w szpitalu, przywozili jedzenie, wysyłali kartki, zostawiali krzepiące wiadomości, załatwiali za nich sprawy, przejeżdżali setki kilometrów, wylewali potoki łez i podtrzymywali ich na duchu modlitwą. Wraz z nimi nad rodziną czuwał inny wierny: Chrystus. Don pragnął w tym miejscu podzielić się czymś ze zgromadzonymi. Zachęcał wszystkich, by tak jak on starali się naśladować Laurę, dostrzegać i odbijać tylko jedno światło - światło Jezusa.

Na mównicy stawali kolejno przyjaciele, współlokatorki, ciocia i kuzyn Laury, a także jej ukochany Aryn, brat Kenny i siostra Lisa, a na końcu stary przyjaciel Van Rynów, Mike DeVries, ten, który był w domu, gdy Don i Susie podzielili się z dziećmi straszną nowiną. Susie uśmiechnęła się przez łzy, gdy spostrzegła, że każda z koleżanek Laury na mównicy miała na sobie japonki, czyli ulubione obuwie jej córki na wszelkie okazje. Czuła, że Laura byłaby tym zachwycona.

Słowa przemawiających oczyściły Dona i Susie. „Śmiech i radość Laury..., zabawne historie i śmieszne przezwiska..., życzliwe serce, chętna do pomocy..., mentor, wzór do naśladowania, duchowy towarzysz..., przykładna wiara,

inspiracja..., dar pokrzepiania innych..., współczująca i wyrozumiała..., gra na gitarze, śpiewanie pieśni pochwalnych. ..., wiecznie uśmiechnięta, promieniująca wiarą". A między wspomnieniami o Laurze, o jej cechach charakteru i jej duchowej ścieżce wszyscy śpiewali pieśni do Boga. Tego, którego Laura kochała i w którego domu się teraz znajdowała. Był to przedsmak tego, co miało być ich udziałem w przyszłości, gdy ponownie spotkają się z Laurą w wieczności. Pod koniec ceremonii Don i Susie wraz z resztą zgromadzonych zaśpiewali jednym głosem - z dwóch tysięcy gardeł - słowa pieśni, które rozbrzmiały potęgą prawdy: „Stoję przed Tobą w pokorze”<sup>2</sup>.

Historia Laury opatrzona trzydziestosekundowymi klipami wideo stała się główną wiadomością kanałów informacyjnych w całym kraju. Po kilku dniach ciało Laury zostało przewiezione z cmentarza w Gaylord do Caledonii, gdzie odbył się prywatny pochówek. Zgodnie z przewidywaniami Dona pod koniec miesiąca uwagę mediów przykuła nowa sensacja i sprawa Van Rynów zniknęła z pierwszych stron gazet.

Przez całe lato 2006 roku rodzina śledziła poczynania Whitney poprzez założony przez Lisę, a prowadzony dalej przez Carly blog. Ponadto Don i Lisa odwiedzali dziewczynę osobiście. Van Rynowie zdecydowali, że będą nadal nosić własnoręcznie zrobione naszyjniki z bandany. Poprosili także, by Carly zadzwoniła do Lisy, gdy tylko Whitney zacznie chodzić.

---

<sup>2</sup> Tytuł oryginalnej pieśni: *I stand, I stand, in awe of you.*



*Środa, 7 lipca 2006 roku*

To będzie nasz ostatni wpis na tej stronie, dlatego pragniemy podziękować za wszystkie modlitwy i wsparcie, jakimi nas obdarzaliście przez cały ten trudny czas. Nadal będziemy szukać oparcia w Panu, będziemy też potrzebować Waszej modlitwy w nadchodzących dniach, tygodniach i miesiącach. Wiemy i ufamy, że Bóg się nami zaopiekuje - On zawsze pozostaje wierny, tak mówi jego Księga. Po tym, czego doświadczyliśmy, kierujemy do Was słowa pocieszenia: nie przywiązujcie się tak mocno do rzeczy tego świata. Życie tutaj jest zaledwie mgnieniem oka, a przed nami rozciąga się wieczność. Rozważcie słowa Boga: „Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą, i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje” (Mt 6,19-21).

Wyciągajmy nadal ręce do tych, którzy potrzebują modlitwy, miłości i pocieszenia. Wspominając rodziny Van Rynów i Ceraków, spójrzcie również na swoich sąsiadów. Za 24 godziny nie będziemy już odpowiadać za ten blog. Od rodziny Ceraków zależy, czy będzie prowadzić dalej tutaj wpisy o postępach Whitney. Jeszcze raz dziękujemy.

*Ostatni wpis na blogu zamieszczony przez rodzinę Van Rynów*

Ani Don, ani Susie nie wrócili do pracy aż do końca wakacji. Większość czasu spędzili wspólnie w miejscu, które od lat traktowali jako duchowe schronienie, czyli na obozie biblij-

nym na Półwyspie Górnym. Tam mogli opłakiwać córkę i jednocześnie pielęgnować pamięć o niej. Kenny i Mark wrócili do szkoły i pracy. Obaj pragnęli przeżyć żałobę w samotności. Lisa była pod takim wrażeniem pracy terapeutek w Parkview oraz Spectrum, że sama postanowiła wrócić do szkoły i zostać fizjoterapeutką. Laura nigdy nie zniknęła z jej myśli, dlatego pewnego dnia postanowiła napisać do niej list, jak wtedy, kiedy Laura była na studiach.

Droga Lauro!

Nie chce mi się wierzyć, jak dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz do Ciebie pisałam! Pamiętasz, jak byłeś na uczelni, a ja starałam się co tydzień napisać list lub coś Ci wysłać? Pamiętam, że 26 kwietnia [2006 roku] zostawiłeś mi wiadomość głosową i chwaliłeś się postępami w pracy oraz zwierzyłeś się, że moja korespondencja zawsze podtrzymywała Cię na duchu.

Skoro miałam taką przerwę, muszę Ci teraz o wszystkim opowiedzieć. Przede wszystkim wiosną cała rodzina stanęła przed wymagającym, lecz wspaniałym wyzwaniem. Musieliśmy opiekować się dziewczyną, która została ranna w wypadku samochodowym. Troszczyliśmy się o nią tak, jakby była członkiem rodziny, a jej terapia przebiegała niesamowicie dobrze, może nawet cudownie! A na zakończenie naszej przygody z tą dziewczyną stało się coś takiego, jakby Bóg postanowił pewnego dnia oznajmić całemu światu, co przez ten czas robiliśmy. W niezwykłych okolicznościach sprawił, że wraz z inną, zupełnie obcą nam rodziną staliśmy się świadkami Jego mocy. To było naprawdę niesamowite, ale na razie oszczędzę Ci szczegółów. Chcę tylko,

żebyś wiedziała, że brakowało nam Ciebie wtedy przy nas, a Twoje życie było dla nas inspiracją.

Miałam też zaszczyt poprzedniej wiosny odebrać w Twoim imieniu dyplom uczelni. Gratuluję ukończenia studiów! Byłam z Ciebie bardzo dumna, ale czułam, że coś jest nie w porządku. Pomyślałam o łasce. Nie czułam się dobrze, przyjmując coś, na co zapracował ktoś inny. To trochę tak jak z darami od Boga, za które On nie oczekuje nic w zamian.

Chciałam Ci przekazać jeszcze jedno. Zdecydowałam się wrócić do szkoły i zostać fizjoterapeutką. Wiem, wiem... Na samą myśl o szpitalu robiło mi się dawniej niedobrze. Ale coś się zmieniło. Gdy byliśmy w szpitalu, wielką przyjemność sprawiało mi asystowanie przy fizjoterapii. Zawsze kształtowałam we mnie współczucie, a teraz będę miała sposobność je okazywać, pracując z osobami, które ucierpiały w wypadkach, lub z chorymi od urodzenia. Na moją decyzję złożyły się trzy rzeczy: odebranie Twojego dyplomu, odkrycie, że mam dar do pracy z potrzebującymi, oraz poczucie, że w ten sposób mogę kontynuować Twoją misję obdarzania innych swoim współczuciem. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz, ale codziennie korzystam z Twojego plecaka. Pożyczyłam też od Ciebie trochę ciuchów. Aha, żeby nie zapomniała: pozdrów ode mnie, proszę, Brada. Powiedz mu, że nie mogę się doczekać rewanżu w ping-ponga.

Przez ten rok myślałam więcej o śmierci i niebie. Zastanawiałam się, jak to jest przenieść się stąd do wieczności. Czasami gdy o Tobie myślę, wyobrażam sobie, co możesz robić - może śpiewasz lub tańczysz, może tylko się uśmiechasz. A czasami to boli tak bardzo, że nawet nie wiem, co robić. Ale ostatnio nasza dobra

przyjaciółka uzmysłowiła mi coś ważnego. Śmierć jest wynikiem grzechu. Dlatego rozdzielenie nas od bliskich nie jest pierwotnym zamysłem Boga. Wyciągnęłam z tego dwie lekcje. Po pierwsze, nie ma niczego złego w tym, że czuję smutek albo nawet złość z powodu Twojego odejścia. Po drugie, czuję ogromną nadzieję, że Bóg wszystko naprawi. Przywróci pierwotny porządek na ziemi i w niebie, a sam znajdzie się w centrum. Ci, którzy w Niego wierzą, połączą się na nowo.

Mogę sobie tylko wyobrażać, jak się teraz czujesz. Jak to jest być z Jezusem. Chciałabym móc usiąść z Tobą, może zjeść muffinka w Applebee's<sup>3</sup> i zadawać Ci różne pytania. Ale na razie muszę się zadowolić tym listem i uzbroić się w cierpliwość. Lauro, tęsknię ogromnie i chciałabym się z Tobą zobaczyć, ale mam tu jeszcze pracę do wykonania. Zabawne, ale jak sobie pomyślę o obozie biblijnym, kiedy byłaś jeszcze młodą opiekunką, przypominam sobie, że zawsze lubiałaś się wymykać przed zakończeniem pracy.

Dziękuję, że byłaś dla mnie wspianiałą siostrą i przyjaciółką. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

Kocham Cię,

Lisa

*List do Laury napisany przez Lisę Van Ryn*

*kilka miesięcy po pogrzebie*

*2 lipca 2006 roku*

Natknąłem się na ten blog poprzez stronę internetową gazety z Sydney. W artykule nic nie napisali o Waszej wierze, ale gdy tu trafiłem, była to pierwsza rzecz, którą zauważyłem.

---

<sup>3</sup>Applebees - amerykańska sieć restauracji.

Chciałbym mieć podobną wiarę jak Wy. Czytając blog, odkrywam, że macie coś, czego brakuje w moim życiu. Gdy wszedłem na tę stronę, byłem zasmucony Waszym straszliwym doświadczeniem oraz okolicznościami, w jakich straciliście córkę... ale teraz to ja Wam zazdroszczę. Jak to możliwe?

Macie tak wiele. Mam nadzieję, że nie uznacie mnie za nieczułego, ale takie jest moje wrażenie. Wierzę, że w tym trudnym czasie otrzymacie pocieszenie, miłość i niezbędne wsparcie.

*Anonimowy komentarz zamieszczony na blogu zaraz po upowszechnieniu informacji o błędnej identyfikacji ofiar*

## Po huraganie

*Sobota, 3 czerwca 2006 roku*

List do Rzymian: „Weselcie się z tymi, którzy się weselą, płaczcie z tymi, którzy płaczą” (Rz 12,15).

Dziś rano przeczytaliśmy ten wers Whitney, studiując całą rodziną Słowo Boże. Tata poszedł z nią na fizjoterapię, gdzie została posadzona w wózku inwalidzkim. Pozwolili jej nawet na to, by wróciła samodzielnie do pokoju, odpychając się zdrową nogą i ręką!

Podczas sesji z logopedą musiała wrócić pamięcią do wydarzeń sprzed kilku tygodni. Dzisiaj tylko słuchała i odpowiadała ruchem głowy, podczas gdy logopeda zadawał jej proste pytania. Teraz jej największym problemem jest czekanie na Huntera. Wielokrotnie musieliśmy go przywozić na jej żądanie. Po południu zabraliśmy Whitney do innej placówki na tomografię komputerową. Tata, Sandra i ja musieliśmy jechać osobnym samochodem, więc włączyliśmy płytę CD z pieśniami, które dawały nam wytchnienie przez ostatnich pięć tygodni. Muzyka błyskawicznie przypomniła nam ból, jaki czuliśmy jeszcze kilka dni wcześniej.

Nasze myśli pobiegły w stronę Van Rynów, gdyż ponownie zrozumieliśmy ich cierpienie. Nadal będziemy się radować z tymi, którzy się radują, oraz płakać z płaczącymi.

*Wpis na blogu zamieszczony przez Carly Cerak*

Pani Cerak, panie Cerak, zechcieliby państwo zostać jeszcze parę minut? - spytał doktor Martin Waalkes. Newell i Colleen byli właśnie świadkami badania neuropsychologicznego Whitney, które miało na celu zmierzenie jej postępów w leczeniu. Wyniki nie były zadowalające.

- Musimy porozmawiać o urazie mózgu waszej córki oraz o tym, czego możecie się spodziewać w najbliższych miesiącach - zaczął. - Whitney doznała urazu noszącego nazwę „podzielenie mózgu”. Oznacza to, że cały mózg uległ gwałtownemu skręceniu wokół pnia. Otrzymała również poważny cios w płat czołowy. Wszystkie te urazy spowodowały uszkodzenia komórek, a także osłabiły połączenia między neuronami. Nie są to wprawdzie ubytki trwałe, ale ich odbudowanie trochę potrwa. Neuron odrasta mniej więcej tak szybko, jak paznokieć. Oznacza to, że urazy zewnętrzne, jakich doznała państwa córka, ustąpią znacznie szybciej niż wewnętrzny uraz mózgu. Najlepiej można to sobie wyobrazić - ciągnął - na przykładzie lasu zniszczonego przez huragan. Gdy przez zdrowy las przejdzie burza, jego struktura się zmienia. Niektóre drzewa zostają kompletnie zmiecione. Niektóre zostają uszkodzone, ale większość ich gałęzi pozostaje nienaruszona. Z czasem wyrosną nowe drzewa, zastępując te, które nie przetrwały. Na te, którym się udało, wkrótce powrócą liście. Jednak po każdej

burzy las nie będzie już taki sam jak przed nią. Z Whitney jest tak samo. Podobnie jak las, szybko się nie odnowi. Powiedziałbym, że na pełne odrodzenie się „lasu w jej głowie” będziecie musieli poczekać jakieś dwa, może trzy lata.

Gdy doktor mówił, Newell i Colleen wpatrywali się w niego bez ruchu. Oboje byli tak podekscytowani faktem, że ich córka żyje, że nawet nie próbowali się zastanawiać, czy kiedykolwiek w pełni wyzdrowieje. Colleen wzięła męża za rękę i zaczęła płakać. Newell zwalczył w sobie słabość i zwrócił się do lekarza:

- Do jakiego stopnia uda się ją według pana wyleczyć? Doktor Waalkes zastanowił się.

- Szczerze? Nie mam pojęcia. Dlatego powiedziałem, że Whitney jest jak las po huraganie. Tylko czas może nam pokazać, jak bardzo nowy las będzie przypominał ten stary. Mogę tylko powiedzieć, że zarówno całościowo leczenie, jak i poszczególne terapie zostały opracowane specjalnie pod kątem leczenia tych uszkodzonych obszarów mózgu. Jednak nadmierna ilość bodźców też stanowi pewne zagrożenie. Rozumiem, że wszyscy znajomi chcieliby się z nią zobaczyć, ale najważniejsze jest, aby Whitney miała teraz spokój. Spójrzcie na to w ten sposób: kiedy wy albo ja słyszymy jednocześnie samochód na zewnątrz, telewizor w pokoju, a oprócz tego szczekanie psa i czyjeś pytanie, to potrafimy przefiltrować z otoczenia to, co istotne. A Whitney nie potrafi. Jeszcze nie teraz.

- Ale poprawi się jej? - zmartwiła się Colleen.



- Testy, które właśnie przeprowadziliśmy, wykazały, że na chwilę obecną jej możliwości intelektualne są mocno ograniczone. Czy taki stan potrwa jeszcze tydzień, czy miesiąc, tego nikt nie wie.

Wracając do pokoju Whitney, Newell powiedział do Colleen:

- Codziennie śledziłem blog Laury i pamiętam, że była w nim mowa o urazach mózgu, ale nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak poważne mogą być ich skutki.

- Z tego, co mówili Van Rynowie, wynika, że jak dotąd kuracja postępowała szybko, ale... - Colleen zawahała się.

Dopiero w pokoju Whitney zaczęła docierać do nich rzeczywistość. Oboje usiedli na jej łóżku i rozplakali się. Przez dłuższy czas żadne z nich się nie odzywało. Od powrotu z Nowego Jorku Newell nie robił nic innego, tylko patrzył na Whitney, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę ją odzyskał. Teraz rozpatrywał sytuację w świetle tego, co powiedział mu lekarz. Tego „spojrzenia” córki, które opisał na pogrzebie, nie można było jeszcze dostrzec. Brakowało mu tej iskry, bez której nie wyobrażał sobie Whitney.

- Mam suche usta - powiedziała Whitney bezbarwnym, niemal komputerowym głosem. Colleen włożyła jej w dłoń pomadkę do ust. Newell obserwował, jak córka powolnym, lecz płynnym ruchem całego ramienia maluje usta, tak jakby potrzebowała do tego pełnej koncentracji. Realność jej urazów nie mogła zabrać im radości z odzyskania córki. Jednak Newell martwił się tym, co mogą przynieść kolejne dni.

- Gdzie Hunter? - spytała Whitney.

- W domu - odparł jej ojciec.
- Chcę go zobaczyć.
- Zorganizujemy wszystko tak, żeby mógł cię odwiedzić.

Mamy już zgodę szpitala.

- Przyrowadź Huntera - Whitney wskazała palcem drzwi.
- Whit, Hunter nie może dzisiaj przyjechać. Nie opuszczając palca wskazującego, powtórzyła:

- Hunter!

- Whitney, posłuchaj. Marty Maxon przywiezie Huntera jeszcze w tym tygodniu. Ale nie dzisiaj.

Whitney nie dawała za wygraną.

- Hunter!

- Proszę cię, Whit. Nie prosz już o Huntera. Przyjedzie za kilka dni.

Jeszcze raz wskazała na drzwi:

- Przywieź Huntera - powtórzyła. Zniecierpliwiony Newell westchnął długo i głęboko. -Oj, Whit.

Podobna wymiana zdań powtarzała się jeszcze wielokrotnie w ciągu kolejnych kilku dni. W końcu w sobotę rano drzwi do pokoju Whitney otworzyły się nieznacznie i do środka zajrzała Marty.

- Whitney! - zawołała. - Ktoś chce się z tobą zobaczyć. - Otworzyła drzwi szerzej i do pokoju wślizgnął się wielki kudłaty mieszaniec golden retrievera z labradorem.

Whitney obróciła się w łóżku na bok i aż pisnęła z radości:

- Hunter!

Na jej możliwości był to w zasadzie wrzask. Hunter podbiegł do niej. Pazury stukały o posadzkę. Objęła go prawym ramieniem, najsilniej jak potrafiła. Pies nie musiał nawet wskakiwać na łóżko, gdyż i bez tego miał głowę na wysokości jej oczu.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała Whitney, głaszcząc go po głowie. - Kocham cię. - Po kilku minutach Hunter leżał już przy łóżku, a ona sama również się położyła. Wydała z siebie długie westchnienie zadowolenia. Wszystkie ważne dla niej w życiu rzeczy były z powrotem na swoim miejscu.

- Nie mogę pojąć, że tak bardzo kocha tego psa - dziwiła się Colleen. - Wydaje mi się, że stęskniła się za nim tak jak za nami, a może nawet bardziej.

Newell roześmiał się z ulgą.

- Nareszcie nie muszę odpowiadać na jej pytania typu: „Kiedy przyjedzie Hunter?”.

*Czwartek, 8 czerwca 2006 roku*

Zeszłej nocy Whitney nie mogła zasnąć. W końcu udało jej się znaleźć najwygodniejsze miejsce - w objęciach mamy. Było mi niezwykle miło ujrzeć rano Whit i Colleen śpiące smacznie w jednym łóżku. Czasem wydaje się, że ranek przychodzi zbyt szybko, ale dla nas to początek nowego dnia przy córce. Tak nam tęskno do widoku, gdy się przeciąga i ziewa, że co noc nie możemy się doczekać, kiedy wstanie dzień.

Podczas ostatniej terapii zajęciowej pracowała nad zginaniem i prostowaniem stawu łokciowego. Bolało ją, ale jest to niezbędne, by rozruszać łokieć... Zauważyłem później, że gdy

odpoczywała, chwytając prawą dłonią lewe ramię i na przemian ciągnęła je i odpychała, powtarzając ruchy z wcześniejszej terapii. Na moje pytanie, co robi, odpowiedziała: „Chcę szybciej wrócić do domu”. Gdy potem wygrzewaliśmy się na słońcu z Whitney, Colleen i Carly, podsumowaliśmy dzień i stwierdziliśmy, że 'Whit' sprawowała się dziś doskonale. Carly powiedziała, że Whit powinna być z siebie dumna, ale ona tylko pokręciła głową. Na pytanie, czemu nie jest z siebie zadowolona, odpowiedziała: „Chcę robić więcej”

W jedności z Chrystusem, ojciec Whitney.

*Wpis na blogu*

- Matt mi powiedział, że napisali o mnie w czasopiśmie „People” - Whitney pochwaliła się rodzicom.

Ona i Matt byli najlepszymi przyjaciółmi od wielu lat, zanim zaczęli ze sobą chodzić mniej więcej rok przed wypadkiem. Odkąd rodzina ponownie spotkała się w komplecie, minęły dwa tygodnie. Wszyscy, nie wyłączając personelu szpitala, byli pod wrażeniem postępów Whitney. Podwójne widzenie prawie już ustąpiło, pamięć krótkotrwała znacznie się poprawiła. Potrafiła też składać dłuższe, bardziej skomplikowane zdania. Pielęgniarki były gotowe przeprowadzić test neuropsychologiczny. Wszyscy byli pewni, że tym razem wyniki będą dużo lepsze.

-Tak, Whit. Jesteś na okładce „People”. W środku jest opisana historia twojego wypadku - oznajmił Newell.

- Mogę zobaczyć?

Newell i Colleen spojrzeli na siebie. Mówili jej już, że miała wypadek, a terapeutki również starały się pomалу oswajać ją z wydarzeniami z okresu blisko dwóch miesięcy. Choć znała pewne fakty, niektóre rzeczy zdawały się jej ulatywać.

- Okej - zgodził się Newell. - Chyba ci to nie zaszkodzi. Położył na jej kolanach czasopismo otwarte na stronach z artykułem o niej. Na pierwszej stronie umieszczono obok siebie fotografie jej i Laury.

- Przecież nie jestem do niej podobna - obruszyła się. - Czemu tak piszą w gazecie? - Odwróciła kartkę i ujrzała zdjęcie uczelnianego vana po wypadku. - O Boże. Ktoś jeszcze został ranny?

Na te słowa Newell oniemiał. Nie chciał odpowiadać na to pytanie, ale wiedział, że nie ma wyboru.

- Tak, Whitney. Zginęło pięć osób.

-Kto?

- Laura Van Ryn, Monika Felver, Laurel Erb - Whitney zaczęła płakać, a Newell kontynuował - Betsy Smith. I Brad Larson.

Kilka dni wcześniej Whitney rozmawiała z Carly o Bradzie i opowiadała siostrze, jaki z niego świetny facet. Gdy więc teraz dziewczyna na końcu listy usłyszała jego nazwisko, zawołała:

- O nie, tylko nie Brad!

Przez kolejne kilka minut powtarzała jedno: „Tylko nie Brad!”. Odłożyła czasopismo na bok i zamyśliła się.

- Chcę pobyć trochę sama - stwierdziła i położyła się na łóżku. Przez jakiś czas nie odzywała się, jedynie cicho łkała.

Colleen usiadła przy niej i delikatnie głaskała ją po plecach, aż Whitney pogrążyła się we śnie. W czasie kolejnej nocy Newell wielokrotnie budził się na dźwięk płaczu Whitney i modlitw Colleen.

Dzień lub dwa później Whitney zażyczyła sobie ponownie zajrzeć do gazety.

- Czemu umieścili moje zdjęcie obok Laury? - spytała. W tym czasie w pokoju była Carly.

- Whitney - zaczęła. - Zaraz po wypadku pomylili wasze ciała. Myśleli, że ty to Laura, a Whitney zginęła.

Whitney zamarła, próbując uzmysłwić sobie znaczenie słów siostry. Przez jej mózg tym razem nie przeszedł żaden impuls. Nagle posmutniała i powiedziała:

- Nie. To nieprawda. Nikogo nie zabiłam - po jej twarzy popłynęły łzy i zaczęła się trząść. - To nie może być prawda. Nie zabiłam Laury.

- Whitney, Whitney - Carly usiłowała ją uspokoić. - Nikt nie mówi, że ją zabiłaś. Ludzie myśleli, że ty nią jesteś.

- Wszyscy mnie teraz znienawidzą - Whitney nie słuchała. - Nie chcę wracać do szkoły. Wszyscy będą mnie wytykać palcami jako tę, która zabiła Laurę.

- Nie, nie, nie. To nieprawda. Nikt nie myśli, że zabiłaś Laurę. Laura zginęła w wypadku. Ludzie cię kochają, Whit. Laurę też. Śmierć Laury niczego nie zmieniła - pocieszała siostrę Carly. Po tych słowach Whitney się uspokoiła.

Jednakże kolejnego wieczora znów się zdenerwowała. Rozejrzała się po pokoju, spojrzała na rodzinę i na swojego chłopaka Matta i wypaliła:

- To wszystko nieprawda.

Wszyscy skierowali na nią zmieszane spojrzenia.

- Co masz na myśli? - spytała Colleen.

- To szpitalne łóżko i ta historia z wypadkiem. Nic takiego się nie stało. Mam tylko zły sen i chciałabym się z niego obudzić - oznajmiła Whitney.

Podszedł do niej Matt i wziął ją za rękę.

- Whitney, myślisz, że gdyby to był sen, czułabyś, jak ściskam twoją dłoń? - zapytał.

- Tak, bo czułabym to we śnie! Nie bądź głupi, Matt. To mi się śni i wszyscy jesteście w tym śnie. Ty jesteś, jest Carly, jest Sandra, są rodzice. Wszyscy jesteście w szpitalu. Mnie tam naprawdę nie ma. Śpię w akademiku i chciałabym się obudzić.

- Whitney, kochanie, to nie sen. Jesteś w szpitalu. Miałaś wypadek. To wszystko prawda - tłumaczył Newell.

- Nieprawda. Nie pamiętam tego. Obsługiwałam dziś wieczorem bankiet na stołówce, potem wróciłam do pokoju i poszłam spać. A teraz mam ten sen i jestem strasznie wściekła na Emily, bo jest niefajną koleżanką i nie chce mnie obudzić.

Colleen i Newell podeszli razem do jej łóżka.

- Whitney, musisz zrozumieć, że to nie jest sen.

- Oczywiście, że jest. Śniło mi się, że mówiliście mi, że ludzie myśleli, że wyglądam jak Laura, a nawet że nią jestem. Śniło mi się, że mówiliście mi, że uznaliście mnie za martwą i odprawiliście pogrzeb. Coś takiego nie mogło się stać. To musi być sen.

- Ależ kochanie, tak się stało. Na pogrzebie było ponad tysiąc osób. Kolejka była dłuższa niż w Disneylandzie - starała się tłumaczyć Colleen.

- Po co ludzie mieliby czekać do mnie w takiej kolejce? To nie ma sensu. Chcę się obudzić. Nienawidzę tego snu. Czy Emily nie wie, że muszę wstawać? Czemu mnie nie obudzi? - Whitney stawała się coraz bardziej rozdrażniona. Mimo argumentów nie chciała uwierzyć nikomu, że to nie był sen.

- Whit, idę zadzwonić po Emily. Ona ci powie, że to prawda, a nie sen - Newell znalazł rozwiązanie. Wybrał numer na komórce, poczekał, aż Emily odbierze, i wyjaśnił jej sytuację. Następnie podał telefon Whitney.

- Proszę, proszę, Emily, obudź mnie! - krzyczała Whitney.

- Whitney, ty nie śpisz. To nie jest sen. Czy gdyby to był sen, rozmawiałabym teraz z tobą przez telefon?

- Tak. Bo to by się działo we śnie!

- Whitney, ty nie śpisz. To nie jest sen.

- Nie bądź taka, Emily. Obudź mnie. Przez ciebie spóźnię się na zajęcia. Dostanę pałę i pogorszy mi się średnia - Whitney zaczęła histerycznie płakać. - Po prostu mnie obudź. Nie chcę być jedyną ocaloną z wypadku, w którym zginęło tyle osób. Nie chcę, żeby ludzie się zastanawiali, czemu to ja przeżyłam, a nie ktoś inny. Nie chcę, żeby to była prawda.

Płakała już tak mocno, że niemal nie mogła złapać tchu. Colleen wyszła z pokoju i zawołała pielęgniarkę. W końcu Whitney otrzymała zastrzyk uspokajający, dzięki któremu usnęła. Kiedy się obudziła kolejnego dnia, nadal chciała, by to był sen, ale już rozumiała, jaka jest prawda.



Dzień lub dwa później, kiedy Matt przywiózł Whitney do pokoju po jednej z sesji terapeutycznych, w środku Carly rozmawiała z kimś, kogo Whitney nie rozpoznała.

- Cześć, jak się nazywasz? - spytała dziewczynę.

- Lisa. i;, -Jaka Lisa?

- Lisa Van Ryn.

- Cześć, Lisa, miło cię poznać.

- Ciebie też, Whitney.

- Skąd znasz moją siostrę?

- Jestem przyjacielem waszej rodziny - odparła Lisa, ocierając łzę. - Carly mówi, że solidnie pracujesz, żeby wyzdrowieć. To wspaniale.

- Bo chcę wracać do domu. Chcę zobaczyć przyjaciół i mojego psa.

- A jak się wabi twój pies? - kontynuowała tę rozmowę Lisa.

- Hunter.

- Hunter. Fajne imię. Twoja siostra powiedziała, że studiujesz w Upland.

- Tak. Nie mogę się doczekać powrotu.

-Ja skończyłam Uniwersytet Taylora. Bardzo mi się podobało.

- Mnie też.

- Cóż. Bardzo mi było miło cię poznać, Whitney. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

- Ja też.

Następnego dnia Whitney po raz kolejny przeglądała wydanie „People” ze swoim zdjęciem na okładce. Jej wzrok

zatrzymywał się na każdej z fotografii. Na ostatniej stronie znalazła zdjęcie dziewczyny grającej na gitarze.

- Ej, przecież to ta dziewczyna, która odwiedziła mnie wczoraj - zauważyła.

Carly popatrzyła na fotografię.

- Tak, masz rację. To Lisa Van Ryn, siostra Laury

- oznajmiła.

- Powinnam ją znać, tak?

- Nieważne, ona ciebie pamięta - powiedziała Carly z pełnym otuchy uśmiechem.

## **W przyśpieszonym tempie**

*Niedziela, 11 czerwca 2006 roku*

Dzisiejszy dzień Whitney przeżyła dobrze i spokojnie. Ciągle pyta, kiedy będzie mogła wrócić na uczelnię i zakończyć swój pierwszy rok. Pyta też, kiedy zacznie się lato. Musimy jej przypominać, że to wszystko nie jest snem i że jej doświadczenia są prawdziwe. Problem polega na tym, że nie pamięta wydarzeń ostatnich tygodni i przez to nam niedowierza. Uważa, że wszystko jest jej snem, nawet my. Jak już mówiliśmy, jest to typowy objaw u osób z urazami mózgu, ale i tak trudno się z tym pogodzić. Wiem, że trwacie w modlitwie. Z każdym dniem coraz silniej czuję obecność Ducha Świętego w naszym życiu. Dziękuję z całego serca za Waszą troskę. To doświadczenie uczy nas pokory. Absolutnej pokory. Chwała Panu na wieki.

Mimo że Whitney nadal kwestionuje rzeczywistość, dzień można uznać za bardzo udany. Poprosiła dzisiaj o wyregulowanie brwi. Gdy Colleen spełniła jej prośbę i przystąpiła do pracy, Whitney co chwila krzyczała „Au!”, jednak nie życzyła sobie, by mama przestała. Przede wszystkim nie chciała mieć zrośniętych brwi.

Dzisiaj wpadł też Matt i Sandra. Oboje wyrwali się na jeden dzień ze Spring Hill - chrześcijańskiego obozu nieopodal Grand Rapids, w którym oboje pracowali jako opiekunowie. Wizyta sprawiła, że Whitney poczuła się jeszcze lepiej, podobnie jak my wszyscy. Kiedy przyjdzie jej ochota, ogląda już filmy i dzisiaj poprosiła, abyśmy wspólnie obejrzel film pod tytułem *Księżę Egiptu*. Po seansie nastąpiła interesująca dyskusja. Whitney składa już pełne zdania i potrafi wyrazić wszystko, co chce. Podczas rozmowy zadała Mattowi pytanie, na które znał odpowiedź, ale nie potrafił jej sobie przypomnieć. Na to Whitney popisała się swoim poczuciem humoru i zasugerowała, że to on powinien leżeć w szpitalu zamiast niej.

- W Chrystusie,  
Ojciec Whitney

*Niedziela, 18 czerwca 2006 roku (Dzień Ojca)* Byłem pod ogromnym wrażeniem kartki z okazji Dnia Ojca, którą wykonała dla mnie Whitney. Pragnę Wam przekazać, co było na niej napisane. Tak wiele to dla mnie znaczy, że muszę się pochwalić. Whitney napisała: „Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Ojca, Tato. Cieszę się, że znów mogłam się z Tobą zobaczyć. Dobrze się spisałam, prawda? Myślisz, że moja kartka jest lepsza niż kartki Sandry i Carly? Chyba tak. A do tego, ja nie wyjechałam na wakacje. Kocham Cię, Tato. Kochająca Whitney”.

Muszę Wam powiedzieć, że moje ojcowskie serce urosło, a do oczu napłynęły mi łzy. Dziękuję Bogu za czas, który pozwolił mi spędzić u boku córek: Carly, Sandry i Whitney. Bóg pobłogosławił moje życie w sposób, którego nie da się opisać słowami. Nie

dałem Mu nic w zamian, a On pobłogosławił mnie oraz nappełnił pokorą.

Po takim intensywnym, pełnym miłości dniu modlimy się o jeszcze lepsze jutro. Mam nadzieję, że Wy również spędziliście piękny dzień z własnymi dziećmi.

Dziś znów Whitney czuła się świetnie. Po powrocie z weekendu, który spędziła poza ośrodkiem, porządnie się wyspała. Rano wróciła do terapii i spisała się jeszcze lepiej niż w piątek. Wspierając się na chodziku rehabilitacyjnym, zdołała wyjść z salki gimnastycznej i przespacerować się wzdłuż korytarza. Nie jestem w stanie oszacować dystansu, ale wydaje mi się, że był to jej najdłuższy samodzielny spacer od czasu, gdy zaczęła korzystać z chodzika. W miarę ćwiczenia odzyskuje też siłę w rękach. Gdy leży w łóżku, prosi, by ktoś rozciągał jej rękę i nogę. Wygląda na to, że chce jak najszybciej zacząć funkcjonować normalnie. Stojąc na prawej nodze, osiągnęła tyle, że udało jej się zagrać w „koszykówkę” i spisała się fenomenalnie. Po południu wykonała jeszcze jedną serię ćwiczeń na nogę. Opisywaliśmy wcześniej, że po wypadku jej mózg przypominał przewróconą szafkę z powywracanymi segregatorami. Wydaje się, że dzięki sesjom logopedycznym segregatory pomału wracają już na swoje miejsca. Sprawia nam to ogromną radość.

Whitney odwiedziły dziś trzy koleżanki, każda o innej porze dnia. Coraz lepiej jej idzie porozumiewanie się z innymi. Lubi

W Chrystusie, Ojciec Whitney

*Poniedziałek, 26 czerwca 2006 roku*

rozmawiać i dyskusje z nią należą do bardzo przyjemnych. W jej uśmiechu można wyczuć ciepło i radość z czynionych postępów.

Zapomnieliśmy napisać o jednej rzeczy dotyczącej piątku. Whitney miała dwóch gości. Na obiad przyjechali do nas Don i Lisa Van Rynowie. Było to rozczulające spotkanie, choć Whitney ich nie pamiętała. Oczywiście wie, że są rodziną, która opiekowała się nią przez pierwsze pięć tygodni pobytu w szpitalu. Cieszyła się, że ją odwiedzili i pomogli zapełnić luki w jej pamięci. To niesamowici ludzie. Whitney nigdy nie zapomni, co dla niej zrobili. Nieustannie modlimy się za nich do Boga, by dał im siłę, wsparcie i pocieszenie. Niesłychane, jakkolwiek świadectwo Bożej miłości może dać jedna rodzina.

W Chrystusie, Newell

*Poniedziałek, 3 lipca 2006 roku* Jest poniedziałek, czyli wracamy do pracy. Whitney ma już zaplanowane całe kolejne dwa tygodnie. Przewieźliśmy ją w tym tygodniu z ośrodka Spectrum do innego szpitala rehabilitacyjnego, Hope House, na kolejny etap terapii. Psycholog uważa, że to dla niej szansa, gdyż teraz cała rehabilitacja będzie mogła się odbywać pod jednym dachem. Nie będziemy mogli zda-waćjużtakdokładnych raportówzjej leczenia, ponieważ Whitney domaga się większej samodzielności. Trzeba powiedzieć, że nigdy nie była „córeczką mamusi”, więc nie dziwi nas, że nie życzy sobie, byśmy ciągle byli przy niej. Z jednej strony odczuwam z tego powodu smutek, ponieważ tak wiele mogłam się nauczyć (jako pedagog), obserwując pracę terapeutów; poza

tym wielką przyjemność sprawiało mi patrzeć na postępy Whitney. Z drugiej strony, cieszy mnie, że Whit odzyskuje pewność siebie i niezależność. W nadchodzących dwóch tygodniach będzie miała co najmniej sześć godzin zajęć dziennie. W piątek, 14 lipca 2006 roku, nastąpi ocena tego dwutygodniowego okresu - odbędzie się zebranie wszystkich terapeutów i lekarzy, którzy spróbują określić, w jakim tempie postępuje rehabilitacja oraz jak długo jeszcze potrwa. Każdego dnia Whitney daje z siebie wszystko, aby osiągnąć swój cel. Przyjemność sprawia jej nawiązywanie przyjaźni z terapeutkami, co jest tym łatwiejsze, że każda sesja odbywa się sam na sam.

Ze względu na jutrzejsze święto mogliśmy zabrać Whitney ze szpitala na jeden wieczór. Znaleźliśmy grill na gaz i udało mi się przygotować prawdziwy posiłek. To, że mogliśmy posiedzieć i pośmiać się przy stole, sprawiło, że poczuliśmy się, jakby wróciła normalność (brakowało nam tylko Sandry). Carly rozśmieszała Whitney tak bardzo, że bałam się, że będę musiała ją reanimować. Po obiedzie przyjechało kilka przyjaciółek z uczelni i znów poczuliśmy się świetnie, gdy usłyszeliśmy śmiech i rozmowy dziewczyn. Whitney nie może się doczekać jutrzejszej nocy w domu i, oczywiście, fajerwerków. Życzę Wam wszystkim mile spędzonego święta w gronie rodziny i przyjaciół.

Mama Whitney

*Środa, 12 lipca 2006 roku* Dziś większość dnia Whitney spędziła sama. Bardzo dobrze zorganizowała sobie zajęcia. Coraz szybciej się porusza, skacze na jednej nodze po ośrodku jak nakręcona. We wtorek rano przeszła sama

ponad sto metrów, a po południu dodała do tego jeszcze ponad pięćdziesiąt. Tak więc widocznie rosną jej siła i wytrzymałość.

Na terapii zajęciowej miała za zadanie umyć łazienkę, zrobić pranie i posprzątać pokój. Musiała poradzić sobie bardzo dobrze, ponieważ jedna z terapeutek powiedziała nam później: „Najwyraźniej nieźle ją tego nauczyliście... większość pacjentów próbuje się migać, ale nie Whitney... od razu wzięła się do pracy i wykonała wszystkie zadania”.

Świetna robota, Whit! Dzięki Bogu nie zapomniała, jak się sprząta. Może jej pokój będzie już zawsze schludny?

W Chrystusie,

Rodzina Whitney

*Piątek, 21 lipca 2006 roku* Byliśmy dziś pod wrażeniem Whitney! Można już oficjalnie powiedzieć, że wrócił jej dawny uśmiech i dołeczki. Nadal ćwiczy zgodnie z planem. Dzisiaj sprzątała kuchnię oraz swój pokój. Zmierzyłem czas, jakiego potrzebowała na przejechanie na wózku korytarza; pomyka już całkiem nieźle. Ma coraz silniejsze ramiona... Wczoraj, gdy wsiadała do chevroleta, sama podniosła się i wspięła na fotel.

Staje się też coraz bardziej spontaniczna. Mam na myśli błyskotliwość, jaką przejawia w rozmowach. Wyraz twarzy także ma bardziej naturalny. Bóg nieustannie wzmacnia jej ciało i umysł. Chwalimy Go za wszystko, co dla nas robi.

Jutro wielki dzień! Whitney będzie miała kilka spotkań z lekarzami. Jednym z najważniejszych będzie spotkanie z chirurgiem-ortopedą. Teraz sprawdza, czy jest w stanie przenieść środek



ciężkości na lewą nogę i utrzymać taką pozycję. Dziękujemy za wszystkie modlitwy, dzięki nim Whitney zdrowieje w oczach.

W Chrystusie,

Ojciec Whitney

*Czwartek, 3 sierpnia 2006 roku*

To był doskonały dzień. Po zakończeniu zwykłych porannych zajęć mieliśmy spotkanie z całym zespołem terapeutów i z panią neu-ropsychołog. Aż trudno uwierzyć, że od wypadku minęło zaledwie trzy miesiące z niewielkim okładem. Nam cały ten okres strasznie się dłużył. Lekarze już na początku spotkania skonstatowali, że rekonwalescencja Whitney - od zdiagnozowania poważnego urazu mózgu i kilku złamanych kości do stanu, w którym jest dzisiaj -wcale nie była małym cudem. Była cudem wielkim! Bóg jest dla nas dobry. Obecne postępy znacznie przekraczają pierwotne oczekiwania. Wszyscy terapeuci i logopeda zgodnie oceniają w swoich raportach, że rehabilitacja przebiega wzorowo. Wszyscy byli wyraźnie ucieszeni postępami, jakie mogli zaobserwować w ciągu trzech tygodni od ostatniego spotkania zespołu. Neuropsycholog była pod ogromnym wrażeniem i stwierdziła, że jak dotąd terapię można nazwać co najmniej wyjątkową. Przed nami jeszcze daleka droga, ale dotychczasowe postępy napawają optymizmem.

Whitney musi się teraz skoncentrować przede wszystkim na odporności psychicznej oraz sprawności przetwarzania informacji. W tych sferach również zaobserwowaliśmy już znaczną poprawę. Nie ustajemy w modlitwie o całkowite uzdrowienie Whitney.

Mamy świetne wieści: jest lepiej, niż się spodziewaliśmy. Nie zakładaliśmy wcześniej, że Whit mogłaby wrócić na uczelnię

jeszcze tej jesieni. Mieliśmy natomiast pewność, że uda się jej powrócić na semestr letni. Ale raport sprawił, że mamy jeszcze więcej optymizmu. Usłyszeliśmy, że oba scenariusze mają wady i zalety. Mieliśmy zdecydować sami, i stwierdziliśmy, że najkorzystniej na rekonwalescencję wpłynie powrót na Uniwersytet Taylora. Kiedy decyzja stała się już faktem, twarz Whitney pojaśniała. Nie przestawała się uśmiechać i powtarzać, że to jest najlepszy dzień w jej życiu...

W Chrystusie,

Rodzina Whitney

*11 sierpnia 2006 roku*

„Nie opuszczę cię ani pozostawię...”. Oto chwila, na którą wszyscy czekaliśmy!!!!!!! „Nie opuszczę cię ani pozostawię. Śmiało więc mówić możemy: Pan jest wspomóżycielem moim, nie ulęknię się, bo cóż może mi uczynić człowiek? [...] Jezus Chrystus wczoraj i dziś, ten sam także na wieki”(Hbr 13,5-6 i 8).

Witam wszystkich czytelników błoga. Przy klawiaturze Whitney! Dobrze w końcu osobiście zdać wam raport o... sobie samej! Ostatnie trzy miesiące zmieniły życie wielu. Każdy przeżył to na swój własny sposób. Ja również.

Doskonale pamiętam osiemnaście lat swojego życia, aż do bankietu poprzedzającego wypadek. Kolejną rzeczą, którą pamiętam, są twarze Carly, Sandry i mamy oraz dużo łez. Zdaję sobie sprawę, że w mojej pamięci jest pięcioletni luka. Dziwnie mi się robi, gdy o tym słucham, ponieważ wszyscy pamiętają ten okres, tylko nie ja. W szpitalu odwiedzało mnie wiele osób,

między innymi Van Rynowie. Wiem, że spędzili przy mnie całe pięć tygodni, ale ja pamiętam jedynie ich późniejsze wizyty. To wspaniali ludzie. Swoją drogą, rozbawiło mnie, gdy usłyszałam, jak zachowywałam się tuż po przebudzeniu.

Kiedy dowiedziałam się, że w wypadku zginęło pięć osób, ogarnął mnie smutek. Naszą drogę powrotną do Upland pamiętam jak przez mgłę. Śmialiśmy się i świetnie bawiliśmy. Tak bardzo mi żal wszystkich pięciu rodzin. Nie wiem, jak to wszystko mogło się wydarzyć, ale dzięki temu zdarzeniu wszyscy usłyszeliśmy wyraźnie wiadomość od samego Boga. Wiem, że moje doświadczenie było wyjątkowe, ale Bóg okazał mi swoją wierność. On towarzyszy nam na każdym kroku, nawet w najgorszych chwilach. Nie mam wątpliwości, że trwał przy mnie przez te ostatnie kilka miesięcy. Terapia była ciężką pracą, dlatego dziękuję Bogu za pomoc wyleczeniu.

To dziwne, gdy pomyślę, że rodzina i przyjaciele wyprawili mi pogrzeb, ale zapewnili mnie, że również im Bóg okazał wierność w tym czasie. Trudno mi uwierzyć, że moja historia jest pokazywana w telewizji i że wszyscy o mnie wiedzą. Chociaż nie znam większości z Was, którzy to czytacie, serdecznie dziękuję za wszystkie Wasze modlitwy.

Tak bardzo się cieszę, że wracam do domu, a za kilka tygodni znów pojawię się na uczelni! Nie mogę się doczekać powrotu do normalnego życia. Dlatego też ten wpis na blogu jest moim pierwszym i zarazem ostatnim. Pragnę zakończyć ten okres mojego życia.

Jestem wreszcie w domu, Whitney

## **Życie toczy się dalej**

*18 sierpnia 2006 roku*

Nie chce mi się wierzyć, że jesteśmy w domu już od ponad tygodnia. Czas upływa nam bardzo szybko, gdyż Whitney usiłuje zmieścić całe wakacje w dwóch tygodniach (co wychodzi jej całkiem nieźle). Najważniejszym wydarzeniem dla nas wszystkich była pierwsza od Wielkiejnocy niedzielna wizyta w kościele. Ależ świętowaliśmy! Z niecierpliwością oczekiwaliśmy możliwości podzielenia się ze społecznością kościelną naszymi przeżyciami. Tego lata Bóg spełnił wszystkie nasze prośby, i obdarzył nas swą miłością. Gdy całą rodziną, wraz z Whitney, wchodziliśmy do kościoła, zebrani wierni przywitali nas gromkimi brawami. Tak się złożyło, że na tę niedzielę przypadła data dorocznego kościelnego pikniku, toteż spędziliśmy wspaniałe popołudnie, które upłynęło na przytulaniu i całowaniu Whitney. Wspaniałe jest być w domu, spać we własnym łóżku, zasiadać do wspólnych, domowych posiłków i cieszyć się życiem. Hunter (nasz pies) i Taylor (nasz kot) też są zadowolone z naszego powrotu.

Whitney radowała się każdą minutą spędzoną z przyjaciółkami. Spotkanie odbyło się w sprzyjającym czasie, bo właśnie wiele

dziewcząt szykuje się już do powrotu na studia. Wielką przyjemność sprawiło jej to, że mogła wybrać się wraz z koleżankami do La Señority na tradycyjny babski wieczór. Mamy świetną pogodę, więc Whitney miała też okazję kilkakrotnie pojechać nad jezioro i spędzić parę wieczorów przy ognisku. Dla wzmocnienia siły mięśni i wytrzymałości nadal uczęszcza na fizjoterapię. Po raz kolejny Bóg obdarzył nas świetnym terapeutą.

Nasze życie wraca do normy, a my nadal modlimy się za inne rodziny, które uczą się żyć na nowo.

Z wyrazami miłości,  
Mama Whitney

### *Ostatni wpis na blogu*

Choć Whitney nie mogła się doczekać powrotu na uczelnię, kiedy już znalazła się na kampusie, ogarnął ją strach. Tuż przed opuszczeniem ośrodka Hope Rehabilitation Services przeszła ostatni test neuropsychologiczny. Wynik był znacznie lepszy niż w połowie czerwca i terapeuci określili jej postępy jako „cud”. Jednak sama Whitney nadal nie była z siebie zadowolona. W drodze z akademika na pierwsze nabożeństwo w nowym roku akademickim Whitney czuła na sobie spojrzenia wszystkich wokoło. Przybliżyła się do Emily, swej koleżanki z pokoju, jakby próbowała się schować. Wszyscy ją rozpoznawali i odwracali ku niej głowy. Nawet jeśli nie zwracali się do niej bezpośrednio, i tak słyszała, jak szeptali między sobą: „Patrz, to ona”. Whitney była wyraźnie tym speszona. Przede wszystkim chciała być zwykłą studentką na kampusie, jak to było przed wypadkiem. Zwróciła się do Emily:

- Mam nadzieję, że to nie był błąd. Nie jestem pewna, czy to jest miejsce dla mnie.

- Co ty wygadujesz, Whit? Oczywiście, że to miejsce dla ciebie - zapewniła Emily.

- Może i tak - przytaknęła Whitney. Nie mogła przestać myśleć o wynikach ostatniego testu neuropsychologicznego. „Poziom trzynastolatki. Mam poziom trzynastolatki... i wróciłam na studia? Czyli jestem gimnazjalistką, próbującą dostać się na studia. Jak mogłam wierzyć, że to się uda.

Przy wejściu dziewczyny spotkały Amy i Anne.

- Usiądźmy tutaj - zaproponowała Amy i weszła pierwsza. Cała czwórka przeszła w kierunku środkowego sektora z rzędami składanych krzeseł ustawionych na parkiecie boiska do koszykówki i tam usiadły. Otoczyły je tłumy studentek. I znowu wszystkie oczy zwróciły się ku Whitney. Jedna czy dwie osoby powiedziały:

- Cześć, Whitney. Jak sobie radzisz? Dobrze cię znowu widzieć.

Uśmiechała się i odpowiadała „dobrze” i „dziękuję”, ale w środku myślała: „Nie mogę się doczekać, aż to zainteresowanie minie”. Nabożeństwo rozpoczęło się występem jednego z kościelnych zespołów. Whitney oraz jej przyjaciółki wstały i dołączyły do reszty śpiewających zgromadzonych w sali gimnastycznej. W miarę jak wszyscy koncentrowali się na modlitwie, coraz mniej osób odwracało się w jej kierunku. Tymczasem ona, wraz z przyjaciółkami, klaskała w dłonie i zupełnie zatraciła się w muzyce. „Na to właśnie czekałam” - pomyślała.

## **Życie toczy się dalej**

Gdy muzyka ucichła, wstał rektor Uniwersytetu Taylora, aby przemówić do młodzieży. Przywitał studentów na kolejnym roku studiów i przedstawił swoje oczekiwania dotyczące nadchodzącego semestru. I wtedy nadeszła chwila, której Whitney obawiała się najbardziej.

- Mamy tu dziś z nami prawdziwy cud. „O nie. Proszę tak nie mówić. Proszę, nie!”

- Jak pamiętacie, w poprzednim semestrze społeczność Uniwersytetu Taylora doznała bolesnego ciosu. Straciliśmy pięcioro wspaniałych, odważnych młodych ludzi.

„O nie, proszę mówić tylko o tej piątce”.

- Ale Whitney Cerak przeżyła ten wypadek i, mimo poważnych ran, jakie odniosła, jest dziś wśród nas.

Cała sala gimnastyczna rozbrzmiała brawami. Whitney zapadła się na swoim krześle i chciała zniknąć.

- Wszystko w porządku, Whit - uspokajała ją Emily. - Po dzisiejszym dniu będzie już normalnie, zobaczysz.

- Mam nadzieję - odparła Whitney.

Pierwsze dni były dla wszystkich najdziwniejsze. Zarówno wykładowcy, jak i studenci pragnęli pokazać Whitney, jak bardzo się cieszą z jej powrotu do zdrowia, ale nie chcieli z tym przesadzać. Ponieważ fizycznie wyglądała już świetnie, wielu zakładało, że w podobnym stopniu ustąpiły także efekty urazu mózgu. Byli w błędzie. Newell i Colleen pozwolili jej na powrót do szkoły, pomni zapewnień lekarzy: bodźce, których doświadczy, mają sprawić, że „zniszczony huraganem las będzie odrastał szybciej i sprawniej”. Whitney zapisała się na mniejszą liczbę kursów, dających jej tylko sześć punktowanych

godzin zajęć, łącznie z zajęciami z golfa. Trzy razy w tygodniu wyjeżdżała do Fort Wayne na dodatkową terapię. Jednak taki plan zajęć sprawił, że czuła się jeszcze bardziej odosobniona. Mimo że uczelnia zapewniła jej osobistego nauczyciela, z trudem nadążała za resztą.

Trzy tygodnie po rozpoczęciu semestru na wyświetlaczu telefonu Newella pojawił się numer Whitney.

- Hej, Whit. Miło cię usłyszeć - zaczął. Nie był to pusty frazes. Od dnia, w którym Colleen zadzwoniła z informacją, że jego córka żyje, każde wypowiedziane przez nią zdanie było dla niego na wagę złota.

- Tato - powiedziała tonem, który od razu zdradził, że coś jest nie tak. - Chcę wracać do domu.

- Co się stało?

- Nienawidzę tego miejsca. Nie pasuję tu. Nie chcę tu być - Whitney zaczęła łkać do słuchawki. - Już nie jestem sobą, tato, i źle mi z tym. Wiem, że się zmieniłam, i wiem, że wszyscy dokoła zastanawiają się, co się stało z dawną Whitney. Już nie jestem zabawna. Nie chcę być między ludźmi. Nie jestem sobą.

Newell nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby miał zaufać uczuciom, błyskawicznie wskoczyłby do samochodu i pognął do Upland. Strasznie za nią tęsknił. Odległość między Gaylord a Upland jeszcze nigdy wcześniej nie wydawała mu się taka wielka.

- Whit, kochanie. Postaraj się zacisnąć zęby i wytrzymać do końca tego semestru, a później zobaczymy.

- Czemu Bóg mi to robi? Czemu pozwolił, bym miała ten wypadek, a potem kazał wrócić do szkoły? Tato, jestem



gimnazjalistką. Mam poziom trzynastolatki. Sama nie wiem, czego się spodziewałam.

- Rozmawiałaś o tym z Carly?

- Tak, cały czas o tym rozmawiamy.

- I co ona na to?

- Nie za wiele. Raczej słuchała. Mówiła to, CO ty. Kazała mi wytrwać do końca semestru.

- Dasz radę?

- Nie wiem. Mogę spróbować - skwitowała Whitney. W ciągu kolejnych dwóch miesięcy Newell odbierał

podobne telefony jeszcze kilkakrotnie. Choć wszyscy terapeuci zgodnie twierdzili, że Whitney radzi sobie doskonale, ona sama była przygnębiona. Tak ciężko pracowała, aby móc powrócić do szkoły, a teraz, gdy jej się udało, doszła do wniosku, że tam nie pasuje. Każdy dzień był drogą przez mękę - w wymiarze akademickim, społecznym i emocjonalnym. Ojciec był jedną z niewielu osób, z którymi mogła się tym podzielić.

Kilka dni przed planowanym wspólnie przez Whitney i Carly wyjazdem do domu na Święto Dziękczynienia zadzwonił telefon domowy.

- Ja odbiorę - zawołał Newell i podniósł słuchawkę ze stołu.

- Tato - dzwoniła Whitney, ale ton jej głosu był zupełnie inny.

- Hej, Whit. Jak się czujesz?

- Miałam następny test neuropsychologiczny. Właśnie dostałam wyniki. -No i?

- Powiedzieli mi, że jestem na poziomie drugiego roku studiów! - zawołała, jakby wygrała na loterii.

Newell zaczął płakać.

Colleen przestraszyła się, że stało się coś złego, i spytała:

- Co się dzieje?

Newell nie był w stanie odpowiedzieć. Wręczył żonie słuchawkę, a sam usiadł i łkał.

- Whitney, tu mama. Czy wszystko w porządku?

- Tak, mamo. Wszystko super. Dostałam wyniki ostatniego testu neuropsychologicznego. Jestem na poziomie drugiego roku studiów, czyli tak jak powinno być. Dasz wiarę?

- Pewnie że dam. Ani na minutę w ciebie nie zważyłam - zapewniła Colleen. Rozmawiały jeszcze przez kilka minut. Już po tonie głosu i sposobie mówienia córki Colleen wywnioskowała, że Whitney nie zrezygnuje ze szkoły przed końcem semestru.

Odłożyła słuchawkę. Colleen i Newell padli sobie w objęcia i utonęli we łzach. Ich córka pokonała kolejny zakręt, doznając przy tym kolejnego cudu.

Nie wiem, co mam mówić!

Boże, Ty jesteś moim schronieniem - proszę, uchron mnie. Jesteś moją siłą-jestem bezgranicznie słaba. W Tobie znajdę pokój i ukojenie - patrz na mnie przez kolejne dni.

*Ostatni wpis w modlitewniku Susie, rozpoczętym 26 kwietnia 2006 roku. Modlitewnik miał być prezentem dla Laury po jej powrocie do domu*

Susie siedziała w bujanym fotelu na zabudowanej werandzie jednorodzinnego domku i gapiała się przez otwarte drzwi w kierunku stołówki. Lisa i Julie - przyjaciółka Susie, z którą rozmawiała w noc wypadku - jeszcze spały. Przebiegło kilku obozowiczów wznoszących okrzyki typowe dla dzieciaków na obozie. Inni siedzieli jeszcze w swoich domkach po drugiej stronie obozu, z dala od opiekunów. Chociaż kalendarz pokazywał, że jest lipiec, w powietrzu można było poczuć szczypiący chłód. Susie prawie go nie odczuwała. Siedziała w fotelu i patrzyła. Na jej kolanach leżała Biblia otwarta na Księdze Przysłów. Choć od czasu wypadku odnalazła w niej pocieszenie i siłę, tego ranka nie miała ochoty na lekturę. Na nic nie miała ochoty. Już wstanie z łóżka było dla niej nie lada wyczynem.

Gdyby mogła, tkwiłaby dalej w pościeli zakopana po samą głowę i nie wychylała nosa. Ale wiedziała, że musi wstać. Musiała zmusić się do zwleczenia nóg z łóżka, musiała też zmusić resztę ciała do działania. Tylko dlatego, że musiała. Gdy już była na nogach, udało jej się ubrać, uczesać i wykonać resztę czynności niezbędnych do rozpoczęcia dnia. Ale dotarła tylko do fotela na werandzie.

Siedząc tak i wlepiając wzrok w okno, ujrzała kolejnych obozowiczów wychodzących z domków i udających się do stołówki. Pomyślała, jak okrutne jest życie, które dalej pędzi naprzód. Jej wzrok padł na Biblię, ale ciąg liter na stronie zlał się w jej oczach w jedno, długie, niezrozumiałe słowo. Przyjrzała się lepiej i udało jej się odczytać jeden wers, który wyglądał, jakby spadał ze strony. „Serce zna własną gorycz, obcy nie

dzieli jego radości" (Prz 14,10). „Gorycz i radość w jednym, oto co czuję. Ale jak to możliwe, Panie?" - pomyślała.

Jej uwagę odwrócił piskliwy dźwięk chichoczących dziewcząt. „Czy one nie wiedzą? - pomyślała Susie. - Czy one nie wiedzą, że świat przestał istnieć?". Wypełniał ją smutek wynikający z faktu, że życie w świecie, który się zawalił, nie oszczędzało jej ciosów.

„O, Boże, dlaczego? - modliła się. - Czemu życie się toczy, kiedy ja chcę, by stanęło? Czemu idzie naprzód, kiedy ja nie potrafię się ruszyć?". Zaczęła łkać. Jeszcze kilka minut wpatrywała się w pustkę, zanim zdała sobie sprawę, że musi wstać. Siedzenie w fotelu w zaciszu domku było wprawdzie lepsze niż zakopanie się w pościeli, ale tylko nieznacznie. Gdy próbowała zebrać siły i wstać, jej uwagę przykuła wisząca na ścianie tuż przy drzwiach fotografia. Zdjęcie zrobił Don poprzedniego lata. W poprzednie wakacje Kenny, Mark i Lisa pracowali, a Laura odbywała staż w okolicach Detroit. Ale wszystkim udało się zjechać na obóz na jeden tydzień i wtedy Don zrobił im grupowe zdjęcie, które teraz wisiało na ścianie w Wiewiórczym Domku. Podobnie jak inne związane z Laurą wspomnienia, to również było słodko-gorzkie. Susie postanowiła skupić się na tej słodszej stronie. Dało jej to siłę potrzebną do powstania i wyjścia przez otwarte drzwi.

Zdążyła odejść na odległość stu metrów od domku w kierunku stołówki, kiedy przeszła obok niej jedna z obozowiczek i przywitała się krótkim: „Dzień dobry". Susie odpowiedziała uśmiechem i pomachała dziewczynie, która pobiegła dalej. Zbliżając się do stołówki, coraz wyraźniej słyszała śmiechy

oraz brzęczenie garnków i patelni. Weszła po schodkach na werandę, po czym wślizgnęła się do kuchni tylnym wejściem. Był Dzień Naleśnika. Gdy na obozie przebywał Don, zawsze nalegał, by w menu były naleśniki. Susie wyobraziła go sobie stojącego przy kuchence w stroju szalonego irlandzkiego kucharza - specjalisty od naleśników, w koszulce do rugby, którą kupił dla niego Mark podczas jednego semestru studiów spędzonego w Irlandii.

- Dzień dobry, ciociu Suz - przywitała ją jedna z wielu studentek pracujących latem w kuchni. Na dźwięk jej imienia odwróciły się inne osoby. Chociaż Susie była szefem kuchni, odkąd dwadzieścia lat wcześniej pałeczkę przekazała jej matka Dona, tego roku nie spędziła w kuchni zbyt wiele czasu.

- Dzień dobry - odpowiedziała Susie. - Wszystko gra?

— Jak w zegarku. Lepiej być nie może, chociaż to Dzień Naleśnika. Wiesz, co to oznacza.

V - Szalony dzień - Susie dokończyła myśl dziewczyny. - Ale za tydzień na obozie chłopców będzie jeszcze bardziej szalony. Dziewczyny nie jedzą aż tyle co chłopcy, chociaż niewiele im brakuje.

Dziewczyna zaśmiała się. Susie przeszła się po kuchni, posyłając uśmiechy na prawo i lewo i witając się ze wszystkimi, a następnie zawróciła w kierunku tylnych drzwi.

- Wygląda na to, że wszystko macie pod kontrolą. Oby tak dalej - powiedziała i nacisnęła klamkę.

Na prawo od drzwi, w przykuchennym gabinecie, siedziała jej szwagierka Ruthann. Ich spojrzenia się spotkały i Ruthann wiedziała już, jaki to był dzień dla Susie. Jej syn,

Matt, zginął pięć lat wcześniej w wypadku samochodowym nieopodal obozu.

Gdy była już na zewnątrz, Susie udała się w kierunku domku, lecz po drodze zaczęła się wahać. Zawiał wiatr i zakołysał sosnami, a z jednej dziupli do drugiej, tuż przy werandzie stołówki, przeskoczyła wiewiórka. Susie wzięła głęboki wdech. „Po prostu się nie zatrzymuj - powiedziała do siebie. - Nie zatrzymuj się!”. Wróciła myślami do Fort Wayne i do dnia, kiedy weszła do szpitalnej sali i ujrzała Laurę - nie Laurę, Whitney - siedzącą na fotelu ortopedycznym. Tamten widok ją przeraził. Przypomniała sobie swoją reakcję. Pomyślała wtedy: „Jak okrutne są pielęgniarki!”. Zmusiły jej córeczkę - nie, tę okaleczoną dziewczynę - do siedzenia, podczas gdy ona miała tylko leżeć i wypoczywać. Z tym że one nie były okrutne. Whitney potrzebowała zmiany pozycji i więcej ruchu, aby mogła zacząć zdrowieć. Teraz to Susie potrzebowała aktywności i ruchu, w przeciwnym wypadku nigdy by nie wyzdrowiała. To też wydawało jej się okrucieństwem, ale okrucieństwem niezbędnym.

„Nie zatrzymuj się” - powtarzała sobie, idąc od stołówki w głąb obozu. Obóz był dla niej i dla reszty jej rodziny schronieniem. I tego właśnie potrzebowali. Wzięła sobie w zakładzie fryzjerskim przedłużony urlop. Jej koleżanki z pracy przejęły na ten czas jej klientki, i taka sytuacja trwała już od końca kwietnia. Zorganizowały nawet zbiórkę pieniędzy na pokrycie kosztów, które rodzina poniosła przez wiosnę i lato. Praca mogła poczekać. Susie wiedziała, że powinna spędzić na obozie nie tylko kolejny tydzień czy miesiąc, ale calutkie lato.

Przemierzając obóz, usłyszała trzaskanie moskitier, za chwilę dźwięk się powtórzył. To obozowicze tłumnie opuszczali domki i kierowali się do stołówki na śniadanie. Wydawało jej się, że słyszy też śmiech Laury i widzi ją, jak biegnie razem z resztą dziewcząt. Choć Van Rynowie mieli własny domek po drugiej stronie obozu, Laura od pierwszych spędzonych tu wakacji zawsze mieszkała z dziewczynami w podłużnych domkach przypominających akademiki.

Susie oddalała się od stołówki i dotarła do miejsca, gdzie palono ogniska. Przynajmniej raz w ciągu każdego turnusu opiekunowie organizowali wielkie ognisko, wokół którego zbierali się wszyscy obozowicze. Susie wyobraziła sobie Laurę i Lisę, siedzące przy ogniu i grające na gitarach, prowadzące tym samym zbiorową modlitwę. To Lisa nauczyła Laurę gry na gitarze. Uwielbiały razem grać. Między okrzykami bawiących się w oddali dziewcząt Susie niemal potrafiła dosłyszeć śpiew obu córek. Po policzkach popłynęły jej łzy, ale była uśmiechnięta.

Potem usiadła na ławeczce tuż przy piaszczystym brzegu jeziora. Nie potrafiła wymazać wspomnienia pewnego pięknego dnia sprzed szesnastu lat, kiedy to dokładnie na tej plaży Laura poprosiła któregoś z opiekunów, by się z nią pomodlił. Dziewczynka zastanawiała się nad Jezusem i Bogiem oraz wszystkimi prawdami zawartymi w Biblii, o których słuchała od urodzenia. Tego dnia, jako sześciolatka, Laura usiadła z opiekunem nad brzegiem jeziora i zaczęła wymawiać słowa prostej modlitwy, w której prosiła Jezusa o zbawienie. Niedługo później napisała swą pierwszą pieśń. Słowa tej pieśni

odczytała Lisa podczas nabożeństwa pogrzebowego Laury.  
Nigdy nie brzmiały lepiej niż wtedy.

Mała dziewczynka, siedząc na plaży.

Poprosiła przyjaciela o lekcję.

Czy to prawda, że Jezus umarł za Ciebie?

- Czy to prawda, że Jezus umarł za mnie?

Czy to prawda, że umarł za nasze grzechy?

Czy to prawda, że przyjdzie z powrotem?

- Proszę, Boże, pomóż, pomóż mi zrozumieć  
Proszę, pomóż mi, o Panie.

Chcę się modlić tymi słowami

Chcę wyjść i dzielić się.

Z ludźmi, których nie obchodzisz.

Dzielić się Tobą, Panie.

Susie uśmiechnęła się na myśl, jak niewinna była to modlitwa.  
„Twoja wiara była zawsze taka mocna, od samego początku. Całe życie chciałaś tylko dzielić się z ludźmi Bożą miłością. Oh, Laurie. Wydaje się, że jesteś tak blisko, a jednocześnie tak daleko!”.

Słońce wzeszło wyżej i ogrzało siedzącą na brzegu jeziora Susie. „Mała dziewczynka, siedząc na plaży...” nadal dźwięczało w jej uszach. „Panie, pomóż mi - modliła się. - Jestem taka słaba... ale Ty jesteś mą siłą”.



## Epilog

### Od Whitney

Gdy sama czytałam historię, którą właśnie poznaliście, większa jej część była dla mnie tak samo nowością jak dla was. Wiele razy w czasie lektury wołałam: „O mój Boże, naprawdę tak było?” albo: „Naprawdę to zrobiłam?”. Nie pamiętam niczego, od czasu gdy wsiadałam do vana na parkingu jakiejś rodzinnej pizzerii w Fort Wayne w noc wypadku, aż do pobudki pewnego czerwcowego poranka w Grand Rapids w pokoju, w którym oprócz mnie siedziały mama, siostra i Sandra. Pamiętam, że gdy je zobaczyłam, płakały, a ja nie wiedziałam czemu. Pamiętam też, jak Stephanie, czyli logopedka, powiedziała: „Aha, właśnie dzięki temu wiesz, że to prawda. Bo podchodzi do tego emocjonalnie...”. Nie jestem pewna, co to miało znaczyć, gdyż mój umysł jeszcze nie był w stanie analizować słów, ale to jedna z pierwszych rzeczy, które pamiętam od czasu wypadku. Poza tym - jedna wielka dziura.

Ludzie próbowali opowiadać mi o wszystkim, co się ze mną działo po wypadku, lecz i tak nie znałam całej masy faktów opisanych w tej książce, zwłaszcza tych związanych z rodziną Van Rynów. Niedawno Lisa przepraszała mnie za to, że wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że ja to nie Laura. Poprosiłam ją, by nigdy więcej tak nie mówiła. Van Rynowie nie mają za co przepraszać! Kocham ich i cenię sobie to, co dla mnie zrobili. Są niesamowici. Wydaje mi się, że większość ludzi byłaby wściekła z takiego obrotu wydarzeń, ale nie oni. Ani razu nie zachowali się w stylu: „Czemu to ty przeżyłaś, a nie Laura?”. Wprost przeciwnie.

Podczas spotkania obu rodzin w pierwszą rocznicę wypadku moja mama wyznała Van Rynom, że trudno jest jej z nimi rozmawiać, ponieważ szczęśliwe zakończenie stało się naszym udziałem. Don spojrział wtedy na mnie i powiedział: „Naszym też. Po prostu nie zrozumieliśmy jeszcze tego wszystkiego”. Wiele to dla mnie znaczyło. Cała rodzina Van Rynów dała mi poznać, że moje wyzdrowienie było odpowiedzią na ich wszystkie modlitwy od dnia wypadku. Niesamowite jest to, że w ogóle mogli tak myśleć.

Tak jak przeczytaliście w ostatnim rozdziale: gdy lekarze pozwolili mi wrócić do normalnego życia, przyszło mi to z trudnością. Chyba najbardziej przeżywałam fakt, że to ja, a nie ktoś inny, jako jedyna osoba przeżyłam wypadek. Tak naprawdę nawet nie znałam Laury ani Laurel. Brad i ja też nie byliśmy blisko, ale znałam go na tyle, by wiedzieć, jaki jest wspaniały. Kochałam Betsy. Chodziłam z nią na jedne zajęcia. Traktowała mnie naprawdę wyjątkowo, mimo że byłam

studentką pierwszego roku. Gdybym szła przez kampus i nagle usłyszała, jak ktoś z uśmiechem na ustach woła, machając do mnie: „Hej, Whitney!”, byłaby to właśnie Betsy. Miała wielkie serce dla ludzi. Nie mogę uwierzyć, że odeszła. Mimo że nie znałam kilku osób spośród ofiar wypadku, im więcej się o nich dowiaduję, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że wszyscy oni byli wyjątkowi. W zeszłym roku czasami próbowałam się z nimi porównywać. Wszyscy tak bardzo kochali Boga, byli gotowi zrobić dla Niego wielkie rzeczy. Czemu to mnie Bóg zostawił na ziemi, a nie ich? Nie potrafiłam tego zrozumieć.

Wiele rozmawiałam o tym przez telefon z tatą. Pewnej nocy powiedział w końcu: „Whitney, czemu nie ty? Każde z was mogło przeżyć. Wszystko zależało od tego, kto gdzie usiadł. Nie musisz czuć się winna, że wyszłaś z tego cała”. Dużo myślałam o tym, co powiedział. W końcu zaczęło do mnie docierać, że chyba miał rację.

Podczas mszy odprawianej w rocznicę wypadku Don Van Ryn powiedział, że każda z osób jadących vanem z radością oddałaby życie w imię Chrystusa. Głęboko wierzę, że tak właśnie było. Od czasu wypadku oraz pomyłki co do naszych tożsamości wielu ludzi usłyszało o łasce Boga i jej doświadczyło. To ludzie, którzy nie doznaliby tego w innych okolicznościach. Na blogu pojawiały się komentarze osób, które pisały, że nasza historia nawróciła ich na chrześcijaństwo. Inni nawrócili się na pogrzebie moim lub Laury. Don uważał, że właśnie tego życzyliby sobie wszyscy, którzy zginęli w wypadku - i to bez względu na cenę. Gdy wypowiadał te słowa, uzmysłowiłam sobie, że działanie Boga można dostrzec

w każdej sytuacji - dobrej i złej. Nadal się tylko zastanawiam: skoro miało przeżyć tylko jedno z nas, czemu to byłam ja, a nie Betsy, Brad, Laurel, Monica lub Laura. Nie potrafię tego zrozumieć. Może nie powinnam o tym myśleć? Ale nawet jeśli nie poznam odpowiedzi, wiem, że Bóg miał w tym jakiś cel, nawet jeśli nigdy go nie zrozumieję.

Sama świadomość, że Bóg tak chciał, nie ułatwiała życia. Po moim powrocie do szkoły co chwilę podchodzili do mnie ludzie, mówiąc: „Bóg jeszcze nie zdradził ci całego swojego planu, jaki ma dla ciebie. Ma w zanadrzu coś wspaniałego”. Nigdy nie wiedziałam, co im odpowiedzieć. Wiedziałam, że chcieli dobrze, ale chyba nie do końca rozumieli, jak to jest być adresatem takich słów. Dowiedzieliście się z książki, że razem z tatą w każdy Memoriał Day oglądamy *Szeregowca Ryana*. Pod koniec filmu bohater, grany przez Toma Hanksa, wypowiada do szeregowca Ryana swoje ostatnie słowa przed śmiercią, coś w rodzaju: „Zasłuż na to”. Brzmi to, jakby polecił Ryanowi, by ten zrobił w swoim życiu coś, co będzie warte śmierci pozostałych żołnierzy. Mniej więcej tak się czułam, gdy ktoś mi mówił, że Bóg musi mieć dla mnie jakąś wielką misję. Zaczęłam myśleć, że jeśli nie uczynię czegoś wyjątkowego, zawiodę i Boga, i ofiary wypadku.

Pewnego dnia byłam na kawie z przyjacielem o imieniu Brad. Opowiedziałam mu trochę o swoich odczuciach, a on w odpowiedzi przeczytał mi przypowieść z Pierwszej Księgi Królewskiej ze Starego Testamentu. Opowiada ona o proroku Eliaszu, który wybiera się na pustynię, by porozmawiać z Bogiem. Czekaając na Boga, słyszy nadchodzącą wichurę, tak

silną, że aż rozrywa skały. Ale Boga nie ma w wietrze. Następnie nadchodzi trzęsienie ziemi, ale Boga w nim nie ma. Później przychodzi ogień, ale Boga w ogniu nie ma. W końcu słyszy słaby szept i zdaje sobie sprawę, że to właśnie mówi Bóg. Gdy byłam na pierwszym roku, tę samą przypowieść czytał mi ktoś inny, dlatego wierzę, że w ten sposób Bóg chciał mi coś przekazać.

Zrozumiałam, że zamiast spodziewać się potężnej wichury czy trzęsienia ziemi, raczej powinnam pozwolić Mu szeptać przez całe moje życie. Dzięki tej przypowieści dotarło do mnie, że nie muszę niczego udowadniać Bogu wielkimi czynami. Wystarczy, że będę opiekunką na obozie, która zmieni życie jednej osoby, lub będę kochającą swoje dzieci matką, uczącą je o Chrystusie. Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu uzmysłowiłam sobie, że celem Boga jest to, bym pozwoliła Mu na oddziaływanie na moje życie, w sprawach małych i dużych. Możliwe, że mój udział w pisaniu tej książki będzie ostatnią z tych „dużych” spraw. Jeśli tak ma być, jestem na to gotowa.

Wypadek i wydarzenia, które nastąpiły po nim, zmieniły moje życie. Jestem jedyną osobą, o której słyszałam, że oglądała własny pogrzeb. Strasznie dziwne uczucie. Zrobiłam to raz - o raz za dużo. Dobrze, że nie nagrali całej mszy na DVD, bo chyba nie dałabym rady tego obejrzeć.

Dziwi mnie także fakt, że ludzie, których nie znam, czują się w jakiś sposób ze mną związani. Pewnego razu podeszła do mnie ze łzami w oczach zupełnie obca kobieta. Zaczęła opowiadać, że jej córeczka śledziła na bieżąco moją historię

w internecie. Zapytała, czy może mi zrobić zdjęcie dla córki. Niesamowite.

Dziwnie było też oglądać własne zdjęcie na okładce „The National Enquirer” oraz „People”. Oba czasopisma uznały historię moją i Laury za jedno z największych wydarzeń 2006 roku. Stwierdziłam, że to przedziwne. Wiele faktów opisanych w przeróżnych gazetach miało się z prawdą i chyba dzięki temu teraz inaczej patrzę na ludzi i media.

Naprawdę jestem zupełnie inną osobą niż przed wypadkiem. Kiedyś byłam bardziej towarzyska i ze wszystkiego robiłam sobie żarty. Uraz mózgu wpłynął na moją osobowość. Teraz znacznie więcej swoich myśli zachowuję tylko dla siebie. Przed wypadkiem sypałam dowcipami jak z rękawa, w każdej sytuacji potrafiłam zareagować błyskotliwą ripostą. Tuż po powrocie na Uniwersytet Taylora mój umysł nie był jeszcze zdolny do takich zachowań. Bywało, że na przykład siedziałam z grupą znajomych i kiedy ktoś powiedział coś śmiesznego, chciałam dodać coś od siebie, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Gdy w końcu wiedziałam, jak odpowiedzieć, było już za późno. Teraz jest znacznie lepiej, ale i tak nie ma porównania z dawną Whitney.

Chyba najtrudniej było mi właśnie pogodzić się z faktem, że nie jestem już tą samą osobą. Wiedziałam, że moje zdolności poznawcze poprawią się, i tak się stało. Lekarze powiedzieli, że po takim urazie na samym końcu zdrowieją te części mózgu, które odpowiadają między innymi za uczenie się. I zdrowieją. Widzę to na co dzień. Gdyby ten proces postępował trochę szybciej, ukończenie studiów byłoby dla mnie

znacznie łatwiejsze, ale i tak cieszę się, że w ogóle mogłam znów wrócić na studia. Jednakże moja osobowość nie wraca do normy, cały czas różni się od tej sprzed wypadku. Ciężko to przeżywam. Był to jeden z powodów, dla których byłam gotowa rzucić szkołę. Wiem, że ludzie zastanawiają się, gdzie się podziała dawna Whitney. Ja też się zastanawiam.

Z powodu tej inności musiałam zaufać Bogu jeszcze bardziej niż kiedyś. Gdy dostałam się na Uniwersytet Taylora, prosiłam Boga, by nappełnił mnie prawdziwą pasją do utwierdzania się w miłości do Niego. Wychowałam się w domu pastora, więc chodzenie do kościoła i mówienie o Jezusie niejako nas określało. Ale nie czułam jeszcze tego palącego pragnienia głębszego poznania Boga. Nie kochałam Go całym sercem, duszą, rozumem i siłą. Po wypadku to się zmieniło. Odkrywszy, że nie potrafię otworzyć się na ludzi wokół mnie i na samą siebie, otworzyłam się na Boga. W wyniku tego moje modlitwy zostały wysłuchane i poczułam pragnienie bliskości Pana, jakiego wcześniej nie zaznałam.

Nie oznacza to, że było mi łatwo. Jediną osobą, dzięki której udało mi się przetrwać tamten rok na studiach, była moja siostra Carly. Umówiłyśmy się, że raz na tydzień będziemy razem jeść lunch, tylko we dwie. Pewnego dnia, tuż przed wiosenną przerwą w 2007 roku, zaczęłam sobie współczuć. Wyznałam Carly, że tęsknię za dawną Whitney, na co ona odparła: „Tak, ja też za nią tęsknię. Ale nową Whitney kocham równie mocno”.

Nie potrafię wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczyło. Im bardziej zastanawiałam się nad jej słowami, tym bardziej

akceptowałam siebie w nowej postaci. Tak, jestem inna. Nie jestem tą dziewczyną sprzed wypadku, ale nie przeszkadza mi to. Nie mam zamiaru cofać się w przeszłość i próbować przywrócić kogoś, kto odszedł na zawsze. Carly mnie uwolniła. Mogę być teraz sobą, nową sobą, tą powołaną przez Boga, cokolwiek to będzie oznaczać.



## **Ku czci ofiar**

Żadne na świecie współczucie, wsparcie, otucha i terapia nie zetrą wszechogarniającego poczucia straty pięciu istnień. Jak widzieliście na przykładzie naszej opowieści, nie ma dwóch rodzin czy dwóch pojedynczych osób, które reagują na stratę w identyczny sposób. Ta pełna żalu i pokory podróż jest podróżą niezwykle osobistą. Mamy nadzieję, że udało nam się nie naruszyć prywatności innych rodzin, które ucierpiały w wyniku wypadku. Zaprosiliśmy te rodziny do złożenia hołdu swym bliskim, którzy od nich odeszli. Nie wszystkie rodziny przyjęły nasze zaproszenie, ale oczywiście szanujemy i rozumiemy decyzje tych, którzy odmówili. Jednocześnie czujemy się zaszczytzeni możliwością umieszczenia kilku słów od pozostałych rodzin.

Rodziny Van Rynów i Ceraków

Niektórych darów nie da się zmierzyć. Dla tych, którzy kochali Laurel, była ona zarówno darem, jak i obdarowującą. W dziele swego stworzenia Bóg nie tylko pobłogosławił Laurel niekończącą się, zaraźliwą wręcz radością, ale też popisał się swym wyjątkowym kunsztem.

Laurel była uosobieniem łaski, piękna, kreatywności, gościnności, śmiechu i współczucia. Łaskę i współczucie przejawiała jako pięciolatka, gdy będąc na czworakach, pozwoliła, by brat stanął jej na plecach i w ten sposób dosięgnął wody w fontannie, a później jako młoda kobieta, gdy miesiącami wspierała finansowo pewną dziewczynę w Tajlandii. Laurel z radością dzieliła się swoim czasem i talentami.

Bóg obdarzył ją niesamowitą kreatywnością. Rozumiała i przyjmowała Boskie obietnice poprzez bogactwa przyrody. Dostrzegała piękno w rzeczach, które większość z nas uważa za prozaiczne. Dawała upust wyobraźni, gdy miała okazję obcować z małymi i wielkimi twórcami Boga: zachodem słońca, lodowcami, spodnią stroną liścia.

Bóg obdarzył Laurel zmysłem przygody i zamiłowaniem do odkrywania tego, co stworzył. Zaszczepił w niej potrzebę podejmowania i rzucania wyzwań nie tylko w sprawach codziennych, lecz także w kwestiach wymagających duchowej i uczuciowej dojrzałości oraz przeciwstawiania się lękom.

Ale najbardziej Bóg obdarzył nas, pozwalając nam być częścią jej życia. Z niecierpliwością oczekujemy ponownego spotkania.

Rodzina Laurel Erb

Monica Felver

Trudno opisać osobę, którą nazywamy Mamą. Ciężko pracowała, była wierną przyjaciółką, uczciwą i najbardziej życzliwą osobą, jaką poznaliśmy. Słowo „Mama” wydaje się nie na miejscu, gdyż znaczyła dla nas znacznie więcej. Mogliśmy zawsze zwrócić się do Niej w każdej potrzebie i z każdą sprawą, była naszą opoką. Czas spędzony przy Niej był najlepszym czasem w naszym życiu. Gotowała nam wspaniałe obiady i kazała jeść po kilka dodatków, nawet gdy już nie dawaliśmy rady. Uwielbiała obiady przy rodzinnym stole. Rodzina była dla Niej wszystkim.

Ulubioną porą roku Mamy była wiosna. Uwielbiała spędzać czas na świeżym powietrzu, sprzątajac, pielęgnując ogród, wyrywając chwasty, ale nic nie przebijało grzybobrania. Kochała wyprawy do lasu i zawody w zbieraniu grzybów. Potrafiła dojrzeć grzyb w miejscu, w które bezskutecznie wpatrywało się kilkoro z nas.

Mama kochała swoje zwierzaki chyba równie mocno jak nas. Hodowała kozy, konie, koty, psy, indyki, kurczaki, a w naszym

stawie pływało dużo ryb. Kilka zwierząt było bardzo starych, więc każdego dnia powtarzała, jakim są darem i jak bardzo cieszy się z ich towarzystwa.

Wprawdzie straciliśmy Mamę, Żonę, Babcię, Ciocię, Siostrę i Przyjaciółkę, ale oczekujemy jej pięknego powitania w niebie.

Rodzina Moniki Felver

## Brad Larson

Bradley Jesse („Beej”) Larson miał w maju 2006 roku ukończyć Uniwersytet Taylora z najwyższym wyróżnieniem. Przyszedł na świat w kochającej rodzinie dr. Davida i Sherry Larsonów i miał podążyć w ślady rodzeństwa, które również ukończyło Uniwersytet Taylora - Jeffrey D. (w 2002 roku) oraz Dawn E. (w 2004 roku). Chociaż pisał pracę z historii, interesował się bardzo wieloma dziedzinami, a zwłaszcza ich nawiązaniem do wiary chrześcijańskiej. Przygotowywał się do studiów podyplomowych na wydziale prawa. Został przyjęty na studia na University Wisconsin School of Law. Jesienią 2006 roku miała się odbyć jego immatrykulacja.

Brad był słodki, rozsądny, błyskotliwy, był świetnym atletą. Uwielbiał dobrą zabawę i miał doskonałe poczucie humoru. Kochał NBA i potrafił godzinami rozmawiać o tajnikach koszykówki. Ci, którzy go znali, zapamiętują go jako poważnego, uzdolnionego i dobrego, jako wzór do naśladowania dla rówieśników. Przyjaciele Brada często podkreślali jego niebywałą zdolność do wyrzeczeń oraz sposób, w jaki wyrażał

krytyczne opinie, bez nadmiernego osądzania ani protekcjonalności. Bardzo nam go brakuje.

I wyrośnie różdżka z pnia Jessego,  
wypuści się odrośl z jego korzeni.

I spocznie na niej Duch Pański,  
duch mądrości i rozumu,

duch rady i męstwa,

duch wiedzy i bojaźni Pańskiej.

Upodoba sobie w bojaźni Pańskiej.

(Iz 11,1-3)

David i Sherry Larson

## **Podziękowania**

Od Van Rynów

Przede wszystkim dziękujemy naszemu Zbawicielowi i Panu Jezusowi Chrystusowi, który nie przestaje naprawiać naszego życia, byśmy Go naśladowali.

Pragniemy podziękować najbliższym krewnym, bez których nie dalibyśmy sobie rady. Nigdy nie zapomnimy okazywanej nam przez nich miłości i głęboko, nieustannie będziemy cenić uczucia, jakimi nas na tyle sposobów obdarzali.

Pragniemy podziękować najbliższym przyjaciołom, którzy również trwali przy nas i opiekowali się nami w obliczu tragedii. Przyjaciołom z naszego kościoła oraz rodzinie z obozu biblijnego na Półwyspie Górnym - za poświęcenie i wsparcie, którego doświadczyliśmy. Jesteśmy wdzięczni przyjaciołom i rodzinie, którzy przemierzyli setki kilometrów, aby być przy nas w Fort Wayne.

Nigdy, przenigdy nie zapomnimy miłości, jaką Aryn Linenger żywił do Laury, tym samym oddajemy cześć całej rodzinie Linengerów za miłość i przyjaźń, jaką nam okazali.



Specjalne miejsce w naszych sercach zajmują współlokatorki Laury i inne jej przyjaciółki z Uniwersytetu Taylora. Nie przestajemy pielęgnować tych przyjaźni.

Dziękujemy Lindsay Dobson Veitch, która także była jedną z najdroższych przyjaciółek Laury.

Serdeczne podziękowania składamy społeczności Uniwersytetu Taylora rozsianej po świecie za wyrazy miłości. Dziękujemy też wszystkim, którzy wsparli fundusze na rzecz Laury.

Dziękujemy za nowych przyjaciół, których poznaliśmy w Fort Wayne, zarówno w szpitalu, jak i wśród lokalnej społeczności. Ależ otrzymaliśmy tam opiekę!

Dziękujemy za wspaniałą opiekę, jaką otrzymała Whitney w Spectrum Health Continuing Care Center w Grand Rapids. Miło było nam Was wszystkich poznać, doceniamy, co dla nas zrobiliście.

Nie ma słów, którymi moglibyśmy wyrazić wdzięczność wobec osób z całego kraju, a tak naprawdę z całego świata, które obdarzyły nas krzepiącymi komentarzami na blogu. Wielu z Was wysyłało nam także kartki z życzeniami i dobrymi słowami. Wszystko to stanowiło dla nas błogosławieństwo i pomogło naszej rodzinie przeżyć trudne chwile.

Pragniemy podziękować rodzinie Ceraków za pełną łaski miłość oraz nieustającą przyjaźń.

Na koniec jesteśmy zaszczyceni, że mogliśmy współpracować ze wspaniałym zespołem utalentowanych ludzi, którzy przyczynili się do powstania tej książki. Dzięki dla Wesa, Marka, Cindy i Liz: byliście błogosławieństwem!

## Od Ceraków

Trudno powiedzieć, od kogo powinniśmy zacząć, dziękując wszystkim za udział w naszym życiu w tym trudnym okresie. Nie chcielibyśmy nikogo pominąć, chociaż czytając te słowa, miejcie na uwadze, że dziękujemy tu tylko niewielu z tych, którym jesteśmy to winni. Wszyscy, którzy nas w jakikolwiek sposób wsparli, mają naszą dozgonną wdzięczność.

Pragniemy podziękować Wam wszystkim, którzy modliliście się i nadal się modlicie w intencji ofiar. To właśnie dzięki tej modlitwie i wierze w Boga przetrwaliśmy, pocieszyliśmy się i mogliśmy być świadkami cudownego uzdrowienia.

Wyrażamy wdzięczność naszym najbliższym rodzinom, które podtrzymywały nas na duchu i pocieszały słowami oraz przejawami miłości; dziękujemy Wam z całego serca.

Mieszkańcom Gaylord w stanie Michigan, wspaniałej społeczności, dla której warto żyć. Czujemy, że nie zasłużyliśmy na okazany nam szacunek i opiekę, jaką nas otoczyliście. Dziękujemy pokornie za całe wsparcie.

Wiernym z Gaylord Evangelical Free Church, wysokim rangą duszpasterzom, którzy wstawili się za nami, pracownikom, którzy poświęcili nam swój czas, Deb Harlukowicz za wstawiennictwo, Jimowi Mathisowi, który był z nami od samego początku; wszyscy zajmujecie wyjątkowe miejsce w naszych sercach.

Dziękujemy personelowi Gaylord Intermediate School oraz wszystkim uczniom za wsparcie i pocieszenie. Byliście błogosławieństwem, kiedy was potrzebowaliśmy.

Gdy byliśmy poza Gaylord, wiele osób zajmowało się naszym domem i psem Hunterem. Drodzy Steffebwie, Volantowie, Coburnowie, Maxonowie, Bowmanowie i wszyscy mieszkańcy okolicy, przyjmijcie, prosimy, nasze podziękowania.

Opiekunom w ośrodkach: Spectrum Health Continuing Care Center, Hope Network Rehabilitation Services oraz Fort Wayne Rehabilitation. Wasza opieka nad Whitney przekroczyła nasze oczekiwania. Ślemy Wam płynące z głębi serca podziękowania.

Specjalne podziękowania dla ratowników medycznych i pielęgniarzy pracujących nadal w służbie naszym społecznościom. Wasze starania nie zostaną zapomniane.

Dziękujemy Uniwersytetowi Taylora za pełną łaski opiekę nad Whitney, a zwłaszcza Scottowi Gaierowi za osobisty wkład w przygotowanie Whitney do powrotu na studia.

Dzięki dla Charliego Warda i jego ojca, Dona, za pomoc w podjęciu ważnej decyzji o przyszłości Whitney.

Specjalne podziękowania dla wszystkich, którzy poświęcali swój czas i wozili Whitney do Fort Wayne na terapię: dla Tima i Kathy Hermannów, Marty Songer, Jeanette Hoeksema, Lindy Sebastian oraz dla przyjaciół z uczelni.

Dla współlokatorek Whitney: Emily, Amy, Anne oraz pozostałych jej przyjaciółek z Uniwersytetu Taylora, za wsparcie i miłość. Nigdy w pełni nie wyrazimy, jaki mamy wobec Was dług wdzięczności.

Dla Matta Wheelera, który był przy nas przez cały trudny okres. Jesteś wspaniałym przyjacielem, nie tylko Whitney, ale

i całej naszej rodziny. Traktowałeś ją doskonale w czasie kryzysu, za co dziękujemy, najmocniej jak potrafimy.

Dla Sary Van Winkle, Christine Livingstone i Brittney Long. Jesteście prawdziwymi bohaterkami. Trwałyście przy Whitney przez pierwsze tygodnie, a swą nieustającą miłością, siłą i mądrością zainspirowałyście również Carly.

Dla Ricka i Shelly Froysland - za wszystko, co dla nas zrobiliście. To był wspaniały Dzień Ojca, a także Dzień Niepodległości. Nie potrafimy sobie wyobrazić lepszych przyjaciół. Kochamy Was i dziękujemy.

Dla rodziny Van Rynów - za miłość i opiekę nad Whitney oraz za naszą piękną przyjaźń. Jesteście naszymi bratnimi duszami, dziękujemy za Was Bogu. Codziennie modlimy się za Was.

Dla wszystkich, którzy pomogli napisać i wydać tę książkę: dla Wesa Yodera, Marka Tabbu oraz Cindy Lambert. Znaleźliśmy w Was naszych nowych, cudownych przyjaciół. Dziękujemy.

I na koniec najważniejsze podziękowania - dla naszego Pana i Zbawiciela, Jezusa Chrystusa. Bez Boskiego wsparcia i siły nie podołalibyśmy z powodu naszych ludzkich ograniczeń. Nasza nadzieja nie jest nadzieją świata. Tkwi ona w łasce i w przekonaniu, że ci, którzy przyjęli Boski dar, otrzymają nagrodę w postaci spotkania bliskich w Jego królestwie.

Od Marka Tabba

Dziękuję Cindy Lambert za powierzenie mi tego projektu oraz Wesowi Yoderowi za ciężką pracę nad jego wykonaniem. Dzięki także dla Liz Heaney, najlepszej redaktorki, jaką pisarz może sobie wyobrazić.

Chciałbym także wyrazić wdzięczność dla mojego kościoła, Brandywine Community Church, za modlitwę o ukończenie prac nad tą książką. Bez Was nigdy nie udałooby się doprowadzić tego projektu do końca.



◀ Rodzina Ceraków,  
Wielkanoc 2006: Carly,  
Newell, Colleen,  
Sandra, Whitney

▶ Whitney  
z przyjaciółkami  
z Uniwersytetu Taylora,  
grudzień 2005: Emily,  
Amy, Anne, Whitney



◀ Rodzina Van Rynów,  
lato 2004: Laura, Mark,  
Susie, Don, Kenny, Lisa

▶ Laura ze współlokatorkami na  
Uniwersytecie Taylora, wiosna 2005:  
Brittney, Laura, Sara, Christie,  
Courtney – „Uzdolniona”





◀ Ferie wiosenne 2006: Brittney,  
Jordan, Brad, Laura, Sara, Christie



▲ Ferie wiosenne 2006: Laura Van Ryn  
i Brad Larson



▲ Laura z przyjaciółkami  
na obozie, listopad 2004



▲ Laura i jej chłopak Aryn, lato 2005



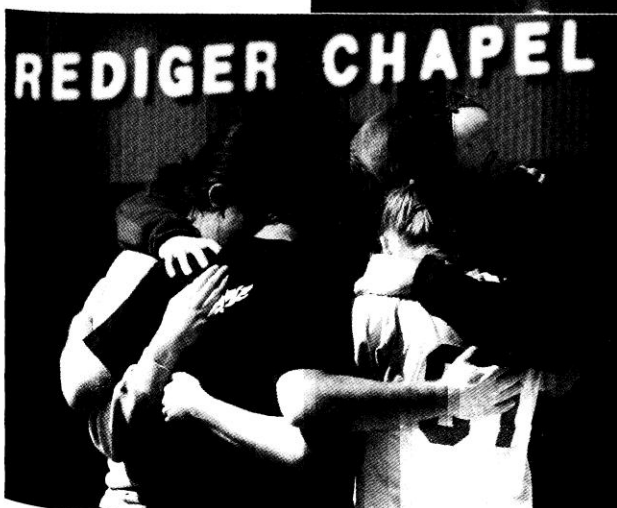
► Lato 2004: Laura, Kenny,  
Mark i Lisa Van Ryn

► Whitney w stanie śpiączki na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Parkview w Fort Wayne (stan Indiana), kwiecień 2006



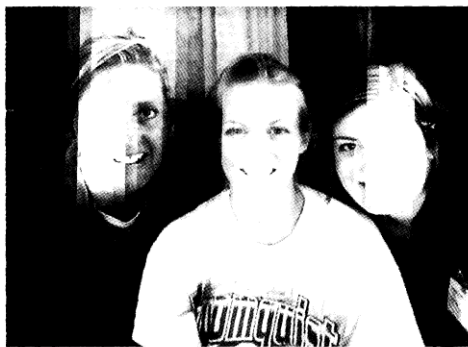
▲ Miejsce wypadku, autostrada I-69, Indiana, 26 kwietnia 2006

► Whitney i jej pies Hunter – znowu razem



◀ Zgromadzeni na wspólnej modlitwie studenci Uniwersytetu Taylora, wieczorem 26 kwietnia 2006





◀ Whitney z fizjoterapeutkami w ośrodku Spectrum, Grand Rapids, czerwiec 2006

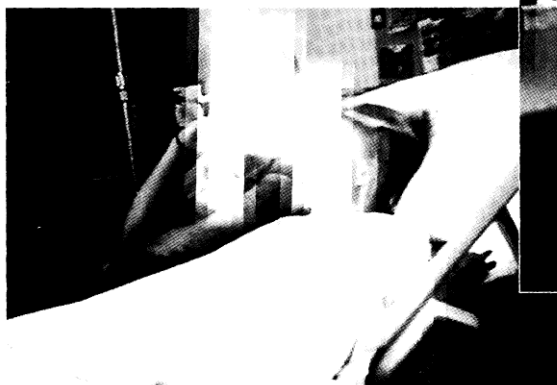
▼ Whitney z terapeutkami zajęciowymi, Michelle i Carrie, w ośrodku Spectrum, Grand Rapids, czerwiec 2006



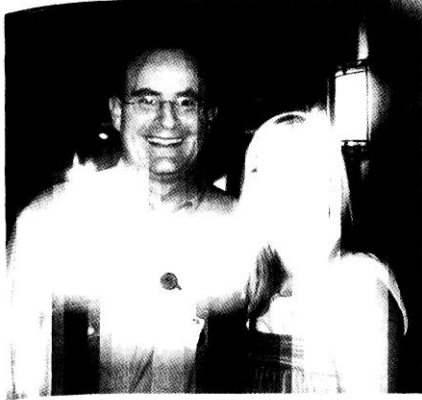
▲ Lisa i Whitney z terapeutką Joelle ze szpitala Parkview, kwiecień 2007



▲ Whitney z ojcem, Newellem, podczas sesji fizjoterapii, ośrodek Spectrum



▲ Whitney i jej siostra Carly w ośrodku Spectrum, czerwiec 2006



▲ Dr Martin Waalkes, neuropsycholog z Hope Network, wizyta w sierpniu 2007



▲ Whitney, Holly, Tia, Sandra, Heather, jesień 2006



◀ Whitney z przyjaciółkami Holly i Emily, Grand Rapids, lato 2006



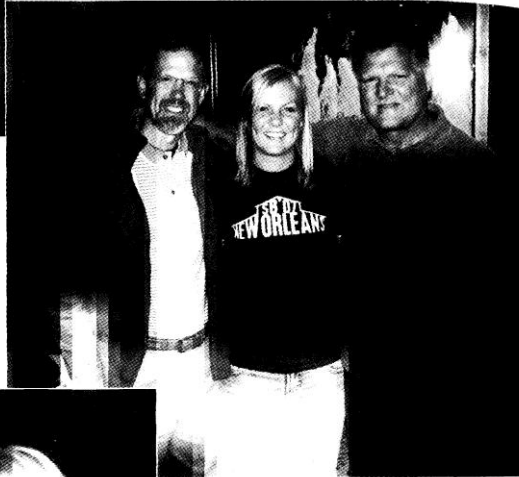
▲ Whitney i Carly Cerak, Boże Narodzenie 2006



◀ Whitney z chłopakiem Mattem i siostrą Sandrą na obozie Spring Hill, lipiec 2006



◀ Whitney i jej mama, Colleen Cerak (po prawej), oraz Susie Van Ryn (po lewej), kwiecień 2007



▶ Whitney i jej ojciec, Newell Cerak (po prawej), oraz Don Van Ryn (po lewej), kwiecień 2007

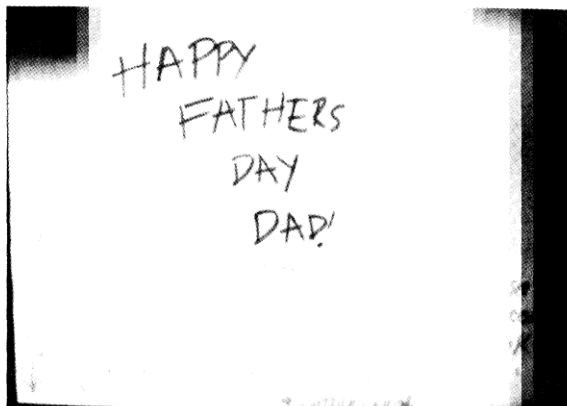


◀ Siostry podczas Święta Dziękczynienia 2006: Laisa i Sandra, Carly i Whitney



▶ Przyjaciółki z uczelni, maj 2007: Whitney, Emily, Anne, Allie, Amy, Jen

▶ Kartka od Whitney dla Newella z okazji Dnia Ojca, 2006



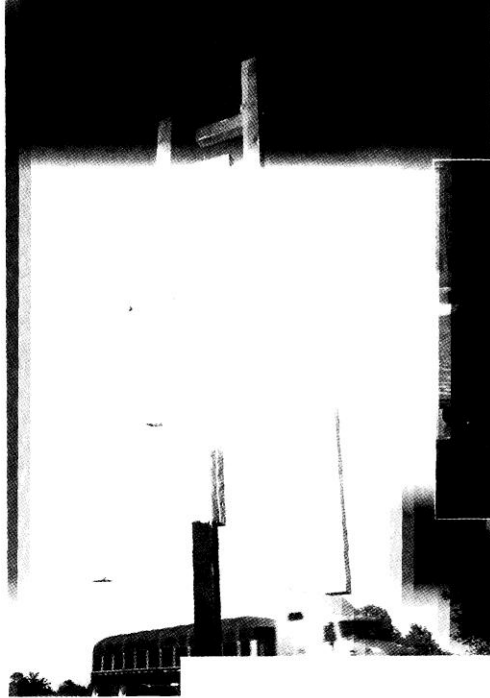
▲ Whitney z logopedką z ośrodka Spectrum, Grand Rapids, 2007



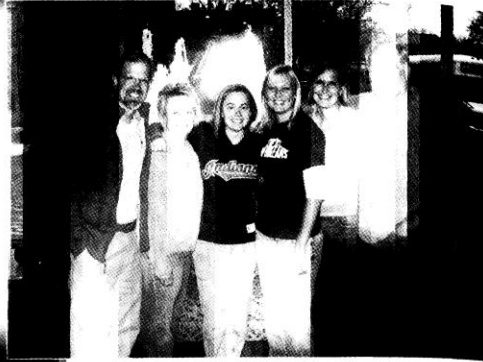
▲ Whitney i Lisa opuszczające OIOM, kwiecień 2007, „Przeżyjmy to jeszcze raz”



◀ Whitney i Cindy Barrus, kierowniczka ośrodka Spectrum, Grand Rapids



◀ Pięć krzyży przy autostradzie I-69 ku czci ofiar wypadku z dnia 26 kwietnia 2006: Laurel Erb, Brada Larsona, Moniki Felver, Betsy Smith, Laury Van Ryn



◀ Wizyta w szpitalu Parkview, kwiecień 2007, Don, Sue i Lisa Van Ryn; Whitney, Colleen i Newell Cerak



▲ Kaplica uniwersytecka (Uniwersytet Taylora)



◀ Rodzina Ceraków, Boże Narodzenie 2006: Carly, Newell, Whitney, Colleen, Sandra